CZY WIECIE, CO OGLĄDAJĄ WASZE POCIECHY?

Uwaga, rodzice! Netflix faszeruje dzieci filmami promującymi LGBTQ+



Jak uniknąć czarnego scenariusza w relacjach Polski z Ukrainą?



OD OBROŃCÓW CESARZY DO ICH POGROMCÓW – PASJONUJĄCA HISTORIA RZYMSKICH PRETORIANÓW

Jacek Pałkiewicz o życiu na zasypanej śniegiem rosyjskiej Kamczatce

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 5/665 26 STYCZNIA–1 LUTEGO 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PRZEKLĘTE

DZIEDZICTWO SOCJALIZMU

Polskie rządy niszczą polskie firmy i przedsiębiorczość – teraz uderzają za pomocą KSeF

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



NASI NAJWIĘKSI HETMANI – AUTORSKI RANKING JACKA KOMUDY

Pięć lwów Lechistanu – Wielcy wodzowie tworzyli legendę dawnej Polski. Byli wybawicielami, obrońcami i lwami warującymi na granicach Lechistanu. Kiedy ich zabrakło, sarmacka republika zaczęła walić się w otchłań

Polacy z NKWD przeciw UPA – Większość moich rozmówców była przekonana o słuszności swojej decyzji o wstąpieniu do Istriebitielnych Batalionów – mówi prof. Damian K. Markowski

Średniowieczne lekarki na ratunek – Kiedy wspomina się słynne kobiety średniowiecza, na myśl przychodzą przede wszystkim królowe i święte. A przecież fascynującym rozdziałem historii są losy ówczesnych lekarek i uzdrowicielek

Wolność na Placu Czerwonym – Maleńki protest pod murami Kremla wywołał całą lawinę zdarzeń

Polska misja Hoovera – Tysiące polskich dzieci maszerowało w Warszawie przed wzruszonym Herbertem Hooverem, przyszłym prezydentem USA, wyrażając wdzięczność za ratunek przed głodem

Szumowiny Kamińskiego – Żołnierze Bronisława Kamińskiego okazali się zgrają degeneratów, których nawet Niemcy mieli dość w swoich szeregach. Pełnię swojego okrucieństwa ci Rosjanie w służbie III Rzeszy pokazali w trakcie powstania warszawskiego

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5a8109f443



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pogrążeni w letargu

Nie jestem zapewne jedynym komentatorem, który ma problem w zrozumieniu, o co chodzi w obecnej geopolitycznej rozgrywce. Czy Donald Trump ma pewien plan, który konsekwentnie wprowadza w życie? Czy też wiele jego wypowiedzi, gestów i decyzji stanowi jeden wielki chaos i przejaw nieokiełznanego egotyzmu? Gdyby jednak zadać sobie trud i spróbować z tego chaosu wyłuskać to, co racjonalne, to można byłoby chyba powiedzieć, że w myśli amerykańskiego prezydenta wyraźnie widać, iż coraz większe znaczenie ma po prostu siła.

Liberalną wizję końca historii – cały świat zmierza do jednego, globalnego porządku – ma zastąpić powrót do koncepcji koncertu mocarstw – kilka imperiów dzieli świat między siebie i realizuje swoje interesy w wybranych przez siebie strefach. Tak długo, jak udaje się im między sobą ułożyć, panuje pokój; w chwili, gdy zgłaszają one roszczenia do tej samej strefy, rosną napięcie i ryzyko wojny. Wielkie mocarstwa rywalizują ze sobą i trzymają siebie jednocześnie w szachu. Są jednocześnie rywalami i partnerami.

Z amerykańskiego punktu widzenia oznacza to przewartościowanie stosunku do Rosji, która to, inaczej niż w wersji globalistycznej, nie ma zniknąć i zostać wchłonięta (w praktyce rozbita) przez liberalną demokrację, ale otrzymuje swoje miejsce w nowym, światowym układzie. Dlatego doszło do spotkania Trumpa z Putinem na Alasce i dlatego amerykański prezydent zaprosił rosyjskiego przywódcę do tworzonej przez siebie Rady Pokoju. Dlatego też znalazł się w niej podporządkowany Kremlowi Alaksandr Łukaszenka. Dlatego Donald Trump wykorzystuje brutalnie swoją przewagę i zamierza przejąć Grenlandię. Dlatego też USA z taką pogardą spoglądają na państwa europejskie i na Unię, bo ta, w przeciwieństwie do Rosji, nie dysponuje realną siłą militarną. Z punktu widzenia nowej, realistycznej Ameryki, która porzuciła złudzenia globalizmu, Moskwa może stać się pożądanym partnerem.

Jak na tę zmianę, opisaną skądinąd dokładnie w nowej, amerykańskiej strategii bezpieczeństwa, reagują polscy politycy?

Niestety, mam nieodparte wrażenie, że nie potrafią oni wybudzić się ze snu, w który to polska klasa polityczna zapadła jeszcze na przełomie lat 80. i 90. Jedni, a więc obecnie rządzący, nie są w stanie przyjąć, że opowieści o końcu świata à la Francis Fukuyama okazały się oszustwem. Z maniakalnym uporem powtarzają, że jedyną przyszłością Polski jest Unia Europejska, a w jej centralizacji, która pociąga za sobą utratę suwerenności narodowej i państwowej, widzą jedyne rozwiązanie. Krok po kroku, z niewolniczym wręcz oddaniem, wprowadzają coraz bardziej niedorzeczne i absurdalne pomysły Brukseli, bo przyszłość nie może ulec zmianie i unijny centralizm jest dziejową koniecznością. Skoro TSUE orzeka, że polska konstytucja się nie liczy, to się nie liczy.

Problem polega na tym, że najwyraźniej nowej sytuacji nie rozumie też duża część prawicowej opozycji, na czele z prezydentem. Ci z kolei zachowują się tak, jakby czas zatrzymał się w miejscu i jakbyśmy mieli do czynienia z powtórką zimnej wojny – Donald Trump byłby nową wersją Ronalda Reagana, a Władimir Putin nowym wcieleniem sowieckiego aparatczyka na miarę Andropowa czy Czernienki. W ich głowach Rosja to Sowiety, Sowiety to Rosja, a jedynym przeznaczeniem Polski jest wiernie stać przy broniącej wolności Ameryce.

Wydaje się, że taki jest dokładny sens wystąpień polskiego prezydenta w Davos, który to cały czas posługuje się starym podziałem na świat demokracji, świat wolności i niepodległości z jednej strony i Rosję z drugiej. Nie jest w stanie pojąć, że taki podział, przynajmniej z punktu widzenia obecnej administracji USA, już nie obowiązuje. Z tego też punktu widzenia polski prezydent nie bardzo wie, jak ma się zachować w związku z zaproszeniem do Rady Pokoju wysłanym przez Trumpa. Nie może przecież urazić naszego największego sojusznika i dlatego opowiada osobliwe historie o stabilności NATO i o tym, że „mamy 10 tys. amerykańskich żołnierzy w Polsce, kupujemy amerykański sprzęt wojskowy, który jest najlepszy na świecie”; z drugiej zaś nie umie wyzwolić się z rusofobii i dlatego nie może ogłosić, że będzie w jednej organizacji z Putinem. W efekcie jedyna polska koncepcja polega na tym, by przeczekać zawieruchę i nie podejmować ryzyka. Wszystko załatwi za nas Ameryka.

Nie jest to, przykro to powiedzieć, żadna koncepcja, bo kompletnie pomija ona scenariusz, w którym USA postanawiają Polski użyć dla swoich celów, które z interesem Warszawy wcale nie muszą być spójne. Czy jest to niemożliwe? Ostatnie lata, a więc przede wszystkim los faktycznie zrujnowanej Ukrainy, wykorzystanej do wojny przez niedawno liberalny Waszyngton, pokazały dobrze, jaką cenę płaci się za bezalternatywność. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
DOCISKANIE PRYWACIARZY
Przeklęte dziedzictwo socjalizmu

18 ROZMOWA Z ADAMEM ABRAMOWICZEM
USTAWA WILCZKA 2.0 POTRZEBNA OD ZARAZ

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA MIĘDZY WASZYNGTONEM A BERLINEM
Czy warto być w neo-ONZ?

25 PIOTR SEMKA
OPIŁOWYWANIE KATOLIKÓW W PRAKTYCE

28 ARKADIUSZ SIWKO
DRONY – SZANSA DLA POLSKIEJ PRYWATNEJ ZBROJENIÓWKI?

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
FRAKCJA TRZPIOTÓW

KULTURA

34 RADOSŁAW WOJTAS
ZAIMKI W PIASKOWNICY
Netflix faszeruje dzieci filmami promującymi LGBTQ+

36 PIOTR GOCIEK
STRACONE ZŁUDZENIA

38 ROZMOWA Z MONIKĄ LUFT
MIKROFON I EKRAN, CZYLI OPOWIEŚĆ O PREZESACH RADIOKOMITETU PRL

41 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BOHATEROWIE KSIĄG ZBÓJECKICH

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 MARCIN SKALSKI
KONFLIKT Z UKRAINĄ? JAK UNIKNĄĆ CZARNEGO SCENARIUSZA
Czas na nowy traktat międzypaństwowy

52 FILIP MEMCHES
TRADYCJA PIERWOTNA I JEJ WROGOWIE

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KRYZYS KOŚCIOŁA TRWA DALEJ

HISTORIA

56 ŁUKASZ CZARNECKI
POD ZNAKIEM SKORPIONA
Pretorianie i ich legenda

ŚWIAT

62 MICHAŁ KRUPA
BYLI TRUMPIŚCI KONTRA TRUMP
Wojna frakcji w MAGA

65 MACIEJ PIECZYŃSKI
KATASTROFA KIJOWIAN

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
CHIŃCZYKÓW TRZYMAJĄ SIĘ MOCNIEJ
Trump pcha Zachód w objęcia chińskiego smoka

72 PIOTR WŁOCZYK
KILOMETROWCE NA HORYZONCIE

PODRÓŻE

74 JACEK PAŁKIEWICZ
KAMCZATKA WIDZIANA Z BLISKA
Miejsce, które się przeżywa



FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 5a8109f443

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Art Service, Albert Zawada/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraspy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Rosja wojnę z Ukrainą wygrywa", „DRz" nr 3/2026

Z zainteresowaniem przeczytałem wywiad z J. Baudem „Rosja wojnę z Ukrainą wygrywa".

To zupełnie inne spojrzenie na tę wojnę; szkoda, że nasi fachowcy nie dostrzegają obowiązującej od wielu lat rosyjskiej doktryny wojennej. Więcej takich artykułów.

Pozdrawiam
Wojciech Bogdał

Trzecia droga czy rondo?

Z prawdziwym wzruszeniem śledzę ostatnie wydarzenia w partii Polska 2050, a zwłaszcza jej popisy w dziedzinie wyborów władz […].

Szczególnie urocze jest to, że całość odbywa się pod hasłami nowej jakości w polityce. Owszem, jakość rzeczywiście jest nowa, bo dawno nie widzieliśmy tak konsekwentnego dowodu, że „świeżość" w polityce polega głównie na braku doświadczenia, a nie na moralnej wyższości. W porównaniu z tym widowiskiem nawet stare partyjne betony zaczynają wyglądać jak wzór proceduralnej elegancji.

Nie mogę też nie docenić waloru edukacyjnego całej sprawy. Młodzi wyborcy dostają bowiem znakomitą lekcję: demokracja jest piękna, o ile wynik się zgadza, a statut to dokument o charakterze czysto dekoracyjnym, najlepiej prezentujący się na stronie internetowej, gdzie nikt go nie czyta.

Na koniec chciałbym wyrazić wdzięczność. Dzięki temu spektaklowi nawet najbardziej znużeni obywatele przypominają sobie, dlaczego konserwatywna nieufność wobec politycznych nowinek ma swoje głębokie uzasadnienie. Jeśli to jest przyszłość polityki, to pozwolę sobie pozostać w przeszłości.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

NEKROLOG

Bliskiemu nam

Panu prof. dr. hab.
Janowi Prostko-Prostyńskiemu

wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci
Syna Michała

składają przyjaciele
z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu,
Uniwersytetu Łódzkiego,
Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

eprasa.pl 5a8109f443



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tym razem bez zderzenia

Zdarzył się cud. Oto kwestia zaproszenia Karola Nawrockiego do Rady Pokoju przez Donalda Trumpa nie stała się polem do awantury na linii prezydent – rząd. Głowa państwa wskazała, że polski porządek prawny wymaga, by wejście do gremium międzynarodowego uzyskało akceptację rządu i parlamentu, a MSZ poinformowało Kancelarię Prezydenta, że jest otwarte na rozmowy w sprawie dalszych działań dotyczących Rady Pokoju.

Takiego Wersalu to już dawno nie było, Karol Nawrocki odbył 40-minutową rozmowę z Donaldem Trumpem w kuluarach forum w Davos i jak na dzisiejszy świat, jest to wyjątkowy rarytas. Uzyskał od Trumpa daleko idące zrozumienie dla swych deklaracji, że wejście do Rady Pokoju wymaga konsensusu z rządem i parlamentem. Gospodarz Białego Domu jeszcze raz potwierdził, że w każdej sytuacji kryzysowej Polska może liczyć na Stany Zjednoczone. Jeśli dorzucić do tego kuluarowe informacje, że minister Władysław Kosiniak-Kamysz odwiódł Donalda Tuska od mało roztropnych pomysłów wysyłania naszych żołnierzy na Grenlandię, to można twierdzić, że na razie zdrowy rozsądek zwycięża.

Co teraz? Optymalną polityką wydaje się spokojne czekanie, w jakim kierunku rozwinie się pomysł Trumpa na Radę Pokoju. Nie ma sensu udawać, że nie jest to idea obarczona wszystkimi ekscentrycznymi cechami myślenia i zachowania się prezydenta USA. Pomysł zastąpienia radą ONZ ma oczywiście podstawy. Organizacja z Nowego Jorku dawno straciła zdolność do rozwiązywania jakichkolwiek konfliktów. To wszystko prawda, ale tworzony ad hoc przez Trumpa nowy organizm składający się z wybieranych według jego uważania krajów i pod jego przewodnictwem może napotkać duże problemy w realnym działaniu. Przykład pierwszy z brzegu: nie wiadomo, jak do pomysłu podejdą Rosja i Chiny. W Europie też panuje w tej sprawie zamieszanie. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz na razie unika jasnej deklaracji, czy wejdzie do Rady Pokoju. Ten sam zgryz ma premier Włoch Giorgia Meloni.

A my? Pani wicepremier Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz już zdążyła wyśmiać Radę Pokoju. Najwyraźniej wyrwała się przed szereg, bo sam Donald Tusk zajął o wiele bardziej stonowane stanowisko.

Pożyjemy – zobaczymy. Polska ani nie powinna być pierwszym krajem rwącym się do tworzenia nowego ciała, ani też nie powinna zbyt pochopnie deklarować, jak to zrobiły Francja, Norwegia i Szwecja, że nigdy nie wejdzie do takiego gremium. Owszem, sytuacja, w której Władimir Putin, zarządzający co drugi dzień naloty na Kijów, miałby zasiadać w Radzie Pokoju, jest czymś absurdalnym. Ale w instytucjach międzynarodowych, a już na pewno w wypadku ONZ, zasiadanie w tej samej sali z postaciami odrażającymi trwa od lat 80.

Jak się zatem okazuje, w sytuacjach nagłych Karol Nawrocki ma bezpośrednie kanały komunikacji z Donaldem Tuskiem. I to, że niewiele o nich wiemy, świadczy jak najlepiej. Bo to jest normalnością, a nie wzajemne popisy złośliwej elokwencji na platformie X. ©℗



FOT. ANDRZEJ SIDOR/FORUM

ZORZA POLARNA NAD POLSKĄ

Takich spektakli na polskim niebie nie było już dawno. Po potężnej burzy geomagnetycznej w nocy z 19 na 20 stycznia w wielu rejonach Polski, a na Pomorzu również w nocy z 20 na 21 stycznia, można było obserwować zorzę polarną. To rzadkie zjawisko w naszym kraju, które występuje zazwyczaj w pobliżu biegunów magnetycznych Ziemi, głównie za kołami podbiegunowymi, w Norwegii, na Islandii czy w Grenlandii. Tym razem zorza była widoczna nawet w południowej części Europy. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 5a8109f443

dwaj panowie g

No i stało się: puszkokrążcy kolejny raz wylegli na ulice polskich miast i wsi. Być może nie wiecie, ale osoby owsiacze zbierały tym razem „dla zdrowych brzuszków naszych dzieci". Uważamy to hasło za bardzo trafne i znaczące. Tyle że niepełne. Co więcej, sądzimy, że mogłoby to być hasło całej elyty III RP: „Dla zdrowych brzuszków naszych dzieci i dla naszych pełnych brzuszków".

Skoro już o elycie. Nie wierzcie w hiobowe wieści rozsiewane tu i ówdzie o tym, że rozpad Polski 2050 zakończy się odwróceniem koalicji rządowej i nowym gabinetem PiS-PSL-Hołownia. Owszem, Polska 2050 ciężko pracuje nad tym, by zmienić się w Polskę 2025, owszem, Szymek chętnie przytuliłby jakieś stanowisko ważne i odegrał się na Złym Donaldzie z Sopotu, ale trzeci człon tej konstrukcji jeszcze nie dojrzał do zbiorów. Znaczy Peezel. Nie zmienia to faktu, że podobno i Adam Bielan, i Misiek Kamiński wierzą, że taka rekonstrukcja jest możliwa.

Historia zabawna, a przez to smutna. Bo prawdziwa. Po opublikowaniu sondażu preferencji partyjnych, w którym omyłkowo wygrywał PiS, euforia w partii nie miała granic. Uznano, że jest to odpowiedź elektoratu na pokaz jedności. Rozdzwoniły się telefony od radnego do europosła, od działacza do prezesa. „Teraz to już z górki!" – wołano. Niestety, dwie godziny później okazało się, że wyniki PiS i PO były odwrócone. I wiecie co? Nikt do nikogo w partii wtedy jakoś nie dzwonił.

W kwestii partyjnych rozgrywek. Na Nowogrodzkiej odnotowano ciekawą prawidłowość. Kiedy atakowano Konfederację Mentzena, to rosło Koronie Brauna. Teraz gdy atakuje się Koronę Brauna, to rośnie Konfederacji Mentzena. Mamy salomonowe wyjście z tej sytuacji. Czy PiS nie mógłby po prostu atakować KO? Inna sprawa, że nie wiemy, komu by wtedy urosło.

Àpropos Mentzena. Ogłosił on Program 27, to znaczy nowatorską akcję, w ramach której to ludzie mają napisać Konfederacji program na



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

wybory w 2027 r. Gdyż sam Mentzen – jak powiedział w Internecie – na wszystkim się nie zna. Akcja nowatorska jest tylko z pozoru, gdyż pamiętamy, jak kampania PiS w 2015 r. prowadzona była pod hasłem objazdu całej Polski i słuchania ludzi. Gdybyśmy mieli dolara za każdy raz, gdy Bełata Szydło powtarzała w wywiadach: „PiS słucha ludzi", to moglibyśmy sobie kupić SpaceX.

Tymczasem program wykuwać będzie także Korona Brauna. 31 stycznia odbędzie się Kongres Inicjatyw Narodowych Gospodarczych i Samorządowych – w skrócie KINGS. Miejsce trzymane jest na razie w najgłębszej tajemnicy. Nazwiska niektórych prelegentów wcale nie są tak egzotyczne, jak mogłoby się niektórym wydawać. Ot, choćby silna frakcja gospodarcza, czyli Robert Gwiazdowski oraz Witold Modzelewski. Co ciekawe, wśród gości ma być także prawdziwy generał. Leon Komornicki.

Po Krakowie krąży sobowtór prezydenta miasta Miszalskiego. Piszemy sobowtór, gdyż to niemożliwe, żeby był to sam Miszalski. Ów sobowtór był widziany ostatnio w pubie o wdzięcznej nazwie Róg Brackiej i Reformackiej. Tak się składa, że ów przybytek uchodzi za knajpę czarnosecinnej prawicy grodu Kraka i to ona nas poinformowała, że widziano tam ostatnio osobę miszalsko-podobną. Ale jeszcze ciekawsze jest to, że ów sobowtór, przyjąwszy odpowiednią dawkę substancji zmieniających rzeczywistość w rzeczywistość baśniową, jął indagować obsługę na temat możliwości zakupu substancji – tak określmy – niebanderolowanych, których posiadanie nawet na własny użytek jest zakazane. I to ostatecznie nas przekonało, że musiał to być sobowtór.

Jeśli zaś chodzi o prawdziwego Miszalskiego, to ostatnio ma pod górkę. Wszystko bowiem wskazuje na to, że dojdzie do referendum w sprawie jego odwołania. A w dodatku z wyjątkiem samego Miszalskiego z jego rządów niezadowoleni są wszyscy. Odwołanie zaś Miszalskiego będzie skutkować nowymi wyborami włodarza miasta. I tutaj siurpryza. Otóż nieoficjalnie wiadomo, że z ramienia Platformy czy też Koalicji ma wystartować niejaki Bogdan Klich, obecnie udający ambasadora w Waszyngtonie. Wprawdzie Radek się zarzeka, że nie zamierza sprowadzać Klicha znad Potomaku, ale sami zobaczycie, ile warte są te zarzekania.

Jeśli już jesteśmy przy obsadzie placówki w Waszyngtonie. Otóż Duży Pałac nie zamierza w tej sprawie ustępować pola Radkowi. Podczas planowanego w tej sprawie spotkania ma być władcy gmachu z Alei Szucha zaproponowana nowa kandydatura na to stanowisko. W grze są obecnie dwie osoby. Obie to doświadczeni dyplomaci, obaj byli już nawet wiceministrami. Trwają też prezydenckie poszukiwania następcy na stanowisko Schnepfa, który z kolei udaje ambasadora w Rzymie.

Pałac chciałby mieć też swojego człowieka w Izraelu. Tutaj jest jednak pewien problem. W Tel Awiwie zupełnie wyjątkowo znajduje się nie przebieraniec, ale pełnoprawny ambasador, i to w randze generała. Były szef Agencji Wywiadu Maciej Hunia, który nominację uzyskał jeszcze od Andrzeja Dudy. Problem tkwi jednak w tym, że jest dopiero w połowie kadencji. Inna sprawa, że nie takie kadencje skracał ten gabinet. Kandydatem Pałacu na Izrael jest pewien profesor, który tak czy inaczej ma już tytuł ambasadorski. Nie ma tylko placówki. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Włam stanu

Waldemar Żurek, z błogosławieństwem premiera, dopuścił się kolejnego spektakularnego aktu bezprawia: na polecenie jego „prokuratury krajowej" (cudzysłów wynika z tego, że powołano ją bezprawnie, więc mowa o uzurpatorach, a nie o prokuraturze) włamano się siłowo do siedziby Krajowej Rady Sądownictwa, rozpruto kasy pancerne i zabrano przechowywane tam dokumenty. Wszystko to w chwili, kiedy szefowa KRS i inne ważne dla sprawy osoby znajdowały się w Sejmie, gdzie trwała debata nad prowokacyjnym projektem ustawy, skrytykowanym zgodnie przez Komisję Wenecką, Fundację Helsińską, Court Watch oraz Prokuratorię Generalną.

Szkoda czasu na wywodzenia bezprawności czynu, warto zapytać: Po co? Tylko dla potrząsania pięścią, pozorowania siły, podtrzymywania nadziei najbardziej fanatycznych wyborców, że wreszcie doczekają się zemsty na PiS? To też, ale o głównej przyczynie nikt mówić nie chce. A jest bardzo przyziemna. Chodziło o przejęcie akt i dowodów znajdujących się w posiadaniu rzeczników dyscyplinarnych. Po to był cały cyrk z ich „odwoływaniem", lipne śledztwo jako pretekst do włamu, którego, notabene, próbowano już kilka razy jeszcze za Bodnara.

Tak się nieprzypadkiem składa, że wielu sędziów rokoszan ma na sumieniu jakieś świństwa. Jeden klepnął bezprawną licytację komorniczą, drugi latami bezprawnie trzymał w areszcie niewinnego kibica, by się podlizać Tuskowi, inny z sobie znanych przyczyn zablokował proces groźnego gangu…

PiS woli krzyczeć o zamachu stanu, niż powiedzieć prawdę, bo ta prawda kazałaby zadać pytania: Ale dlaczego te akta leżały w sejfach, nim je Żurek rozpruł? Dlaczego przez tyle lat rzecznicy nie wszczęli przeciwko przestępcom w togach postępowań? Ktoś gotów odpowiedzieć: Bo zamiast oczyszczać „kastę", zbierano na nią „haki". Bo politycy dziś opozycyjni i prześladowani liczyli na to, że przewerbują tego i owego na swoją stronę. Ja nie znam odpowiedzi na te pytania, ale samo ich publiczne zadawanie nie byłoby PiS na rękę. Wojna polsko-polska okazuje się w tym punkcie zwykłą wojną gangów. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zdążyć z eksperymentem

Ćwierć wieku temu Barbara Labuda, minister w Kancelarii Prezydenta Kwaśniewskiego, postulowała, aby do regulaminów studiów wpisać zakaz handlu narkotykami. Inicjatywa feministki, działaczki liberalnej lewicy była klasycznym przykładem sprzeczności, w jakie musi uwikłać się każda rewolucja. Okazuje się, że wymyślony, idealny świat pięknoduchów: bezstresowe wychowanie (eliminujące wymagania i dyscyplinę), prawa dziecka (uchylające autorytet rodziców), odejście od wszelkich hierarchii jako struktur przemocy, czyli praktyczne „róbta, co chceta", zderza się z rzeczywistością... I wtedy szybko trzeba coś zrobić.

Obserwując działania szefowej MEN, widzę to samo, tylko w wersji hard. Najpierw rezygnacja z prac domowych, redukcja tożsamościowych, konserwatywnych lektur, wywalenie ze szkół wychowania do życia w rodzinie, marginalizacja katechezy, seksualizacja i nobilitacja zaburzeń identyfikacji płci, a teraz nieporadne próby regulacji stroju uczniów i prace nad ustawą o zakazie mediów społecznościowych do 15. roku życia.

Nie dajmy się jednak zwieść. To miotanie się Barbary Nowackiej nie oznacza spowolnienia rewolucji. Na pełnej petardzie wprowadzany jest „Kompas Jutra" – kompleksowy projekt przebudowy, a właściwie destabilizacji systemu oświaty. W miejsce edukacji, wiedzy, wychowania wprowadzony zostaje jakiś inkluzywny model terapeutyczny. Szkoła zamiast uczyć i rozwijać potencjał ucznia, traktuje go jak obiekt eksperymentu psychologicznego. Jednocześnie już od kwietnia wprowadzona zostaje tzw. ocena funkcjonalna, która pod pretekstem troski o kondycję ucznia będzie ukrytym narzędziem inwigilacji rodziny.

Wszystko to dzieje się bez realnych konsultacji z pominięciem dialogu, wbrew doświadczeniu nauczycieli i ekspertów, bez badań i rzetelnej analizy skutków. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie zwracaj uwagi

W Davos spotkali się wielcy tego świata, prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump mówił zgromadzonym m.in. o porządku światowym i strategicznej potrzebie posiadania przez USA Grenlandii. Stop. Donald Tusk spotkał się z wnukami na nartach, premier Polski mówił dzieciakom, jak się nie przeziębić. Stop. Łyso wam? Ponieważ Davos to jednak Szwajcaria, pozwolą państwo, że bez powodu przytoczę lekko bankowy cytat: „Kwinto, kto to jest?", „Nie zwracaj uwagi".

Minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska, znana jako wulkan intelektu lub kominek rozumu, spytana została przez dziennikarki telewizji, która nie umie się zlikwidować, spytana została zdradziecko, ile mianowicie ona, ta Paulina, zwróciła butelek plastikowych do automatów kaucyjnych. Stop. Pytanie było tendencyjne, bo system jakby nie za bardzo działa, z naciskiem na bardzo. Stop. Wtenczas fontanna odrzekła, że ona pije kawę oraz herbatę, butelek plastikowych w zasadzie nie dotyka, i uśmiechnęła się triumfalnie. Stop. Łyso wam? Ponieważ automaty kaucyjne zdaje się zniknęły, zanim się pojawiły, pozwolą państwo, że przytoczę niezabawny cytat z „Seksmisji": „Wyginęli? Przecież to nie były mamuty!".

Tu właśnie oraz teraz jawi się ważkie pytanie, czy minister sprawiedliwości, jakby nie było prawnik, a nawet kiedyś sędzia o nazwisku ciągle Żurek Waldemar, może nie znać prawa? Stop. Co? Żurek nie może? Żurek wszystko może! To są, proszę państwa, kadry! Stop. Tenże Żurek poinformował publicznie (zabezpieczone są dowody), że jeśli postępowanie trwa zbyt długo, to po jego zakończeniu strona może złożyć skargę na przewlekłość postępowania. Stop. Taki tam drobiazg. Stop. Studenci prawa wyśmiali publicznie ministra Żurka, bo taką skargę można złożyć wyłącznie, jeśli postępowanie trwa. Stop. Ponieważ sprawa dotyczy dotkliwej straty wizerunkowej, pozwolą państwo, że przytoczę cytat z Siary, bo to jednak siara: „Widzisz, Wąski, coś narobił? Urwałeś kurze złote jaja".

No hit! Ludzie się prawomocnie rozwiedli i w innym postępowaniu chcieli podzielić majątek, ale inna sędzia, Joanna Bieńkowska-Kolarz, zdaje się sprytno-leniwa, powiedziała, że ci ludzie, którzy się rozwiedli i mają wyrok, wcale się nie rozwiedli, bo rozwód miał orzec tzw. według tej Kolarz neosędzia. Stop. Jeśli ci ludzie wzięli po rozwodzie ślub, to według tej Kolarz są przestępcami bigamistami. I cytat na koniec nieco zmodyfikowany przez tysiące memów: „Ja tu widzę, siostry, że wy niezły burdel macie w tym swoim Archeo!". ©℗

eprasa.pl 5a8109f443

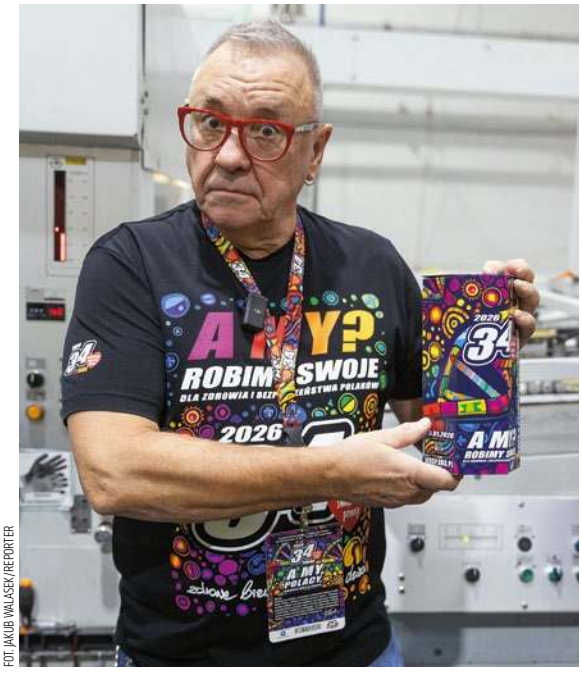


ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TAK NIE WOLNO!

Za nami kolejny finał najbardziej upolitycznionej akcji charytatywnej w kraju. Jak co roku Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy towarzyszyły emocjonalne wzmożenie i szantaż – nie wspierasz, krzywdzisz dzieci, jesteś złym człowiekiem, gorszy jest tylko pewien akwarelista z Austrii. Rolę przewodnią objął w chórze szantażystów sam Jerzy Owsiak. Lider fundacji opublikował w mediach społecznościowych nagranie, w którym zaprezentował tegoroczne studio finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Owsiak zapewnił, że jego



FOT. JAKUB WALASEK/REPORTER

organizacja dziś sama realizuje imprezę, a w przeszłości korzystała z pomocy wielkich firm. W trakcie oprowadzania po nowym miejscu szef WOŚP mocno się „odpalił". – Tak przy okazji dzisiejszego dnia, kiedy słyszę, jak ktoś próbuje mówić „nie daję na Owsiaka". Przez 34 lata nigdy nie zbieraliśmy „na Owsiaka". Ja nie potrzebuję takich zbiórek. W związku z tym wszystkim tym, którzy używają tego rodzaju sformułowań: warto po prostu się puknąć w głowę – stwierdził z oburzeniem. Skoro nie „na Owsiaka", to może po podlasku – „dla Owsiaka"? Tylko proszę mnie nie pozywać!

GEOPOLITYKA NA MIARĘ PISARKI

Skoro o „odpałach", to garść przemyśleń Manueli Gretkowskiej. Rozważania pisarki krążą wokół spraw najważniejszych, wielkiej polityki i architektury bezpieczeństwa. „Jeden nie ma dostępu do tajnych dokumentów, a jest szefem Narodowego Biura Bezpieczeństwa [pisownia oryginalna – przyp. red.], drugi do własnego rozumu, będąc prezydentem. Debil szusował po górach, ćpun po nas snusując" – rozpoczęła Gretkowska wpis na Facebooku. Oczywiście chodzi o prezydenta Karola Nawrockiego. „Być może SNUS to skrót od Strategii Narodowego Ujebania Się. Podpisuje więc kibolfons weta przeciw Polsce. Jego żona ogłasza akcję walki z nienawiścią wobec dzieci w Internecie, on sprzeciwia się takiej cenzurze, za co chwali go oficjalny narkoman (bo ten nawet się z tym nie kryje) Musk. Elon nienawidzi Unii Europejskiej za jej liberalizm. Sądzi chyba, że gdy doprowadzi do rozpadu europejskich demokracji, odrośnie penis jego córce po tranzycji i świat wróci do faszystowskiej normy. Skoro Jasną Górę można zamienić w Brunatną Górę faszyzującego kibolstwa – kultu siły, pogardy dla mniejszości, kobiet, zakłamywanie historii. Jezus był przecież frajerem w damskich kieckach" – kontynuuje pisarka swoje wizje. „Nawrocki robi wszystko, żeby przypodobać się Trumpowi, a Trump Putinowi. Udaje zaangażowanie w negocjacje pokojowe, pozwalając ruskim bombardować Ukrainę. Czasem gra na zwłokę jest grą na zwłoki. Zajęcie Grenlandii byłoby przysługą dla Putina. NATO zamieniłoby się w Układ Warszawski, państw przydatnych do najeżdżania sojuszników" – podkreśliła. Dalej było jeszcze coś o Danii, samolotach F-35 i innych ważnych sprawach, ale tego już czytelnikom oszczędzę.

DZIWNE PODEJŚCIE

Fitinfluencer Daniel Majewski postanowił odpowiedzieć na pytania fanów. Jedno z nich dotyczyło tego, czy zamierza ochrzcić syna. – Nie, ochrzci się, jak będzie świadomy, co to znaczy. Oczywiście mam nadzieję, że zostanie wychowany tak, że uzna to za istotne i będzie tego bardzo szczerze chciał albo nie będzie sobie nawet wyobrażał innego scenariusza. To już kwestia rodziców i wartości, na jakie patrzy, widząc rodziców i dom – stwierdził Majewski, który od dłuższego czasu dość ostentacyjnie prezentuje w mediach społecznościowych swoje przywiązanie do wartości chrześcijańskich. Media przypominają jedną z niedawnych wypowiedzi celebryty. – Każdego dnia wiara jest mocniejsza. Pan Bóg jest dla mnie wszystkim, w naszym domu jest na pierwszym miejscu i nic nigdy tego nie zmieni – przekonywał. Trzeba przyznać, nieco dziwne podejście do wychowania religijnego dziecka.

WIECIE WSZYSTKO

Podczas wspomnianego Q&A Daniel Majewski wyjawił również, że razem z żoną nie zamierzają posyłać syna do przedszkola. – Uważam, że jeśli mamy możliwość, by tego nie robić, a przy tym jesteśmy gotowi, by wziąć na siebie ogromną odpowiedzialność, to nie widzę ani jednego powodu, by to robić. Nie wiem, w czyje ręce trafia moje własne dziecko, czego jest uczone, jakie są metody nauki, jakie jest tam otoczenie, kto wychowuje się razem z nim, czego uczone są inne dzieci w swoich domach i jakie panują tam wartości – wyjaśniał. A co ze szkołą? Influencer podkreśla, że chciałby „oszczędzić synowi stresu i strachu". – Nie wiem jeszcze, co, i nie wiem, jak to będzie wyglądać, bo to grubszy temat, ale na szczęście mamy kilka lat i zobaczymy. W każdym razie sytuacja jest taka sama jak z przedszkolem. Jedyne, z czym kojarzy mi się szkoła, to wieczne życie w stresie i strachu. Czy to w szkole, czy w domu. Oszczędzimy tego Romeowi w stu procentach. Oczywiście mówię tutaj o klasycznym modelu szkoły, na innych się nie znam i jeszcze się nie zagłębiałem – przyznał. Wiemy już wszystko. Tylko po co? ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak może pamiętacie, jesteśmy z Warszawy, ale nie z samej – na co dzień mieszkamy w Krakowie, jakieś raptem 300 km, na upartego dałoby się dojechać Pendolino, czasowo nie jest źle, no ale finansowo trochę się nie opłaca.

No i w tym naszym Krakowie ostatnio się dzieje – kontrowersje na cały ten kraj. Pewnie słyszeliście, iż praktycznie w całym mieście obowiązuje Strefa Czystego Transportu. Znacie nas – my inicjatywy proekologiczne popieramy, więc się cieszymy. Zwłaszcza iż Strefa może ograniczyć napływ do naszego bądź co bądź wielkiego i modnego ośrodka januszów z Podkarpacia ich Polonezami Caro i Fiatami 125p, napędzanymi ropą, olejem po smażeniu kotletów i łzami Ostatniego Pokolenia.

I nagle obudzili się wielcy znawcy motoryzacji, że taki Polonez czy Fiat, czy jakiś stary Trabant to truje niby mniej niż elegancki wyleasingowany dwutonowy i pięciometrowy miejski SUV, którym anety z HR i inni pracownicy krakowskich korporacji odwożą osobodzieci trzy ulice dalej do szkoły (iż w Krakowie ciągle mamy dzieci, niewiele, ale jednak).

Of kors my się nie znamy i nie będziemy o tym dyskutować, nie wiemy, kto truje najbardziej, ale za to wiemy, iż najmniej truje rower (ale rekreacyjny, iż jak się ktoś spoci, to paruje i wtedy efekt cieplarniany rośnie). Nie będziemy rozstrzygać, z której rury wydechowej lecą gorsze spaliny: czy z SUV-a osoby pracującej w korporacji czy z Poloneza osoby spod Limanowej, która np. potrzebuje pojechać do Krakowa do szpitala. Chcemy za to opowiedzieć, jak te zmiany okropnie striggerowały Nowego z Tarnowa xD.



Otósh okazało się, iż nie możemy na Nowego dużej mówić, iż jest „z Tarnowa", jako iż Nowy w tajemnicy przed wszystkimi kilka miesięcy temu przerejestrował się i jest teraz oficjalnie mieszkańcem Krakowa (siara już wy dobrze wiecie w co). A zrobił to, aby dalej móc legalnie korzystać ze swojego starego Passata 1,9 TDI, iż niestety SCT jest zbyt mało radykalna, bo mieszkańcy Krakowa mogą zachować swoje kopcące auta. Jakoś w temacie pieców nie było takich luk i wymienić musieli je wszyscy. A Nowy się przerejestrował i teraz niby wielki Krakus z wielkiego ośrodka i jeździ tym Passatem i truje.

A że ostatnio mieliśmy w Krakowie wzmożony poziom smogu, porównywalny z metropoliami w Indiach i Pakistanie, Nowy zaczął pisać nam wszystkim e-maile i DM na Teamsach, iż „hehehe SCT nie działa, gdzie wasze czyste powietrze, lewaki, hehehe". Próbowaliśmy mu wytłumaczyć, iż przecież to za krótko, iż takie gruzy jak jego nadal mogą jeździć, że przecież to potrwa, ale oczywiście do tego wąsatego łba nic nie dociera i codziennie musimy się nasłuchać o spisku klimatystów, lewakach, którzy odbierają wolność, i że żałuje, że się wyrejestrował z Tarnowa, bo tam to można jeździć, czym się chce i dokąd się chce. Już nie wspomnimy o tym, iż obskoczył chyba wszystkie do tej pory zorganizowane protesty przeciwko Strefie Czystego Transportu, a na fejsbuku aktywnie lajkuje stasznie nieśmieszne prawackie memy z denializmem klimatycznym.

Jako iż znamy się nie od dziś, dosyć nas to bawi, of kors dopóty, dopóki nie zacznie demolować infrastruktury ładowania pojazdów elektrycznych, a to byłby już straszny przypał. Na szczęście na razie nauczył się robić memy w ChacieGPT i postuje codziennie na fejsbuku strasznie brzydkie grafiki, jest szansa, iż zanim mu się znudzi, to znajdzie sobie inny trigger xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Nanortalik

Donald, a my nie powinniśmy jednak kogoś wysłać na tę Grenlandię?
Daj spokój, ty wiesz, jak tam zimno jest?

No właśnie wcale nie. Sprawdzałem przed chwilą. W Nanortalik jest raptem jeden poniżej zera.
A... toś mnie zaskoczył. Ej, to może my pojedziemy? Możemy jeszcze Szymka zabrać, dla jaj. Taka misja sojusznicza, trzy ważne osoby, ale nie wojskowi, więc mniej konfrontacyjnie niż tych 14 Niemców.

No ale w sumie po co my tam?
Nie chciałbyś się przelecieć za nieswoje na Grenlandię? A jakby było zimniej, to łyskacza podkradniemy Włodkowi. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kiedy wokół szaleją kryzysy, w Polsce mamy #BudżetPrzyspieszenia".

WITOLD ZEMBACZYŃSKI, *poseł KO, na X*

eprasa.pl 5a8109f443



eprasa.pl 5a8109f443



FOT. WORLD ECONOMIC FORUM/BENEDIKT VON LOEBELL

DONALD TRUMP
W DAVOS ZAINAUGUROWAŁ RADĘ POKOJU

W szwajcarskim Davos amerykański prezydent Donald Trump zainaugurował 22 stycznia powołaną przez siebie Radę Pokoju. Na scenie wśród reprezentantów 20 państw sygnatariuszy pojawili się m.in. prezydent Argentyny Javier Milei, premier Węgier Viktor Orbán oraz przedstawiciele władz takich krajów jak Arabia Saudyjska, Armenia, Azerbejdżan, Bahrajn, Bułgaria, Indonezja, Jordania, Katar, Kazachstan, Maroko, Pakistan, Paragwaj, Turcja, Uzbekistan czy Zjednoczone Emiraty Arabskie. Wśród członków założycieli nie było ani Rosji, ani Chin, choć Donald Trump zaprosił do Rady Pokoju przywódców obu tych mocarstw.

W swym przemówieniu w Davos amerykański przywódca dziękował m.in. prezydentowi Polski Karolowi Nawrockiemu, gratulując mu zwycięstwa w bardzo ważnych wyborach. Nawrocki znalazł się bowiem wśród przywódców zaproszonych do Rady Pokoju. Polski prezydent wyraził zainteresowanie inicjatywą, ale nie złożył podpisu pod aktem powołującym ten organ. Po polskim prezydencie Donald Trump wymienił byłego premiera Wielkiej Brytanii Tony'ego Blaira, który zasiada w radzie wykonawczej Rady Pokoju.

Czym jest ten nowy organ? Początkowo idea powołania Rady Pokoju była wspierana przez ONZ jako część planu pokojowego Donalda Trumpa dla Strefy Gazy. Obecnie część ekspertów ostrzega, że Trump może chcieć, by jego Rada Pokoju zastąpiła ONZ. Z założenia nowy organ ma jednak z ONZ współpracować. Pierwszym celem Rady Pokoju ma być doprowadzenie do trwałego porozumienia pokojowego w Strefie Gazy. Jak przekonywał szef amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio, Rada Pokoju może zapoczątkować „nową erę" w dyplomacji i stać się modelem do rozwiązywania innych konfliktów na świecie.

Według zaprezentowanej w Davos Karty Rady Pokoju organ ten ma funkcjonować jako koalicja państw zaproszonych do udziału przez przewodniczącego, którym jest prezydent USA, Donald Trump. Każde państwo członkowskie jest reprezentowane przez głowę państwa lub szefa rządu. Każde państwo dysponuje jednym głosem, decyzje zaś zapadają większością głosów. Stałe członkostwo w Radzie Pokoju ma kosztować poszczególne kraje co najmniej 1 mld dol. rocznie. ***(jap)*** ©℗

CZYTAJ TAKŻE „POLSKA MIĘDZY WASZYNGTONEM A BERLINEM" NA STR. 22

eprasa.pl 5a81091443



Łukasz Warzecha

Nadregulacja jest działaniem na rzecz zniszczenia małych i średnich firm oraz wyparcia ich przez największe przedsiębiorstwa. Ręka w rękę w tej dziedzinie działają największe polskie partie polityczne



Dociskanie

Za kilka dni polska gospodarka wkroczy w czas być może dawno niewidzianych perturbacji i chaosu: wejdzie w życie Krajowy System eFaktur. Analogią może być okres, gdy Mateusz Morawiecki uszczęśliwiał Polaków Polskim Ładem. Genialny system, który miał z jednej strony zasilić kulejącą służbę zdrowia ogromnymi pieniędzmi, a z drugiej dać PiS wielki pozytywny impuls w wyborach w 2023 r., okazał się spektakularną klapą. Ogromna liczba niejasności, wątpliwości, niezrozumiałe przepisy, dziwacznie wyliczane obciążenia fiskalne – wszystko to sprawiło, że w Polskim Ładzie gubili się nawet zawodowi księgowi czy doradcy podatkowi, a pracownicy i przedsiębiorcy z przerażeniem nagle stwierdzali, że na konta wpływa im znacznie mniej pieniędzy, niż oczekiwali. I nikt nie umiał im wyjaśnić, dlaczego właściwie tak jest. Z niektórych regulacji nowego systemu w końcu się wycofano, ale pozostawiono część najbardziej obciążającą podatników, czyli brak możliwości odliczenia składki zdrowotnej od podatku.

Odwrócenie tego stanu rzeczy obiecywała w swoich 100 konkretach Koalicja Obywatelska. „Wrócimy do ryczałtowego systemu rozliczania składki zdrowotnej" – zapowiadano. Nic takiego nie nastąpiło, ale rządząca koalicja postanowiła choć częściowo odwrócić skutki zmian wprowadzonych przez Polski Ład. W kwietniu 2025 r. przez Sejm przeszła ustawa, częściowo przywracająca możliwość odliczania składki – nie do postaci sprzed Polskiego Ładu i nie dla wszystkich, jednak na tej zmianie skorzystałoby 2,5 mln przedsiębiorców. Skorzystałoby, gdyby nie zawetował jej ówczesny prezydent Andrzej Duda. „To w demokratycznym państwie prawnym absolutnie kwestia niedopuszczalna. Nie można wprowadzać tak istotnych zmian, skutkujących tak poważnymi skutkami finansowymi, dla każdego obywatela, dla każdego z nas, bez skonsultowania ze stroną społeczną" – grzmiała wtedy szefowa prezydenckiej kancelarii Małgorzata Paprocka. Takich wątpliwości jednak prezydent nie miał, gdy podpisywał ustawę powiększającą fiskalne obciążenia przedsiębiorców. Wówczas brak konsultacji ze stroną społeczną go nie niepokoił. Być może uznał, że przedsiębiorcy to nie „strona społeczna".

PIS I KO – RĘKA W RĘKĘ

Ta sytuacja jest symboliczna dla stosunku obu głównych polskich sił politycznych do przedsiębiorców: i PiS, i Koalicja Obywatelska są nastawione przede wszystkim na dopieszczanie wielkiego, korporacyjnego biznesu, za to są bardzo kreatywne w tworzeniu prawa uderzającego w małych i średnich przedsiębiorców. Pomysły z tej dziedziny,

eprasa.pl 5a8109f443



Gdy dzisiaj przedsiębiorcy, szczególnie ci mniejsi, drżą przed startem KSeF, wiele osób nie pamięta, że to wspólne dzieło PiS i KO FOT. WIKTOR DABKOWSKI/EYEVINE/EAST NEWS

prywaciarzy

które stworzył PiS, przejmuje następnie obecna koalicja rządząca i twórczo rozwija, dorzucając wiele od siebie.

Przykład Polskiego Ładu pokazuje hipokryzję obu stron. Gdy Koalicja Obywatelska prezentowała na początku 2025 r. swój projekt, zakładający częściowe przywrócenie możliwości odliczania składki, PiS był zdecydowanie przeciwny. Tymczasem rok wcześniej, w marcu 2024 r., jego posłowie złożyli w Sejmie projekt… powrotu do zasad sprzed Polskiego Ładu. Ta zmiana oznaczałaby ubytek ok. 9 mld zł w budżecie, a więc niemal dokładnie dwa razy więcej niż oprotestowana 12 miesięcy później zmiana przegłosowana przez koalicję i zawetowana przez prezydenta.

Stanowisko Andrzeja Dudy nie było zaskakujące. Były prezydent był kompletnie niewrażliwy na sprawy przedsiębiorców. Nie rozumiał ich i nie znał się na nich, za to było mu blisko – podobnie jak całemu PiS – do związku zawodowego Solidarność z jego niemal już dożywotnim przewodniczącym Piotrem Dudą. To właśnie lider Solidarności wygłosił podczas jednego ze spotkań w Pałacu Prezydenckim – siedząc zresztą tuż obok prezydenta Dudy – słowa: „Jeżeli ktoś chce faktycznie prowadzić jednoosobową działalność gospodarczą i ona mu nie wychodzi – przepraszam bardzo, to niech idzie na etat!". To bezczelność charakterystyczna dla Piotra Dudy – słowa wyjątkowo aroganckie jak na człowieka, który od 16 lat żyje z bycia zawodowym związkowcem.

Gdy dzisiaj przedsiębiorcy, szczególnie ci mniejsi, drżą przed startem KSeF, wiele osób nie pamięta, że to również wspólne dzieło PiS i KO. System KSeF zaprojektował nie kto inny, jak Morawiecki – nie osobiście rzecz jasna. To za rządów PiS władza działała zgodnie z zasadą, że przedsiębiorcy z definicji są podejrzani i trzeba stworzyć jak najwięcej instrumentów ich inwigilacji, także podatkowej (dotyczyło to zresztą ogółu podatników). Do takich właśnie zalicza się KSeF, a wcześniej również wprowadzony za PiS w 2016 r. obowiązek korzystania z jednolitego pliku kontrolnego. KSeF to jednak poziom wyżej.

JESZCZE WIĘKSZE KOMPLIKACJE

System w swojej nieobowiązkowej postaci ruszył jeszcze w 2022 r., a ówczesna władza planowała, że stanie się obligatoryjny od początku 2024 r. Potem przesunięto ten termin na lipiec tamtego roku, ale w październiku 2023 r. PiS, jak wiadomo, stracił władzę. Następcy sięgnęli zatem po już istniejący instrument i tym razem postanowili go wdrożyć mimo ogromnej fali krytyki oraz ostrzeżeń.

KSeF dla dużych firm ma być obowiązkowy od 1 lutego, a dla wszystkich podatników VAT od 1 kwietnia. Od 2027 r. system ma objąć już każdą firmę wystawiającą faktury. W praktyce nawet mali przedsiębiorcy, współpracujący z większymi podmiotami, będą musieli używać KSeF od samego początku. Oficjalnym uzasadnieniem jest oczywiście frazes o uszczelnianiu systemu. W praktyce skutkiem będzie, że administracja skarbowa będzie mieć w każdym momencie na bieżąco podgląd każdej wystawianej w Polsce faktury.

Najważniejsze są trzy punkty krytyki wobec KSeF. Pierwszy dotyczy nadmiernego skomplikowania systemu, jego złego przygotowania i bardzo

eprasa.pl 5a8109f443

prawdopodobnego zawieszania się. Takie opinie są formułowane przez przedsiębiorców, którzy system wypróbowywali na zasadzie dobrowolności. Problemy z obsługą systemu mogą spowodować, że przedsiębiorca, zamiast zajmować się prowadzeniem biznesu, będzie ślęczał nad komputerem, starając się sprostać problemom. Jeżeli system stanie się niedostępny, to istnieje obowiązek wystawienia „zwykłej" faktury, ale następnie wszystkie takie dokumenty trzeba wprowadzić do systemu w ciągu tygodnia od zakończenia awarii. Nietrudno wyobrazić sobie, że przynajmniej na początku zawieszenia i kłopoty mogą się mnożyć i nakładać na siebie, a w takiej sytuacji przedsiębiorcy będą starali się nadgonić wprowadzanie do systemu wystawionych faktur, jednak zaległości mogą narastać, zamiast się zmniejszać. A co, jeśli w czasie zaciągania faktur z okresu poprzedniego przestoju KSeF ponownie stanie i zaległych dokumentów nie uda się wprowadzić w ciągu siedmiu dni?

Drugi wątek krytyki to nadmierne skomplikowanie prowadzenia praktycznie każdego biznesu w Polsce. W państwach, gdzie stawia się nie tylko na wielkie inwestycje i firmy, lecz także na drobną przedsiębiorczość, dba się o to, żeby jej prowadzenie było jak najprostsze i związane z jak najmniejszą liczbą komplikacji. W Polsce popularne są pogardzanie małym biznesem i opowieści o „januszeksach". W praktyce przesiadka z papierowych faktur na KSeF może być nie do przejścia dla wielu mikroprzedsiębiorców, działających w biznesie na niewielką skalę od lat. Nie chodzi nawet o koszty sprzętowe – choć zapewne wiele starszych komputerów, używanych w firmach, KSeF nie uciągnie – ale o poziom wiedzy i zorientowania się w procedurach niezbędnych do uzyskania dostępu do systemu. Przedsiębiorca mógłby oczywiście za zajęcie się tym komuś zapłacić, ale wielu najmniejszych nie będzie na to stać. Wielu może też zamknąć działalność – nie dlatego, że KSeF uniemożliwi im oszustwa, jak zapewne widzą to przedstawiciele lewicy, ale dlatego, że zbyt wysoko ustawi poprzeczkę kompetencji cyfrowych lub kosztów.

Wreszcie trzeci, bardzo ważny wątek to sprawa szczelności systemu. KSeF to gigantyczna ilość informacji, w tym zawierających tajemnice handlowe. Te informacje znajdą się w zasięgu dziesiątków tysięcy pracowników Krajowej Administracji Skarbowej. Trudno sobie wyobrazić, aby taki system mógł nie przeciekać. Władza nie rozwiała dotąd dotyczących tego obaw. Nie wiemy, jak organizacyjnie i technicznie będzie rozwiązana sprawa dostępu do danych. Czy pracownicy KAS będą musieli posiadać specjalne upoważnienia? Czy zostaną sprawdzeni przez służby?

Za nieprzestrzeganie tego montypythonowskiego przepisu grożą naprawdę poważne kary – w przypadku uznania ogłoszenia za dyskryminujące płciowo to nawet 30 tys. zł

Nie chodzi jedynie o wycieki o charakterze korupcyjnym. Taki system będzie kopalnią danych dla cyberprzestępców. Czy jest przed tym wystarczająco zabezpieczony – nie wiadomo.

Kilka tygodni temu w mediach społecznościowych pojawił się pomysł, aby wszystkie faktury za wszelkie zakupy w ramach KSeF brać na numery NIP urzędów skarbowych. Teoretycznie jest to możliwe. Zaatakowana w ten sposób firma będzie musiała przekopywać się przez sterty elektronicznych dokumentów, ustalając, które naprawdę zostały przez nią wystawione, a które są tylko czyjąś złośliwością. A to tylko jeden z potencjalnych problemów i nieszczelności.

Nie jest prawdą – jak twierdzi władza i obrońcy KSeF – że „cała Europa robi to samo" i że jest to konieczna implementacja unijnej dyrektywy. Jak to często bywa – Polska znowu zastosowała „pozłacanie", czyli wdrażanie prawa UE, w tym wypadku dyrektywy ViDA (VAT in the Digital Age, „VAT w dobie cyfrowej"), na 150 proc.

Często podawany jest przykład sąsiednich Czech, które nie mają scentralizowanego systemu e-faktur i go nie planują. We Francji dla państwowego systemu istnieją prywatne alternatywy. W Niemczech nie wprowadza się systemu centralnego. Również Litwa nie wprowadza odpowiednika KSeF. Nie musi, bo dyrektywa ViDA tego wcale nie wymaga.

OSOBY PRACOWNICZE

Jeżeli przedsiębiorcom po zabawie z komputerem i KSeF zostanie jeszcze trochę czasu, to będą musieli zająć się zagadnieniem tak kluczowym dla biznesu jak zadbanie, aby ogłoszenia o pracę były neutralne płciowo. Ten obowiązek wynika z nowelizacji Kodeksu pracy z czerwca 2025 r. Była to jedna z ostatnich ustaw, które podpisał prezydent Duda. Jego tłumaczenie, przedstawione w wywiadzie w Radiu Zet u Bogdana Rymanowskiego, wprost zwala z nóg. Były prezydent, pytany o tę sprawę, zaczął się nerwowo śmiać, a następnie przyznał, że to ideologiczna bzdura. Zapytany, dlaczego w takim razie tę bzdurę podpisał, odparł, że miał poczucie, że i tak już dużo blokuje.

Za nieprzestrzeganie tego montypythonowskiego przepisu grożą naprawdę poważne kary – w przypadku uznania ogłoszenia za dyskryminujące płciowo to nawet 30 tys. zł. Grzywnami groził już w mediach społecznościowych szef Państwowej Inspekcji Pracy, Marcin Stanecki, nominat Szymona Hołowni na to stanowisko. Szef PIP uwielbia się w ostatnim czasie lansować, nie dostrzegając, jak się zdaje, własnej groteskowości oraz absurdalności regulacji, o których opowiada.

Ten zapis Kodeksu pracy, będący emanacją najgorszej wersji wokeizmu, jest typowym przykładem przeregulowania biznesu. Nie służy nikomu, nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia – wszak w języku polskim męskie formy obejmują obie płcie (dlatego irytującym absurdem jest przyjęta przez większość polityków fraza „Polki i Polacy") – za to sprawia, że przedsiębiorcy będą musieli tracić czas na dodatkowe kombinowanie, jak sporządzić ogłoszenia o pracę. Każdy kolejny rozpraszacz – nowy system informatyczny do przyswojenia, kolejny ideologiczny wymóg do spełnienia – odciąga przedsiębiorcę od tego, czym powinien się zajmować. W skali liczby mikrofirm, w których pracuje ponad 4 mln osób, daje to ogromne straty wysiłku i czasu.

Co więcej, odbiera się pracodawcom prawo do kształtowania biznesu zgodnie z ich przekonaniami i koncepcją. Jeśli ktoś

eprasa.pl 5a8109f443

prowadzi lokal gastronomiczny i uważa, że lepiej w roli kelnerek sprawdzą się panie, to powinien móc jasno napisać to w ogłoszeniu i tak prowadzić rekrutację. Jeśli z kolei ktoś potrzebuje silnego mężczyzny do warsztatu wulkanizacyjnego, to także powinien mieć prawo sformułować ogłoszenie w taki sposób.

UDERZENIE W MAŁY BIZNES

Wszystkie te regulacje i zabawy mają jedną wspólną cechę: uderzają najbardziej w drobny biznes. Dla małego przedsiębiorcy, który w swojej firmie zatrudnia ledwie kilka osób, każdy dodatkowy obowiązek jest ogromnym obciążeniem. Im większa firma, tym jest ono mniejsze. Dlatego przeregulowanie gospodarki uderza w najmniejszym stopniu w firmy największe, a zwłaszcza w korporacje. Tam do odpowiedniego pisania ogłoszeń, wypełniania raportów ESG czy babrania się w KSeF sadza się po prostu ludzi z odpowiedniego działu, co przy zatrudnieniu sięgającym kilkuset osób nie ma większego znaczenia. Nadregulacja jest zatem działaniem na rzecz zniszczenia sektora MŚP i wyparcia go przez największych. Ręka w rękę w tej dziedzinie działają największe polskie partie polityczne.

O ile rząd KO z PSL, Lewicą i Polską 2050 wprowadził ideologiczną poprawność polityczną do ogłoszeń o pracę, o tyle poprzednia władza przyduszała biznes, robiąc za pieniądze przedsiębiorców prezenty własnym wyborcom w postaci podwyższania płacy minimalnej. Tę kwestię reguluje ustawa o wynagrodzeniu minimalnym z 2002 r. Zobowiązuje ona rząd do podwyższania go raz w roku, jeśli prognozowany na następny rok wskaźnik inflacji wynosi poniżej 5 proc., oraz dwa razy, jeśli go przekracza. Kolejny artykuł ustawy precyzuje, o jaki minimalny poziom powinna wzrosnąć płaca minimalna – tu uwzględniana jest inflacja i prognoza wzrostu PKB.

Ten obowiązkowy mechanizm jest krytykowany od dawna m.in. za to, że nie wprowadza żadnej formy regionalizacji płacy minimalnej, choćby na poziomie województw, a przecież koszty życia w województwach podlaskim i małopolskim czy lubelskim i zachodniopomorskim nie są jednakowe. Złym rozwiązaniem jest również opieranie się nie na średniej wynagrodzeń jako bazie do wyliczenia podwyżek, ale na wzroście PKB, i to nie faktycznym, lecz prognozowanym. Na dodatek rząd PiS notorycznie przekraczał wymogi ustawowe. Podczas ośmiu lat sprawowania władzy podnosił wynagrodzenie minimalne dziesięciokrotnie, z czego ok. połowy tych podwyżek przekraczało wymagane minimum.

W teorii ustawa nakazuje, aby wysokość podwyżki na podstawie propozycji rządu uzgadniano w Radzie Dialogu Społecznego, gdzie zasiadają przedstawiciele strony związkowej, rządowej i organizacji pracodawców. Ale ten mechanizm jest fikcyjny i od dawna nie funkcjonuje. Ustawa stwierdza bowiem, że jeśli RDS nie uzgodni decyzji w ciągu 30 dni od otrzymania propozycji, to rząd decyduje sam rozporządzeniem. Jasne jest, że związkowcy, mając jako partnera sprzyjający sobie socjalistyczny rząd Morawieckiego, działali w taki sposób, aby do uzgodnienia nie doszło, wiedząc, że wówczas minimalne wynagrodzenie zostanie podniesione w stopniu dla nich satysfakcjonującym.

Wszystkie te regulacje i zabawy mają jedną wspólną cechę: uderzają najbardziej w drobny biznes

Za nowej władzy nic się nie zmieniło, zwłaszcza że wiceprzewodniczącą RDS ze strony rządowej jest Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, autorka tak ekscentrycznie lewicowych pomysłów jak pilotaż czterodniowego tygodnia pracy. Już w 2024 r. przedstawiciele pracodawców narzekali, że rząd Tuska nawet nie przedstawił im propozycji podwyżki. Po prostu zlekceważył gremium.

Polski mechanizm ustalania płacy minimalnej jest centralistyczny i sprzyja związkowcom. Tymczasem w wielu krajach – chociażby w Austrii, Danii czy socjalnej Szwecji – wynagrodzenie minimalne jest kwestią ustaleń branżowych bezpośrednio między związkowcami a pracodawcami, co jest rozwiązaniem znacznie elastyczniejszym.

PiS, podnosząc płacę minimalną, chwalił się, że działa w interesie pracobiorców. To hipokryzja. Po pierwsze – windowanie płacy minimalnej jest działaniem proinflacyjnym. Sztucznie wymuszony ruch płac, niewynikający z mechanizmów rynkowych, musi powodować spadek siły nabywczej pieniądza, a więc wynagrodzeń – czyli wzrost inflacji. Podnoszenie płacy minimalnej przez rząd jest zatem swego rodzaju grą o sumie zerowej, która ma jedynie propagandowe znaczenie. Po drugie – powoduje to wzrost presji płacowej, czyli wymusza na pracodawcach podnoszenie wszystkich wynagrodzeń, aby zachować proporcje pomiędzy tymi, którzy wykonują prostsze prace lub mają mniejsze kwalifikacje, a tymi z lepszymi kwalifikacjami czy na kierowniczych stanowiskach. Co – jasna sprawa – wpływa na wzrost cen, czyli napędza inflację. Jasne jest, że nie wszystkich przedsiębiorców na to stać, co sprawia, że większa część pracowników zarabia pensję minimalną. W 2024 r. było to blisko 28 proc. pracujących na etacie, przy czym najbardziej efekt spłaszczenia jest widoczny na dole skali wynagrodzeń. To z kolei wpływa zniechęcająco na tych, którzy chcieliby się dokształcać albo oczekują lepszych pieniędzy w zamian za posiadane umiejętności. Jeśli kurczy się różnica między zwykłym pracownikiem a tym z wysokimi kwalifikacjami, to ten ostatni traci motywację.

Dla władzy podwyższanie płacy minimalnej ma dwie zalety. Po pierwsze – można się pochwalić prezentem dla wyborców, zrobionym na koszt przedsiębiorców. Po drugie – wyższa płaca minimalna oznacza wyższe nominalnie wpływy podatkowe. A że część przedsiębiorców nie będzie w stanie w takich warunkach funkcjonować – cóż, to już ich problem.

W 2017 r. podczas konferencji „Odpowiedzialność przedsiębiorców za Polskę" na uczelni o. Rydzyka w Toruniu Jarosław Kaczyński wypowiedział pamiętne słowa: „Jeśli ktoś nie jest w stanie prowadzić działalności gospodarczej w takich warunkach, to znaczy, że się do niej po prostu nie nadaje". To aroganckie stwierdzenie, padające z ust człowieka, który od dekad pozostaje na utrzymaniu podatników jako zawodowy polityk, jest świetnym podsumowaniem stosunku największych sił politycznych do ludzi, budujących polski PKB.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



FOT. SZYMON PULCYN/PAP



Z Adamem Abramowiczem, prezesem Rady Przedsiębiorców, Rzecznikiem Małych i Średnich Przedsiębiorstw w latach 2016–2024
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ustawa Wilczka 2.0 potrzebna od zaraz

eprasa.pl 5a8109f443

RYSZARD GROMADZKI: Polska jest krajem gospodarczego sukcesu, jak głoszą kolejne ekipy rządzące, czy raczej państwem niewykorzystanych możliwości i straconych szans gospodarczych?

ADAM ABRAMOWICZ: Niewątpliwie osiągnęliśmy w ciągu 35 lat transformacji, a ściślej rzecz ujmując – od wprowadzenia ustawy Wilczka, sukces. Polska zmieniła się z kraju siermiężnego socjalizmu w kraj nowoczesnej gospodarki. To widać na ulicach i widać po ilości gotówki w naszych kieszeniach, możliwości wyjazdów Polaków, których wcześniej nie było, nie tylko ze względów politycznych, lecz także ekonomicznych. Dziś ogromna rzesza Polaków ma dla siebie otwarty cały świat. Ale gdybyśmy zostali przy ustawie Wilczka, a politycy nie ograniczaliby działalności gospodarczej i nie narzucali kolejnych regulacji, obowiązków i ciężarów, to byśmy byli jeszcze dalej zaawansowani w rozwoju. Myślę, żebyśmy doganiali albo i przeganiali niektóre państwa Europy Zachodniej.

W światowym raporcie wolności gospodarczej za 2025 r. Polska zajmuje dopiero 76. miejsce na 165 sklasyfikowanych państw. Dlaczego pana zdaniem polskie państwo tak dusi przedsiębiorczość?

Ten ranking potwierdza to, co powiedziałem wcześniej. Jeśli mimo tak odległej lokaty mówimy o sukcesie gospodarczym w Polsce, to o ile bogatsi bylibyśmy, gdybyśmy w tym rankingu byli w pierwszej piątce? Niestety, praktyka ostatnich lat pokazuje, że ciężarów nakładanych na przedsiębiorców, zamiast ubywać, wciąż przybywa. Dlaczego mamy do czynienia z takim stanem rzeczy? Ano dlatego, że polscy politycy i urzędnicy nie rozumieją, że ograniczanie szerokiego zakresu wolności gospodarczej, kiedy są możliwości nieskrępowanego działania i zarabiania pieniędzy, przez pomysły takie jak Polski Ład czy wprowadzany obecnie KseF (Krajowy System e-Faktur), nowe restrykcje w Kodeksie pracy związane z kontrolowaniem równości, ograniczanie umów B2B, odbiera energię przedsiębiorcom. Ci ludzie chcą pracować i tworzyć dochód narodowy, wystarczy im nie przeszkadzać. Jest wiele przykładów na to, jak innowacyjne pomysły, które mogłyby być realizowane w Polsce, ostatecznie materializują się za granicą. Mam na myśli choćby firmę produkującą satelity radarowe. Jej twórca nie znalazł klimatu do rozwinięcia swojego przedsięwzięcia w Polsce, znalazł go w Finlandii. Takich przypadków jest zdecydowanie więcej. Politycy żyją w odrębnej rzeczywistości.

Przecież w ten sposób podcinają gałąź, na której siedzą i oni, i my...

Tak jest, ale oni mówią: „Zobaczcie, nie jest źle, wprowadzamy nowe ciężary, ale podnosimy płacę minimalną, poza tym wszystko dalej działa". Ale tak dobrze dalej już nie będzie. Widać już, że gospodarka hamuje, bezrobocie rośnie. Istotną przyczyną podejścia władzy do gospodarki w Polsce jest to, że wśród polityków w zasadzie nie ma przedsiębiorców. Nie mamy w Sejmie swojej reprezentacji. W większości są tam urzędnicy, nauczyciele czy lekarze. A urzędnicy mają wciąż mentalność rodem z poprzedniego systemu. Urzędnik nie pomaga przedsiębiorcy czy – szerzej – obywatelowi, nie realizuje zasady, która powinna obowiązywać w każdym cywilizowanym państwie, czyli jeśli przepis jest niejasny i są wątpliwości, których się nie da usunąć, to te niejasności powinny być interpretowane na korzyść obywatela. Podobnie powinno być w prowadzonych postępowaniach – to nie my mamy udowadniać niewinność, tylko urzędnicy winę.

Tak dobrze dalej już nie będzie. Widać już, że gospodarka hamuje, bezrobocie rośnie. Istotną przyczyną podejścia władzy do gospodarki w Polsce jest to, że wśród polityków w zasadzie nie ma przedsiębiorców

Jest dokładnie odwrotnie, to obywatel musi udowodnić, że nie jest wielbłądem.

Dokładnie tak. To hipokryzja ze strony rządzących, którzy raz po raz zapewniają, że będą ustawowo regulowali, aby wszystkie niejasności były interpretowane na korzyść obywatela. Uchwala się nawet odpowiednie ustawy, ale w praktyce mamy wręcz do czynienia z agresją wobec obywateli. Najświeższe przykłady dotyczą działań ZUS, który pozbawia ludzi składek emerytalnych płaconych przez całe lata, bo według ZUS płacący nie miał tytułu do ubezpieczenia. To pokazuje prawdziwy stosunek urzędników do Polaków. W tle tego wszystkiego mamy szumne zapowiedzi ustaw, które miały chronić obywateli ze strony premiera Tuska. Wracając do pana wcześniejszego pytania o przyczyny duszenia polskiej przedsiębiorczości, trzeba wskazać na brak silnej reprezentacji przedsiębiorców w Sejmie oraz na mentalność urzędniczą ukierunkowaną na służenie budżetowi. Przejawia się to w imperatywie zabierania za wszelką cenę pieniędzy od obywateli, bo budżet potrzebuje kasy, a po nas choćby potop.

Czy to, że w Sejmie nie ma silnej reprezentacji polskich przedsiębiorców, która broniłaby skutecznie ich interesów, nie jest winą ich samych?

Jest faktem, że wśród prawie 3 mln ludzi prowadzących działalność gospodarczą w Polsce słabo przebija się potrzeba wspólnego działania, we własnym interesie. Nie wyłoniliśmy przez 35 lat gospodarki wolnorynkowej takiej reprezentacji, w przeciwieństwie do Niemiec. Tam rząd każdą ustawę konsultuje ze środowiskiem przedsiębiorców, liczy się z ich zdaniem. U nas wciąż pokutuje mentalność wyniesiona jeszcze z PRL: „ciszej jedziesz, dalsze budiesz".

Ludzie nie chcą się wychylać, obawiając się przeciwstawić urzędniczej arogancji, bo urzędnicy ich zniszczą. Jako prezes Rady Przedsiębiorców widzę to w rozmowach. Mówię często: „Zrzeszmy się, przyjdźcie do nas, staniemy razem w naszej obronie". W odpowiedzi słyszę: „Nie, nie, wolimy już zapłacić mandat". No i płacą, pięćset czy tysiąc złotych przy kolejnej kontroli, nieważne, czy jest do tego podstawa czy nie, byle tylko mieć święty spokój. Jeśli to się w naszym środowisku nie zmieni, to dalej będziemy traktowani w taki sposób, jak jesteśmy. Przedsiębiorcy nie zdają sobie sprawy, że każdego może dotknąć nieszczęście w postaci aresztu tymczasowego. Mamy w Radzie Przedsiębiorców człowieka, który został

eprasa.pl 5a8109f443

aresztowany na trzy miesiące. W tym czasie zniszczono mu wszystkie firmy. A trafił do aresztu na podstawie oskarżenia kogoś, kto był aresztowany wcześniej i zachęcany do tego, żeby wskazać wspólników do swojego interesu w zamian za łagodne potraktowanie. Chodzi zatem nie tylko o możliwości kontroli, kar, utrudniania działalności, lecz także w skrajnych przypadkach utratę całego majątku i dobrego imienia.

Jako praktyk nie ma pan wrażenia, że w Polsce mamy do czynienia z systemowym niszczeniem przedsiębiorczości i przedsiębiorców ze strony państwa, bez względu na to, czy rządzi Koalicja Obywatelska czy PiS, Tusk czy Morawiecki? Jak wytłumaczyć takie działanie? Przecież państwo żyje z przedsiębiorców.

Ta praktyka wiąże się z potrzebą wyssania od przedsiębiorców jak największej ilości pieniędzy, bo przecież politycy muszą mieć środki na przekupywanie elektoratu. Dlatego od urzędników wymaga się wyciągnięcia maksymalnie dużo kasy z firm za wszelką cenę, nie patrząc, czy są do tego podstawy prawne. Sprawy toczą się potem w sądach wiele lat, a rozstrzygnięcia zapadają często wtedy, kiedy już rządzi ktoś inny. Można tak robić bezkarnie, bo urzędnicy w Polsce nie odpowiadają swoim majątkiem za decyzje sprzeczne z prawem. Ponadto to efekt gestów w stronę lewej strony sceny politycznej, poprzez komplikowanie stosunków pracy, jak w świeżej sprawie B2B, a wcześniej Polskiego Ładu, gdzie za podniesienie składki zdrowotnej mieli zapłacić ci, którzy jeżdżą Porsche i Mercedesami. Te rzeczy się nakładają, czyli potrzeba wyciągania kasy z firm, najlepiej od razu, nie patrząc na skutki, bo później nie wiadomo, czy będziemy jeszcze rządzili. I rzecz druga, czyli chęć przypodobania się części elektoratu, o roszczeniowym nastawieniu, który chciałby dobrze żyć, ale bez ciężkiej pracy, oszczędzania i wyrzeczeń.

Czy w wolnej gospodarce państwo powinno gwarantować płacę minimalną?

W sprawie płacy minimalnej trwa dyskusja także w naszym środowisku. Niektórzy uważają, że jest to potrzebne, ale obecnie stosunek płacy minimalnej do średniej jest zbyt wysoki, bo przekracza 50 proc. Inni, do których zaliczam się także ja, uważają, że płaca minimalna krzywdzi tych najsłabszych. Gdzieś na prowincji, gdzie sytuacja gospodarcza jest zupełnie inna, jest zdecydowanie mniej pieniędzy na rynku, ustalanie jednej płacy minimalnej dla całego kraju powoduje, że tam są zamykane firmy, a ludzie tracą pracę. W Polsce widać już exodus z interioru do dużych miast, co nie pomaga także mieszkańcom dużych miast, bo skutkuje wzrostem cen mieszkań i innymi niedogodnościami.

Jak pozbyć się kuli u nogi w postaci nawały regulacji i ciężarów, które krępują polską przedsiębiorczość? Rada Przedsiębiorców, którą pan kieruje, ma pomysł jak wyjść z tego klinczu?

To duży problem. Politycy boją się tylko siły, a ponieważ nie jesteśmy zjednoczeni i nie mamy takiej siły nacisku jak związki zawodowe czy różne grupy zawodowe, jak pielęgniarki czy rolnicy, jesteśmy marginalizowani. Traktuje się nas jak grupę, od której zawsze można wyciągnąć kasę, nie przejmując się skutkami tego działania. Jedyny skuteczny sposób przeciwdziałania temu to zrzeszać się w organizacje i próbować stworzyć własną reprezentację polityczną bądź wesprzeć tych polityków, którzy myślą tak jak my. Tacy ludzie są we wszystkich partiach, jest to obecnie grupa mniejszościowa, która jest marginalizowana, ale ona istnieje. Ci politycy rozumieją, że tym, co daje społeczeństwu dobrobyt, są praca i oszczędzanie, a nie rozdawnictwo pieniędzy i nieróbstwo.

Nie sądzi pan, że problemy polskich przedsiębiorców usunąłby prosty środek legislacyjny w postaci przywrócenia ustawy Wilczka, oczywiście w wersji 2.0? Czy taki ruch nie uwolniłby znów polskiej gospodarki, jak stało się to w 1988 r.?

Oczywiście, że tak. Ciekawe, że mówi tak prawie każda partia, która dochodzi do władzy. Obiecują wrócić do prostych zasad rozliczeń i przywrócić pełną deregulację, a później robią dokładnie odwrotnie. Uproszczenie danin dla małych firm pozwoliłoby im na ogromny skok rozwojowy, coś na kształt Wielkiej Brytanii, gdzie obciążenia małych firm ograniczone są do minimum. Rząd się cieszy, że obywatel sam pracuje na swoje utrzymanie, a nie bierze zasiłki czy ćpa gdzieś na ulicy. Rzecz druga, czyli przyjęcie zasady, że wszystkie niejasności w prawie czy postępowaniach gospodarczych interpretowane są na korzyść obywatela. Ktoś może powiedzieć, że od tego są sądy. Tak, tyle że powszechnie wiadomo, jak działa, a raczej nie działa nasz system sprawiedliwości. Urzędnicy wyciskają z firm pieniądze, sprawy toczą się po kilka lat, a w tym czasie przedsiębiorcy upadają. Dlatego system powinien być zreformowany przynajmniej w odniesieniu do małych firm w kierunku ustawy Wilczka, czyli uproszczenia rozliczeń, ograniczenia kontroli, przyjęcia zasady, że niejasności w prawie zawsze interpretowane są na korzyść obywatela. Niestety – jak już powiedziałem – dziś wszystko idzie w przeciwnym kierunku.

Politycy muszą mieć środki na przekupywanie elektoratu. Dlatego od urzędników wymaga się wyciągnięcia maksymalnie dużo kasy z firm za wszelką cenę, nie patrząc, czy są do tego podstawy prawne. Sprawy toczą się potem w sądach wiele lat

Poziom skomplikowania, który wiąże się z wprowadzaniem Krajowego Systemu e-Faktur, moim zdaniem doprowadzi do wielkiego kolapsu tego systemu. Rządzący Polską są zupełnie oderwani od rzeczywistości, nie mają pojęcia, jak działa w praktyce mały biznes. Rzeczy, które są dziś oczekiwane od pana Janka, właściciela warsztatu samochodowego gdzieś pod Olsztynem czy Rzeszowem, są dla niego nie do spełnienia. Nie będzie rejestracji wymaganych przez KSeF, nie będzie opłacania danin – twierdzi prof. Modzelewski, ostrzegając przed takim scenariuszem. Jego diagnoza jest moim zdaniem bardzo realna. Jeśli rządzący się z tego nie wycofają i nie zwolnią małych firm z tego obowiązku, to zderzą się z tymi samymi skutkami, co PiS przy wprowadzaniu Polskiego Ładu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 5a8109f443



Rafał A. Ziemkiewicz

Czy Karol Nawrocki powinien przyjąć członkostwo w tworzonej przez USA Radzie Pokoju? A może przeciwnie, tak jak prezydent Francji, odmówić z punktu, demonstracyjnie?



Polska między Waszyngtonem a Berlinem

Wciąż nie bardzo wiadomo, czym ta Rada Pokoju miałaby w ogóle być – z pierwszych zapowiedzi Donalda Trumpa wynikało, że ma nadzorować „proces pokojowy" w Strefie Gazy. Jednak rozmach przedsięwzięcia daleko przekracza przecież tak zarysowane założenie: do autoryzowania przez społeczność międzynarodową eksterminacji nieżydowskiej ludności Izraela wystarczyłby jakiś symboliczny konwentykiel, a tu zaproszenie skierowano do 60 państw (również takich, z którymi programowo do stołu nie siadamy, z Rosją i Białorusią na czele) i w dodatku każdy z tych krajów miałby zapłacić na funkcjonowanie rady co najmniej po miliardzie dolarów rocznie.

Widać z tego, że Trump tworzy po prostu alternatywę dla ONZ, od dawna nie ukrywając, że wobec zmiany całej globalnej geopolityki jest ona równie martwa i niepotrzebna, jak martwa i niepotrzebna stała się jej poprzedniczka, Liga Narodów, z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej (choć formalnie istniała do jej końca, a nawet rok dłużej). Nie chodzi nawet o to, że odmawiając jak Macron, narazimy się na gniew prezydenta USA – powiedzmy, że nałożenie na nasze wina 200 proc. cła, jak zapowiedział to Trump wobec Francji, nie byłoby dla Polski dotkliwe. Ale jeśli ten neo-ONZ Trumpa w tej czy innej formie wypali, to może warto w nim być?

Z innej, ale sąsiedniej beczki – czy Polska powinna była w ogóle zabierać głos w sporze o Grenlandię, a jeśli, to jak? Przyłączyć się w ramach UE do potępienia amerykańskich roszczeń do wyspy? A może przeciwnie, poprzeć je i jeszcze obiecać Trumpowi kontyngent wojskowy? W końcu żyją jeszcze liczni

eprasa.pl 5a8109f443



– Dziękuję Karolowi Nawrockiemu z Polski. Fantastyczny człowiek. Wygrał bardzo ważne wybory – mówił w Davos Donald Trump (zdjęcie z września 2025 r.)
FOT. ALEX WONG/GETTY IMAGES

poborowi (zalicza się do nich także niżej podpisany), których wyszkolono w tzw. Ludowym Wojsku Polskim do podboju i okupowania Danii. Owszem, w większości jesteśmy już po sześćdziesiątce, ale i tak nasz kontyngent nie mógłby być śmieszniejszy niż ten, który posłali do obrony Grenlandii Niemcy.

EUROPA CZY AMERYKA?

Żarty na bok – choć każdy przyzna, że zarówno sposób podejmowania przez Donalda Trumpa decyzji, a zwłaszcza ich komunikowania, jak i unijne reakcje, bardzo do żartów zachęcają. Wyzwanie jest jednak śmiertelnie poważne i nie chodzi tu o dwa najnowsze, podane wyżej przykłady. Sprawę Grenlandii na razie mogliśmy obsłużyć – jak to zresztą robił prezydent na szczycie w Davos – dyplomatycznymi frazesami, że naszym zdaniem „spór powinien być rozwiązany w drodze negocjacji", w kwestii zaś Rady Pokoju zastosować zasadę Nikodema Dyzmy: „Odpowiedź nie jest odmowna, sprawa jest w załatwianiu"; tu akurat nasza kuriozalna konstytucja dzieląca władzę wykonawczą między dwa ośrodki może się wreszcie do czegoś przydać. Jednak za chwilę staną przed nami znacznie trudniejsze dylematy.

Ujmując to przenośnie: Polska znalazła się w sytuacji dziecka rozwodzącej się pary. Kwestia Europa czy Ameryka to już nie jest, jak sobie żartowano, pytanie: „Czy bardziej kochasz mamusię czy tatusia?". Między tatusiem a mamusią poszło na ostro, oboje prą do rozwodu i każde ciągnie dziecko do siebie, wyrywając mu rączki i strasząc sobą nawzajem.

Metafora jest obrazowa, ale w jednej kwestii zawodzi: kłótnia między USA a głównymi krajami Europy Zachodniej a USA nie jest wybuchem emocji, choć tak starają się to przedstawić nasze media, usiłujące nas wprawić w szok frazą: „Trump zamiast wrogów atakuje swoich sojuszników". Owszem, w politycznej metodzie Trumpa jest – pierwszy sięgnął po to skojarzenie bodajże Józef Orzeł – coś z „Ballady o dwóch koniach" Wojciecha Młynarskiego, gdzie, przypomnijmy, woźnica prał batem grzecznego konia, by niegrzecznego, którego się bał, straszyć: „Jak się dalej będziesz stawiał, to zarobisz tak jak on". Trudno przecież wymagać od odpowiedzialnego polityka, żeby wchodził w konflikty z silniejszymi, z którymi nie ma szans wygrać, a za to ustępował słabszym. Ale Trump w polityce amerykańskiej zmienił radykalnie tylko sposób jej uprawiania, zarzucając pozory – cła na europejskie towary i restrykcje handlowe, mające powstrzymać UE przed otwieraniem się na towary i technologie chińskie, zaczął przecież wprowadzać już Joe Biden.

DOSTRZEC RZECZYWISTOŚĆ

Niemcy, Francja, od pewnego momentu Wielka Brytania, a z drugiej strony USA to już od dawna, by użyć cytatu z „Wesela" Wyspiańskiego, „tacy przyjaciele, co się nie lubią". I nie chodzi tu wcale o resentymenty europejskich społeczeństw – Francuzi i Niemcy od zawsze wykazują w badaniach większą sympatię do Rosjan niż do Amerykanów, co wynika z zaszłości historycznych (Amerykanie dwa razy w ubiegłym stuleciu pokonali Niemców, niwecząc ich plany, a Francuzom, co jeszcze trudniej wybaczyć, dwa razy uratowali skórę) i wcześniej nie przeszkadzało to w politycznej współpracy. Rzecz w tym, że Unia Europejska, w ślad za Niemcami, podjęła w pewnym momencie decyzję o strategicznym oparciu się o wschód – w poczuciu własnej siły, nazywając to „równoważeniem wpływów amerykańskich poprzez rozwijanie współpracy z Rosją i Chinami". Tanie surowce energetyczne z Rosji – na razie ropa i gaz, w przyszłości, docelowo, wytwarzany tam wodór, który dzięki sztuczkom „polityki klimatycznej" miał wyprzeć rodzime źródła energii, plus tanie podzespoły i siła robocza oraz chłonny rynek chiński miały uczynić Europę znów wielką.

Polska znalazła się w sytuacji dziecka rozwodzącej się pary. Kwestia Europa czy Ameryka to już nie jest, jak sobie żartowano, pytanie: „Czy bardziej kochasz mamusię czy tatusia?"

Ameryka początkowo się temu nie przeciwstawiała, ponieważ jej ówczesne elity, generalnie, podzielały te same urojenia, w których żyły elity zachodnioeuropejskie – że „wciąganie we współpracę gospodarczą" wschodnich reżimów je „ucywilizuje" i odwiedzie od zachowań agresywnych, a zasypanie Rosji i Chin pieniędzmi spowoduje powstanie tam „klasy średniej", która z czasem wymusi demokrację i odeśle pogrobowców myślenia w kategoriach imperiów na śmietnik historii, wedle wzorców zachodnich. Żadnych zagrożeń w tym procesie nie chciano dostrzegać – zachodnie poczucie wyższości uspokajało, że Chińczycy i inni Azjaci nigdy nie będą w stanie osiągnąć konkurencyjności w projektowaniu i wdrażaniu innowacyjnych technologii, na zawsze pozostając zapleczem surowcowym i tanią montownią krajów bogatych.

W Ameryce jednak w pewnym momencie pojawiła się świadomość, że to droga do uczynienia Chin światowym hegemonem. Od roku 1992 (warto pamiętać, w kontekście dziś snutych w mediach opowieści, że wielki napływ

eprasa.pl 5a8109f443

zachodniego kapitału i technologii do Państwa Środka zaczął się od masakry na Tian'anmen) Zachód buduje potęgę Chin i uzależnia się od nich, co najważniejsze – własnym kosztem. „Polityka klimatyczna", szerokie otwarcie na migrantów, maksymalizowanie przez wielkie koncerny zysków poprzez wyprowadzanie produkcji do tańszych krajów, w połączeniu z rewolucją woke (której wszystkie cele w ten czy inny sposób tak bardzo sprzyjały temu procesowi, że trudno nie domyślać się, dlaczego zyskała tak licznych i hojnych sponsorów) – to wszystko doprowadziło Zachód na skraj upadku.

Amerykanie mają pewien umysłowy nawyk, o który w Europie znacznie trudniej: potrafią dostrzegać rzeczywistość. Jeśli dzieje się coś, co się dziać nie powinno, umieją w końcu przyjąć to do wiadomości i szukać rady. Jeśli konstrukcja trzeszczy i chwieje się, to trzeba przystąpić do rozbiórki, a nie czekać, aż się dostanie spadającą belką w łeb. I tym właśnie jest w odniesieniu do globalnego porządku „rewolucja zdrowego rozsądku" ogłoszona przez Trumpa. Wszystko poszło źle, Ameryka popadła w „overstretching" (obrazowe określenia to też amerykańska specjalność: kto inny umiałby opisać swą mocarstwowość jako zbyt małą ilość masła rozsmarowywanego na zbyt wielkiej kromce?), więc trzeba wszystko zmienić. Skończyć z globalizacją, zredefiniować sojusze, cofnąć się do swojej strefy wpływów i umacniać ją punktowo, kierując się cynicznie rozumianymi interesami narodowymi i imperialnymi – już nie „na miękko", jak próbowali poprzedni prezydenci, tylko brutalnie, bo sprawy zaszły zbyt daleko i nie ma czasu do stracenia. Wszystko to zostało przez Trumpa i wiceprezydenta Vance'a powiedziane otwarcie, wielokrotnie, w przemówieniach wygłaszanych na najważniejszych światowych spotkaniach oraz zapisane w oficjalnej strategii bezpieczeństwa narodowego USA. A Europa jest wciąż, nieodmiennie zaskoczona, zdziwiona i oburzona – ale jak to?

OSTATNI ROK POKOJU?

Strategia amerykańska może nie jest błyskotliwa, w zasadzie poza jednym pomysłem, którym jest wyhamowywanie chińskiego dążenia do hegemonii poprzez tworzenie światowej sieci „mocarstw średniej wielkości", wygląda na rozpaczliwą próbę cofnięcia czasu. Ale jaka jest strategia europejska?

Żadna. Europejska oligarchia, wytworzona przez Unię Europejską w brukselsko-strasburskiej centrali i w krajach członkowskich, rzeczywistość po prostu wypiera. Brnie siłą bezładu w ideologiczne szaleństwa, choć wszystkie fakty im zaprzeczyły, ze sklerotyczną sumiennością zaostrza swoje „strategie klimatyczne", „relokację migrantów" i „zacieśnianie integracji". Bardziej niż cokolwiek innego przypomina dzisiejsza Unia Europejska cesarsko-królewskie imperium Habsburgów w czasach fin de siècle'u, ślepe, chylące się ku upadkowi i uparcie popychane ku niemu przez zwapniałą do szczętu biurokrację.

Polska leży na terenie, z punktu widzenia Waszyngtonu, przetargowym. Wymarzonym dla Ameryki rozwiązaniem byłoby odciągnięcie Rosji od Chin i związanie jej z USA

Trolling z podbojem zbrojnym Grenlandii – bo w chwili, gdy piszę ten tekst, widać już, że był to trolling i że skończył się pełnym sukcesem Trumpa – wydaje się próbą obudzenia brutalnym kopniakiem państw europejskich. Państw, nie Unii Europejskiej. Ta w polityce USA już nie istnieje, postawiły one na tym projekcie kreskę, chcą rozmawiać z państwami narodowymi (to też przejaw amerykańskiego realizmu). Trump nie straszył cłami Europy – straszył nimi Francję, Niemcy itd. I nikt nie odpowiedział mu: „Ależ Europa to jednolity rynek, nie można nałożyć ceł na produkty któregoś z jej krajów". To znaczy, powiedział to, chyba jako jedyny, Radosław Sikorski, ale nikt go nie traktuje jako głos Europy.

USA, z przyczyn, które wymagałyby osobnego omówienia, żyją w przekonaniu, że rok 2026 jest być może ostatnim rokiem światowego pokoju i w wywołanym tym przekonaniem stanie politycznej nadaktywności – Europa zaś tkwi mentalnie w czasach Mitterranda i Kohla. Wydawałoby się oczywiste, że w takiej sytuacji wybór Polski jest oczywisty: trzymać z Ameryką, nawet jeśli zdecyduje się ona na rozbiórkę także NATO, nie jojczyć wraz z Niemcami i Anglią, tylko budować nowy sojusz połączonych wspólnym zagrożeniem krajów „wschodniej flanki"... Tylko jest jeden szkopuł: Polska nie leży na półkuli zachodniej, którą Ameryka postrzega jako swoją naturalną sferę wpływów.

Polska leży na terenie, z punktu widzenia Waszyngtonu, przetargowym. Wymarzonym dla Ameryki rozwiązaniem byłoby odciągnięcie Rosji od Chin i związanie jej z USA – takie właśnie odwrócenie sojuszy miało być sensem „resetu" Obamy. Oczywistą ceną za sojusz Rosji z Zachodem była zawsze Europa Środkowa i nie łudźmy się, że nasi sojusznicy nie są gotowi po raz kolejny tej ceny zapłacić (i jedni, i drudzy – francuski politolog napisał przecież otwarcie, że były czasy, gdy w Warszawie i Pradze rządzili Rosjanie i wcale nie były to dla Francji czasy złe). Na szczęście Putin amerykańską ofertę odrzuca, a jego polityka tak uzależnia Moskwę od Pekinu, że za kilka lat jego następca już nie będzie mógł tego zrobić, nawet gdyby chciał.

Ponadto Polska, jako naturalna brama dla rosnącego chińskiego eksportu do Europy, jest miejscem, w którym rosnące w siłę mocarstwo ma konkretne, wielkie interesy. Wyważenie tych interesów z amerykańskimi i niemieckimi może być podstawą przyszłej polskiej pozycji regionalnego mocarstwa. Może też być, jeśli Polska znowu nie ogarnie się na czas, impulsem do ponownego jej zniszczenia. Wszystko zależy od tego, czy zdołamy w porę zakończyć rozdzierającą nasze państwo wojnę domową, usprawnić rządzenie, określić właściwie narodowe interesy i strategiczne priorytety oraz sposoby ich realizacji.

Wracając do rozwodowej metafory – dziecko, które znalazło się w takiej sytuacji, ma z reguły tylko jedno sensowne wyjście: szybciej dorosnąć. Bywa to traumatyczne, trudne, ale nie ma wyjścia, trzeba po prostu nabrać samodzielności. Im szybciej sobie to osierocone dziecię uświadomi, tym lepiej dla niego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

Opiłowywanie katolików w praktyce



FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER



Piotr Semka

Umarzanie kolejnych śledztw w sprawie obrazy uczuć religijnych przyczynia się punkt po punkcie, precedens po precedensie do pogorszenia się szans osób wierzących na uzyskiwanie sądowej ochrony swych uczuć. Następuje tym samym powolne oswajanie się z przemocą symboliczną wobec katolicyzmu w Polsce

Na rządowej stronie gov.pl ukazał się 5 stycznia br. tekst o nazwie „Równowaga wolności słowa i ochrony uczuć religijnych – konieczne nowe przepisy po wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka". Tekst firmowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości pod rządami ministra Waldemara Żurka odnosi się do werdyktu ETPC w sprawie „Rabczewska kontra Polska".

Chodziło o wyrok wydany w 2022 r., w którym znana piosenkarka Dorota Rabczewska „Doda" została skazana na grzywnę za swoją wypowiedź dla pisma „Dziennik" w 2012 r. Odnosząc się w nim do Pisma Świętego, stwierdziła: „Ciężko wierzyć w coś, co spisał jakiś napruty winem, palący jakieś zioła (gość)".

Artystka została pozwana przez Ryszarda Nowaka z Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami, który uznał, że jego uczucia religijne zostały naruszone. W końcu 15 września 2022 r. „Doda" została ukarana karą grzywny. Celebrytka odwołała się do Europejskiego Trybunału, który uznał, że poprzez skazanie Rabczewskiej Polska naruszyła art. 10 Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności w kwestii prawa do wolności słowa.

Ministerstwo Sprawiedliwości poddaje teraz pod konsultacje społeczne swój zamiar dostosowania się do werdyktu ETPC i złagodzenia przepisów art. 196 o obrazę uczuć religijnych poprzez zlikwidowanie możliwości kary więzienia do

eprasa.pl 5a8109f443

lat dwóch za takie czyny. Przypomnijmy, że art. 196, który głosi: „Kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrządków religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do dwóch lat".

Jak piszą urzędnicy ministra Żurka, „wprowadzone zmiany mają na celu dostosowanie polskiego prawa do wymogów wynikających z międzynarodowego orzecznictwa przy zachowaniu WŁAŚCIWEJ [podkreślenie autora] ochrony wartości religijnych i porządku publicznego".

Trudno o lepszy przykład kolonialnego myślenia w myśl zasady „kserokopiarki". Resort ministra Żurka informuje nas, że skoro grupa sędziów w Strasburgu uznała, że gwiazda pop ma prawo w lekceważący sposób wyrażać się o księdze, która jest świętością dla ponad miliarda ludzi na całym świecie, i wypowiada swe słowa w warunkach zaistnienia okoliczności tzw. wyższego dobra społecznego, to Polska musi natychmiast uznać i zmodyfikować nasze prawo. Wszystko to w myśl przekonania sędziów w Strasburgu, jaki jest „właściwy" poziom kary za takie przekroczenie norm społecznych.

Ale postawmy sprawę szerzej. Czy zjawisko obrażania uczuć religijnych narasta czy też utrzymuje się na pewnym stałym poziomie? I czy w związku z tym przestępstwa takie należy karać surowiej czy też można sobie pozwolić na pewną pobłażliwość?

SKĄD TO SIĘ WZIĘŁO?

Zapisy o ochronie uczuć osób wierzących to owoc laicyzacji społeczeństw zachodnich w wiekach XIX i XX. Wcześniej w większości krajów europejskich szacunek dla religii był otoczony ochroną państwa. Ponieważ władca zazwyczaj miał tytuł obrońcy wiary, dlatego też za bluźnierstwa karano jak za atak na władcę. I na odwrót. Im bardziej państwa odchodziły od religii jako ideologii państwowej – tym bardziej pojawiała się potrzeba, aby wymiar sprawiedliwości reagował na próby zakłócania praktyk religijnych lub też obrażanie uczuć ludzi wierzących. Ideolodzy świeckości państwa w ten sposób zresztą legitymizowali odejście od wiary jako elementu państwowości, uspokajając ludzi wierzących, że neutralne światopoglądowo urzędy także potrafią dbać o szanowanie religii. W krajach wielowyznaniowych był to też element swoistego pragmatyzmu i troski o spokój społeczny. Politycy mieli świadomość, że tolerowanie ataków na daną religię może rozpętać konflikty, a nawet zakończyć się wojną domową.

Tyle że system ten działał dopóty, dopóki elity polityczne i prawne uznawały wiarę za ważny i konstytutywny element ludzkiej samoświadomości. Tam, gdzie religia była skazana na zagładę, np. w ZSRS, propaganda państwowa ośmieszała ludzi wierzących w dowolny sposób. Tam, gdzie siła wiary była znacząca, jak np. w PRL, władze – owszem – prowadziły represyjną politykę wobec Kościoła, ale jednocześnie nie akceptowały indywidualnych bluźnierczych wyskoków, uznając je za czynnik nieprzewidywalny i mogący niepotrzebnie zaognić stosunki na linii państwo – ludzie wierzący. Lata 80. i 90. to z kolei epoka tzw. konsensusu wojtyliańskiego, w którym autorytet papieża wpływał na stosunkowo wysoki poziom ochrony uczuć ludzi wierzących.

Ten stan rzeczy zaczyna się zmieniać na początku XXI w. Jego symbolicznym początkiem był proces w sprawie podarcia Biblii na scenie przez Adama Darskiego „Nergala", który zakończył się w 2014 r. werdyktem głoszącym, że artysta podarł Biblię, ale nie obraził uczuć religijnych. Był to symboliczny przykład, jak zmienia się rozumienie prawa wraz z przemianą świadomości elit, w tym wypadku sędziowskich. Po prostu togi sędziów zaczęli przywdziewać ludzie z generacji osób coraz bardziej zlaicyzowanych. I jak się okazało, wraz ze spadkiem religijności coraz więcej sędziów zaczęło okazywać coraz mniej zrozumienia dla uczuć osób, które serio traktują swoje symbole wiary.

JEZUSEK NA STRYCZKU – PRZECIEŻ TO TYLKO LALKA!

Dobrym przykładem tych zmian jest sprawa z Bolesławca, gdzie w grudniu zeszłego roku ustawiono na rynku szopkę bożonarodzeniową. Nieznany sprawca w nocy z 21 na 22 grudnia 2025 r. zabrał ze żłóbka lalkę symbolizującą Dzieciątko Jezus i powiesił ją na sporządzonym przez siebie stryczku. Sprawę zgłosiła policji jedna z mieszkanek miasta. Śledztwo podjęła prokuratura rejonowa w Bolesławcu z art. 196 k.k. o obrazie uczuć religijnych poprzez znieważenie przedmiotu czci religijnej. Bardzo szybko prokurator rejonowy Sebastian Woźniak zdecydował o umorzeniu postępowania, gdyż w jego opinii powieszonej lalki nie można traktować jako obiektu czci religijnej, a szopka nie jest miejscem kultu. Według prokuratora to po prostu inscenizacja, która nie była nawet poświęcona, a „lalka tylko imitowała postać Jezusa". Prokurator wyznał dziennikarzom, że jedną z okoliczności, która skłoniła go do umorzenia śledztwa, była rozmowa z proboszczem bazyliki Wniebowzięcia NMP w Bolesławcu, który w czasie przesłuchania powiedział, że nie czuł się całą sytuacją obrażony. Co innego, gdyby profanacja miała miejsce na terenie kościoła.

Wobec decyzji prokuratora policja poinformowała, że rezygnuje ze śledztwa w sprawie obrazy uczuć religijnych, a bada jedynie sprawę pod kątem dopuszczenia się nieobyczajnego wybryku.

Coraz więcej spraw jest umarzanych, bo sędziowie twierdzą, że nie sposób wykazać, iż sprawca kierował się intencjami antyreligijnymi

Artykuł 196 k.k. przez wiele dekad był uważany przez prokuratorów za jednoznaczny. Od dłuższego czasu jednak coraz więcej prokuratorów i sędziów zaczyna głosić, że jest on nieprzejrzysty i pozostawia spore pole do interpretacji. Coraz więcej spraw jest umarzanych, bo sędziowie twierdzą, że nie sposób wykazać, iż sprawca kierował się intencjami antyreligijnymi. Tak było z uniewinnieniem posłanki Joanny Scheuring-Wielgus, wobec której sąd rejonowy w Toruniu 8 marca 2023 r. postanowił umorzyć postępowanie. Wspomniana posłanka wraz z mężem Piotrem Wielgusem wtargnęli 25 października 2020 r. do kościoła św. Jakuba w Toruniu z proaborcyjnymi plakatami w czasie Mszy Świętej. Oboje małżonkowie stanęli tyłem do ołtarza i pokazywali zgromadzonym wiernym te plakaty.

eprasa.pl 5a8109f443

Sąd uznał, że działania te nie nosiły znamion czynu zabronionego. Chodziło o art. 195 k.k. o przeszkadzaniu w wykonywaniu czynności religijnych. Sędzia w ustnym uzasadnieniu twierdził, że posłanka nie dopuściła się złośliwego przeszkadzania publicznemu wykonywaniu aktu religijnego, ponieważ prezentowała jedynie poglądy na temat decyzji Trybunału Konstytucyjnego. Po wyjściu z sali sądowej posłanka Scheuring-Wielgus triumfowała. Jak mówiła dziennikarzom: „Orzeczenie sądu jest logiczne. Nie zrobiłam nic złego. Stałam w kościele przez niecałe 60 sekund, wyraziłam swoją opinię na temat wtrącania się Kościoła w życie intymne Polek".

Kolejne śledztwa, które zostają umorzone, przyczyniają się punkt po punkcie, precedens po precedensie do pogorszenia się szans osób wierzących na uzyskiwanie sądowej ochrony swych uczuć. Następuje tym samym powolne oswajanie się z przemocą symboliczną wobec katolicyzmu. Co więcej, w tym procesie dają się zauważyć i postępowi katolicy. Niedawna sprawa krzyża z Kielna pozostaje do dziś tematem sporów. Zwolennicy bagatelizowania wydarzeń w tamtej szkole opierają się na twierdzeniach nauczycielki, która ogłosiła, że żadnej profanacji nie było, a wyrzuciła do kosza jedynie zabawkowy gadżet halloweenowy. Co innego twierdzą rodzice części dzieci, którzy na podstawie relacji swych synów i córek twierdzą, że nauczycielka wykazywała zacietrzewienie antyreligijne i spór o krzyż w klasie trwał od dłuższego czasu. Tymczasem w „Tygodniku Powszechnym" czołowy publicysta tego pisma Artur Sporniak, jedynie na podstawie deklaracji nauczycielki, która jest stroną w tym sporze, pisze o rzekomo niepotrzebnej awanturze o „plastikowy krzyżyk z Kielna". Surowo też ocenia środowiska, które zaangażowały się w obronę krzyża – faktycznie jednak broniąc jedynie „cosplayowego gadżetu jako chrześcijańskiego symbolu". I pyta: „Czy to oznacza, że teraz będziemy chronić przed rzekomą profanacją zabawki przypominające krzyż?".

Sporniak kończy swój komentarz uwagą, że pozytywnym akcentem w całej sprawie jest informacja, że „Ministerstwo Sprawiedliwości przekazało do konsultacji społecznych projekt zmiany przepisów dotyczących przestępstw obrazy uczuć religijnych (usunięcie kary pozbawienia wolności za ich naruszenie)". I puentuje: „Te przepisy są zbyt surowe jak na standardy określane przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. I niebezpieczne w kraju tak rozhuśtanych emocji społecznych".

Jedne grupy obywateli (jak emigranci czy środowisko LGBT) władza chce objąć wzmocnioną ochroną przy słabo zdefiniowanej istocie tzw. mowy nienawiści, a jednocześnie przestępstwo obrażania czyichś uczuć religijnych uznaje wyraźnie za mało groźne zjawisko społeczne

RÓWNIA POCHYŁA

Jerzy Kwaśniewski z Ordo Iuris wskazuje, że art. 195 i 196, mające chronić uczucia osób wierzących, są w dużej mierze martwe wskutek praktyki orzecznictwa sędziów oraz oportunizmu prokuratury i policji, które w większości wypadków nie mają ochoty za nie ścigać. Są to często decyzje, które są efektem wyczuwania tendencji rządu Koalicji 13 grudnia, który demonstruje, że uznaje takie przestępstwa za niegroźne. Dobrym wskaźnikiem tej znieczulicy są statystyki policyjne. Według oficjalnych danych za 2024 r. policja odnotowała tylko jeden akt, który uznano za dokonany z nienawiści wobec chrześcijaństwa. Tymczasem zwykły monitoring mediów prowadzony przez Ordo Iuris pozwolił tej organizacji zaraportować Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) w 2024 r. aż 85 takich przypadkach. Kwaśniewski zwraca też uwagę, że tego typu przypadki są już niemal w 100 proc. ścigane wyłącznie w wypadku, jeżeli dojdzie do zgłoszenia konkretnej osoby, która twierdzi, że jej uczucia zostały obrażone. W praktyce nie podejmuje się już takich spraw z urzędu.

Dodatkowo w wypadku, gdy już do takiego procesu dojdzie, realną władzę interpretacji uzyskuje wyłącznie biegły powołany przez sąd. Sędziowie odsuwają od siebie możliwość osobistego uznania, czy doszło do obrazy uczuć religijnych czy nie. Dlatego też wiele zależy od poglądów samego sędziego. Jeśli ma lekceważący stosunek do religii, to powoła takiego biegłego, o którym może wiedzieć, że uzna profanację za formę artystycznego wyrazu lub uzasadnioną demonstrację swoich poglądów.

W tym kontekście warto przypomnieć jeden z procesów dotyczących umieszczenia przez „Nergala" zdjęcia, na którym obraz Matki Boskiej deptany jest przez but wykonawcy. Policja początkowo umorzyła śledztwo, twierdząc, że skoro wizerunek maryjny zasłonięty jest w większej części butem, to problemu nie ma.

Ta tendencja jest tym bardziej niepokojąca, że według Ordo Iuris w ostatnich latach mamy do czynienia ze skokowym wzrostem tego typu profanacji. Porównanie statystyk tego typu przestępstw przesyłanych do OBWE co roku pokazuje, że o ile jeszcze 10 lat temu było to ok. 10–15 tego typu incydentów, o tyle teraz mamy do czynienia ze skalą ok. 100 ekscesów rocznie.

Jak widać, niepokojące zjawisko narasta. Racjonalny prawodawca powinien zastanowić się, jak wpłynąć za pomocą sankcji karnej na ograniczenie liczby takich zjawisk. Tymczasem ograniczenie grożącej kary jest ze strony resortu ministra Żurka gestem przyzwolenia na to, że art. 195 i 196 k.k. będą miały jeszcze mniejszą szansę na egzekwowanie. Tego działania ministra sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska nie można oderwać od planowanego niedawno projektu walki z mową nienawiści, który odnosił się do wielu zjawisk, w których wyraźnie miała być wzmocniona ochrona niechęci wobec takich grup społecznych jak emigranci czy środowisko LGBT. To pokazuje realne priorytety władzy, w której jedne grupy obywateli chce objąć wzmocnioną ochroną przy słabo zdefiniowanej istocie tzw. mowy nienawiści, a jednocześnie przestępstwo obrażania czyichś uczuć religijnych uznaje wyraźnie za mało groźne zjawisko społeczne. Bez samoorganizacji katolików tego typu tendencje będą się tylko umacniać. Tak „opiłowywanie katolików" – postulat polityka KO Sławomira Nitrasa – wygląda w praktyce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



Arkadiusz Siwko



Drony – szansa dla polskiej prywatnej zbrojeniówki?

W Polsce działają niezależne grupy badawcze, zdolne produkować bezzałogowce. Jeżeli państwo polskie tymi podmiotami się nie zainteresuje, to zrobią to inne państwa z USA na czele, gdzie zaproponowane zostaną im odpowiednie warunki rozwijania swoich produktów. Koniec będzie taki, że Polska za parę lat kupi ich myśl techniczną, tylko opakowaną w zagraniczne brandy i oczywiście znacznie droższą

Od lat poszczególni ministrowie obrony narodowej prześcigają się w zapewnieniach, że polski przemysł obronny jest najbliższy ich sercu i tam będą kierowane wojskowe zamówienia. Od teraz dochodzi do tego solenne zapewnienie, że tym razem zamówienia te nie ominą także sektora prywatnego w zbrojeniówce.

Jako przykład udanej współpracy państwa z sektorem prywatnym w przemyśle zbrojeniowym wymienia się przede wszystkim Stany Zjednoczone. Niemniej bardzo udana współpraca tych sektorów występuje także w Europie Zachodniej, przede wszystkim w Wielkiej Brytanii, Niemczech, we Francji, w Norwegii i Szwecji. Efektem tej współpracy są zaawansowane technologicznie produkty wojskowe z najwyższej półki.

Mimo dobrych chęci nie da się porównać systemów przemysłu obronnego z obu stron dawnej żelaznej kurtyny. Wynika to z zaszłości historycznych, które uniemożliwiają na ten moment krajom wschodnioeuropejskim proste przyjęcie wzorców zachodnich. Po pierwsze w zachodnich krajach NATO istnieje bardzo silny sektor przemysłu prywatnego, którego przemysł zbrojeniowy jest istotną częścią. W Europie Wschodniej wciąż dominującą pozycję zajmuje państwo, które kontroluje i zarządza w rzeczywistości większo-

eprasa.pl 5a8109f443



FOT. ŁUKASZ CDAK/FAST NEWS

ścią sektora przemysłowego. Nie było po prostu do tej pory warunków prawnych i finansowych na rozbudowanie prywatnego sektora przemysłu obronnego w tym regionie. Przede wszystkim wynika to z niewystarczającej zdolności kredytowej przemysłowego sektora prywatnego. Wsparcie państwa dla niego jest za małe.

Problem stanowi także niewydolny i niewystarczająco zasobny sektor finansowy nieposiadający dostępu do odpowiednio dużych środków finansowych na wspieranie przemysłu, a szczególnie przemysłu zbrojeniowego.

Trzeba wyobrazić sobie, że na uruchomienie prototypu i produkcji ciężkiego sprzętu, którym są np. czołgi i samoloty, potrzebne są naprawdę duże środki rzędu miliardów złotych. W sposób naturalny nie zostaną one przeznaczone na rozwój sektora prywatnego w przemyśle zbrojeniowym, bo Polska i pozostałe kraje Europy Wschodniej z NATO nie posiadają odpowiednio dużych firm prywatnych, zdolnych zaabsorbować środki finansowe tego rzędu. Być może stać na to byłoby Grupę Solorza – ona jednak poszła w sektor energetyczny, a nie zbrojeniowy. Innym torem podążyły Czechy i Węgry, gdzie sektor prywatny jest dominujący i zdecydowanie wspierany przez państwo. Ale i w przemyśle zbrojeniowym nie dorównuje on wielkością sektorowi państwowemu.

SUKCES FIRMY Z OŻAROWA

Co zatem pozostaje? Specjalizacja produktowa. Małe kraje, o znacznie mniejszym potencjale gospodarczym, potrafiły stać się częścią globalnego łańcucha dostaw produktów zbrojeniowych. Mowa tutaj o Finlandii, Norwegii, Czechach, Austrii, Danii. Kraje te umiały zaprezentować uzbrojenie nabywane na całym świecie jako wysoko specjalistyczne i najwyższej jakości – jak chociażby znakomity austriacki pistolet Glock, używany także przez polskie siły specjalne. Polska również może uzyskać wysoką specjalizację w zakresie konkretnego rodzaju sprzętu wojskowego. Na razie udaje się to uzyskać w oparciu o wyrzutnie Piorun produkowane w Mesko oraz sukcesy w automotive, będące sukcesem prywatnego przedsiębiorstwa w Kutnie.

Kolejnym rozwiązaniem do wdrażania są konsorcja sektora publicznego i prywatnego. To już działa – przede wszystkim w Mesko. Udział prywatnych podmiotów w grupach kapitałowych państwowych grup przemysłowych jest modelem, który świetnie się sprawdza we Włoszech, Francji oraz w krajach skandynawskich. Tą drogą poszedł nasz gigant prywatnego sektora zbrojeniowego WB Electronics z Ożarowa, otrzymujący międzynarodowe zamówienia na drony. Pozyskał on udział państwa w postaci kapitałowego wejścia Polskiego Funduszu Rozwoju.

Dynamika powietrznej wojny na Ukrainie i konieczność szybkiego przystosowania się do zmieniających się oraz pojawiających się wciąż nowych urządzeń latających tam wykorzystywanych spowodowały konieczność po stronie ukraińskiej skorzystania z szerokiego wachlarza dostaw z rynku prywatnego. Czy możemy to także zastosować w Polsce?

Jak już zostało powiedziane, to nie tak, że nic sektorowi prywatnemu w polskiej zbrojeniówce się nie udało. Świadczy o tym sukces wspomnianego lidera produkcji dronów w Polsce – WB Electronics. Niewątpliwie firma ta pokonała swoimi kompetencjami Zakłady Lotnicze Polskiej Grupy Zbrojeniowej i – jak do tej pory – zawładnęła polskim rynkiem dronów bojowych. Ale takich przedsiębiorstw w Polsce jest za mało.

Wojskowe zamówienia powinny być kierowane do polskiego przemysłu obronnego i nie omijać także sektora prywatnego w zbrojeniówce

Wydarzenia na froncie ukraińskim spowodowały, że zarówno Polska, jak i Unia Europejska postanowiły zbudować prawdziwą armię dronów, która miałaby chronić przed inwazją rosyjskich dronów. Postanowiono także zbudować kompetencje skutecznych systemów antydronowych. Powstały dwa programy przeznaczone do pozyskania armii dronów i systemów antydronowych. Pierwszy zdecydowanie większy – wartości miliardów euro, o nazwie SAFE – został uruchomiony dla podmiotów krajów Unii Europejskiej i jest w rzeczywistości linią kredytową do wdrożenia produkcji dronów na wielką skalę. To są właśnie te możliwości finansowania, których tak brakuje w Polsce. Program ten będzie obsługiwany przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów oraz Ministerstwo Rozwoju i Technologii. Drugi program, znacznie mniejszy, został ogłoszony przez polskie Ministerstwo Obrony Narodowej i jest przeznaczony do zgłaszania projektów obejmujących zarówno drony, jak i systemy antydronowe. W deklaracjach ma być on adresowany przede wszystkim do rynku prywatnego. I w nim pokładają nadzieje polskie przedsiębiorstwa, funkcjonujące lub chcące zafunkcjonować na rynku defence. Pytanie, czy te nadzieje są uzasadnione.

Nie ma powodu do optymizmu. Ostatecznie okaże się zapewne, że przyjęto tylko rozwiązania proponowane przez

eprasa.pl 5a8109f443

zakłady związane z Polską Grupą Zbrojeniową oraz WB Electronics. Pozostali oferenci z rynku prywatnego, jeżeli nie będą kooperantami którejś z tych dwóch wymienionych grup, będą prawdopodobnie za mali, żeby wejść do gry. Zdaje się to potwierdzać w swoich ostatnich publicznych wypowiedziach sam minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. Pytany o potencjał polskiego przemysłu co do produkcji dronów najwyższej jakości wymienił właśnie tylko te dwa przedsiębiorstwa jako podmioty spełniające pod tym względem „MON-owskie" oczekiwania.

To pospolite ruszenie, które obecnie obserwujemy w prywatnym sektorze w sprawie produkcji dronów, może zostać zniweczone, jeżeli instytucje państwa polskiego nie podejmą realnych i rzetelnych rozmów z prywatnymi oferentami.

LABORATORIA DO ZAGOSPODAROWANIA

W Polsce już działają laboratoria badawcze potrafiące wyprodukować bezzałogowce i ich wypełnienie najwyższej jakości. Część z nich została już w latach poprzednich zagospodarowana przez WB Electronics, ale w sposób oczywisty nie wszystkie. Te, które pozostają do zagospodarowania, to niezależne podmioty posiłkujące się także technologią przetestowaną na Ukrainie. Nasze państwo powinno się nimi zainteresować. Jeżeli do tego nie dojdzie, czego się obawiam, to zostaną zagospodarowane, jak to było już w przeszłości, przez inne państwa, na czele ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie zaproponowane zostaną im odpowiednie warunki rozwijania swoich produktów. Koniec będzie taki, że Polska za parę lat kupi ich myśl techniczną, tylko opakowaną w zagraniczne brandy i oczywiście znacznie droższą.

To raczej w unijnym programie SAFE należy upatrywać realnej szansy dla polskiego prywatnego sektora. Ciekawe, że program ten będzie obsługiwany w Polsce nie przez MON, ale przez KPRM. Wskazuje to ewidentnie na ograniczone zaufanie do decyzyjności obecnego kierownictwa MON. W tym europejskim programie polskie przedsiębiorstwa mogą osiągnąć, w połączeniu z pozyskanymi na Ukrainie kompetencjami, zauważalne sukcesy. Ukraińskie technologie bowiem wkraczają do Polski. To szansa dla rynku prywatnego.

W Polsce nie ma regulacji prawnych, które nakazywałyby uwzględniać polskie podmioty w rejestrowaniu zbrojeniowej działalności przemysłowej pochodzącej z Ukrainy

Działania rosyjskie przeprowadzające mniej lub bardziej udane bombardowania miejsc, w których odbywa się produkcja uzbrojenia na Ukrainie, w tym produkcja większych dronów i wkomponowywanego w nie uzbrojenia, powodują, że coraz częściej się myśli o przeniesieniu produkcji ukraińskiej do Polski. To może być także pomysł na pozyskanie przez Polskę wspólnej produkcji na potrzeby zarówno ukraińskie, jak i polskie. Do tego potrzebna jest jednak wola współpracy po obu stronach. Korzyścią takiej współpracy technologicznej byłoby to, że Polska mogłaby pozyskać uzbrojenie dronowe rzeczywiście sprawdzające się na polu realnej walki, co jest nie do zlekceważenia.

PODEJRZENIE, ŻE INFILTRUJĄ ROSJANIE

Niezależnie od gotowości do polsko-ukraińskiej współpracy państwowej w tym zakresie w Polsce już działają liczne laboratoria badawcze i start-upy prywatnego ukraińskiego sektora przemysłu obronnego. Mamy już zatem w Polsce cały przekrój ukraińskiej myśli technologicznej przede wszystkim w dziedzinie bezzałogowych dronów. I co?

Mimo zgłaszanych przez kolejne rządy deklaracji o rozpoczęciu współpracy z ukraińskimi zakładami przemysłu zbrojeniowego do tej pory pozostały one w sferze życzeniowej. Powodów tego jest kilka, a każdy ma swoje znaczenie. Podam dwa.

Jeden to podejrzenie, że w rzeczywistości zakłady i projekty ukraińskie są infiltrowane przez Rosjan i rodzi to ryzyko wprowadzenia na użytek polskiej armii sprzętu znanego stronie rosyjskiej, która już pracuje nad jego uszkodzeniem. Drugi powód jest taki, że najlepszych swoich kompetencji zbrojeniowych Ukraina wcale nie zamierza nam udostępniać i tym samym sprzedawać. Mowa tu o kompetencjach dotyczących rakiet, które Ukraina posiadała już w czasie Związku Sowieckiego i je po jego rozpadzie wciąż udoskonalała. Polska w ramach pomocy w sprzęcie wojskowym, której udziela Ukrainie od początku wojny, mogła zażądać w zamian udostępnienia tych rakietowych kompetencji naszemu krajowi, ale tego nie uczyniła i nie czyni. Dlaczego? To już pytanie o to, czyich interesów bronimy w pierwszym rzędzie. Nie przypadkiem w przestrzeni publicznej nazywano jednego z najważniejszych polityków polskich wiceprezydentem Ukrainy.

Na Ukrainie w okresie trwającej wojny wykształcił się jednak sektor prywatny, który może być bardzo interesującym partnerem dla polskich zakładów. Chodzi właśnie o ukraińskie kompetencje dronowe. Są one rozwijane przede wszystkim w prywatnym sektorze ukraińskim. Już teraz obserwujemy proces przenoszenia prywatnej produkcji dronów z Ukrainy do Polski, co związane jest z zagrożeniem zbombardowania tam prowadzonej działalności. Rodzi się jednak pytanie o cele strony ukraińskiej. Jeżeli celem jest tylko przeniesienie swojej produkcji do zarejestrowanych w Polsce ukraińskich firm i wytwarzanie dronów dostarczanych bezpośrednio na Ukrainę, to w takim modelu nie ma miejsca na współpracę z polskimi podmiotami. Aby do tego nie doszło, musiałyby powstać mieszane firmy polsko-ukraińskie, które produkowałyby nie tylko drony na Ukrainę, lecz także na rynek europejski i oczywiście polski.

Tylko że w Polsce nie ma regulacji prawnych, które nakazywałyby uwzględniać polskie podmioty w rejestrowaniu zbrojeniowej działalności przemysłowej pochodzącej z Ukrainy, mimo że odbywałoby się to na terenie naszego kraju. Pozostaje zatem nadzieja, że uda się przekonać stronę ukraińską, iż warto wejść w pełną współpracę z polską stroną, w tym w zakresie przekazywania technologii. Czy tak się stanie, dopiero się okaże. Ale czasu na dobre przygotowanie się na odparcie potencjalnej rosyjskiej agresji jest coraz mniej.

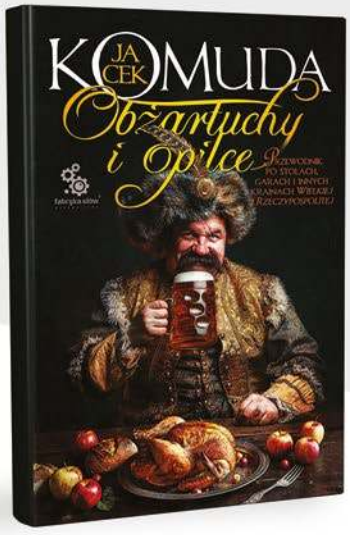
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~601 ZŁ~~

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

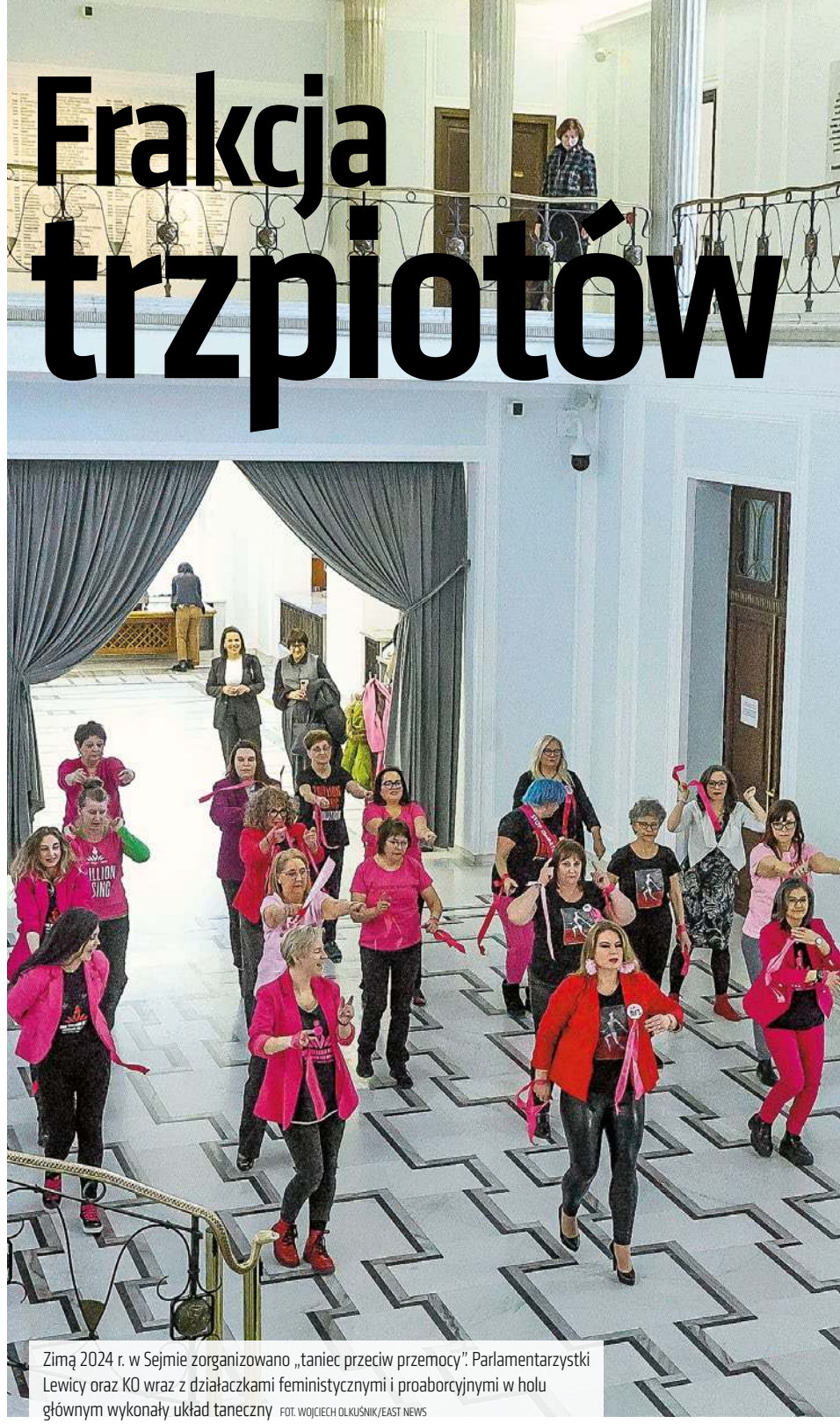
eprasa.pl 5a8109f443

Frakcja trzpiotów



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Wśród polskich polityków nie brakuje trzpiotów. Najważniejszy jest bezmyślny, medialny lans, nawet za cenę śmieszności. Merytoryka schodzi na dalszy plan



Zimą 2024 r. w Sejmie zorganizowano „taniec przeciw przemocy". Parlamentarzystki Lewicy oraz KO wraz z działaczkami feministycznymi i proaborcyjnymi w holu głównym wykonały układ taneczny FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Mister President, Slava Ukrainie, thank you for your work, thank you for what you are doing – tymi słowami posłanki KO i Polski 2050, Anna Sobolak oraz Agnieszka Buczyńska, zwróciły się do prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego, gdy ten w grudniu odwiedził Sejm RP. – Good luck, we are with you – krzyczały, gdy przywódca poszedł dalej. Na koniec parlamentarzystki zapozowały do zdjęcia selfie, pokazując znak wiktorii na tle funkcjonariusza Straży Marszałkowskiej. – O rany, jak miło – stwierdziła jedna. – Nie mdlej, nie mdlej – odparła koleżanka z sejmowych ław. – Slava Ukrainie – wypowiedziały na koniec.

Panie nagrywały przejście Zełenskiego sejmowym korytarzem na tyle długo, aby obserwujący ich profile w mediach społecznościowych mogli dostrzec niemałą ekscytację, wynikającą z kilkusekundowej rozmowy z ukraińskim prezydentem. Komentarze były bezlitosne. „Wzięłyście autograf?"; „Co za dno..." – pisali użytkownicy portalu X. Niektórym nie podobało się powtarzane przez Sobolak i Buczyńską ukraińskie hasło: „Slava Ukraini". „Pani to ma jakieś granice przyzwoitości? Przecież ten okrzyk, który pada w polskim Sejmie, słyszały ofiary rzezi wołyńskiej przed śmiercią. Was nie powinno tam być, nawet wasi wyborcy czują pewnie wstyd i zażenowanie" – zarzucił jeden z internautów. Ktoś inny porównał parlamentarzystki koalicji do groupies zespołu The Beatles, mdlejących na widok swoich idoli.

Swoje trzy grosze dorzuciła Klaudia Jachira z Zielonych, która udostępniając nagranie Sobolak, zaznaczyła na nim czerwonym kółkiem swoją dłoń. „Podczas wczorajszej wizyty Prezydenta Zełenskiego w Sejmie była okazja do szybkiego i spontanicznego uściśnięcia dłoni. Tak, ta zaznaczona ręka, to moja. Panie Prezydencie, jesteśmy z Wami, z walczącą Ukrainą" – pochwaliła się na Instagramie. Jachira wykrzykiwała też w stronę Wołodymyra Zełenskiego, że tak jak on zajmuje się aktorstwem.

ROBOTA NIE ZAJĄC

Nasi politcelebryci wydają się zainteresowani wszystkim poza rzetelną pracą

eprasa.pl 5a8109f443

na rzecz swoich wyborców. Zimą 2024 r. w Sejmie zorganizowano „taniec przeciw przemocy". W ramach inicjatywy „Nazywam się Miliard" parlamentarzystki Lewicy oraz Koalicji Obywatelskiej wraz z działaczkami feministycznymi i proaborcyjnymi w holu głównym wykonały układ taneczny, symbolizujący władzę nad własnym ciałem. Kampanię „Nazywam się Miliard" zainicjowano w 2011 r. w USA. Nagranie tańca ironicznie skomentował w mediach społecznościowych poseł PiS Antoni Macierewicz. „Z okazji walentynek przypominam wszystkim Panom: nie wiążcie się z feministkami, bo będziecie takie coś oglądać na co dzień" – ocenił.

Minister do spraw równości Katarzyna Kotula broniła akcji, atakując opozycję. „Prawica – o przemocy nie można krzyczeć, o przemocy nie można mówić, przeciwko przemocy nie można w Sejmie tańczyć" – oburzała się.

Wspominana już Klaudia Jachira nie kryła ekscytacji. „Zrobiłyśmy to! Po raz pierwszy w historii w polskim Sejmie zatańczyłyśmy taniec przeciwko przemocy wobec kobiet »Nazywam się Miliard«! W tym roku tańczymy w intencji zmiany definicji gwałtu, bo tylko TAK oznacza zgodę. Jedna za miliard! Miliard za jedną!" – napisała.

„Tańcem zwalczają przemoc wobec kobiet. I znowu wychodzi na to, że lewica to stan umysłu" – kpił za to ówczesny rzecznik Konfederacji Tomasz Grabarczyk. „W Sejmie trwa »Mam talent«, niestety bez udziału marszałka Szymona Hołowni. Przeciw przemocy wobec kobiet tańczą Klaudia Jachira, Katarzyna Kotula i Wanda Nowicka. Tymczasem eurodeputowani Koalicji 13 grudnia głosowali dziś za mechanizmem relokacji nielegalnych imigrantów, którzy – jak powszechnie wiadomo – kobiety szanują w specyficzny sposób i nie dopuszczają się wobec nich aktów przemocy" – skomentował Michał Jelonek z Telewizji Republika.

PRACA ZDALNA PROSTO Z WANNY

Mentalność „trzpiotowa" ujawniła się przy okazji dyskusji o tzw. ustawie łańcuchowej, którą zawetował prezydent Karol Nawrocki. W dniu, w którym w Sejmie podjęto próbę obalenia prezydenckiego weta, minister funduszy i polityki regionalnej z Polski 2050 Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz przyprowadziła do parlamentu… psa. Miał to być dowód, że miłość do zwierząt to nie tylko deklaracje. – Pies dziś jest tutaj wraz ze mną, bo dziś w Sejmie jest bardzo ważne głosowanie. Mam nadzieję, że dzięki temu gestowi posłowie zobaczą i wyobrażą sobie, jak zwierzęta cierpią na łańcuchu. Mój Sherlock nigdy nie był na łańcuchu. Skończymy z tym – apelowała minister w rozmowie z dziennikarzami.

Zwierzak czuł się w tak zatłoczonym miejscu ewidentnie nieswojo, co zauważył Janusz Cieszyński z PiS. „Kiedy dziś w Sejmie Katarzyna Pełczyńska robiła propagandę, obok trząsł się ze stresu piesek, którego przyprowadziła jako żywy rekwizyt. Następnie zabrała przerażonego zwierzaka do kamer" – skomentował były minister cyfryzacji.

Lans „na psa" nie jest domeną tylko Pełczyńskiej-Nałęcz. Miesiąc po wyborach parlamentarnych z 2023 r. świeżo wybrana wicemarszałek Sejmu Dorota Niedziela z KO opowiedziała o swoich priorytetach. – Pierwsza rzecz to barierki [ich usunięcie sprzed Sejmu – przyp. red.]. Druga: żeby można było wejść na teren Sejmu z psem – powiedziała portalowi OKO.press. – Jeździłam pociągiem z moim psem, ma 4,5 kg, więc nie jest to trudne – dodała. Pytana, czy w nowej kadencji psy wejdą do Sejmu, odparła: – Będziemy o tym rozmawiać w prezydium. Ale wejście na teren ogrodów sejmowych? W czym jest problem?

Do historii polskiego parlamentaryzmu przejdzie z pewnością szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska, która zasiada jednocześnie w Krajowej Radzie Sądownictwa. Wiosną ubiegłego roku Internet obiegło zaskakujące nagranie – podczas częściowo zdalnego posiedzenia KRS poseł połączyła się przez kamerę, leżąc w wannie. Na Żukowską spadła krytyka, a przy okazji parlamentarzystka dorobiła się niezbyt chlubnego przydomku „Anna-wanna". Choć w tym przypadku była to raczej wtopa niż chęć zaistnienia, to dość dobrze obrazuje podejście dużej części polityków do obowiązków. W TVN24 Żukowska tłumaczyła się z kompromitacji. – Cierpię na bóle kręgosłupa i po prostu czasem to jest jedyna rzecz, która mi pomaga. Ja za to bardzo przepraszam, już przepraszałam – podkreśliła posłanka. – Regulamin KRS pozwala na pracę zdalną, wielu sędziów, członków i też kandydatów startujących w konkursach z tego korzysta. Różne rzeczy się zdarzają, jeżeli chodzi o nagłe włączanie się kamer. Po prostu za to przepraszam – dodała.

SZANSA NA SUKCES

Jednak nie tylko strona rządowa ma w swoich szeregach polityków ze skłonnością do zajmowania się wątkami pobocznymi. Jakiś czas temu głośno było o imprezie w sejmowej restauracji, w której brali udział posłowie PiS. Po zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego na prezydenta Dariusz Matecki i Łukasz Mejza mieli śpiewać głośne piosenki o zabarwieniu antykoalicyjnym. – Staszek piątka, Tomek dycha, a dwudziestka dla Giertycha – mieli intonować, według „Rzeczpospolitej", posłowie PiS. Sami zainteresowani próbowali obrócić całą sytuację w żart. – Drodzy dziennikarze, jak wy w ogóle mogliście uwierzyć w coś takiego, że ja z kolegą Mateckim zaśpiewałem taką oto przyśpiewkę w restauracji sejmowej? – pytał na nagraniu opublikowanym w Internecie Mejza, po czym złapał za gitarę i odśpiewał: – Staszek piątka, Tomek dycha, a dwudziestka dla Giertycha. Oni chcieli dużo siana, mają doktrynę Neumanna.

Następnie Mejza dodał: – Słuchajcie, ja w życiu, w życiu bym tego nie zaśpiewał. Tym bardziej nie zagrał na gitarze bez struny, a na pewno nie z kolegą Mateckim, bo przecież on śpiewać nie umie.

Jedni śpiewają, inni walczą o mikrofon po to, aby przemawiać. Żenująca sytuacja miała miejsce podczas uroczystości otwarcia obwodnicy Nowego Korczyna w województwie świętokrzyskim. O dostęp do mikrofonu „walczyli" posłowie PiS – Michał Cieślak i Anna Krupka. „Przewodnicząca PiS w regionie świętokrzyskim, wyraźnie zdeterminowana, ruszyła w stronę Cieślaka, nie zważając na osoby stojące na jej drodze. W wyniku tego potrąciła m.in. Pełczyńską-Nałęcz i odebrała Cieślakowi mikrofon, odwracając go w przeciwną stronę" – donosił lokalny portal echodnia.pl. „Sytuację uspokoiło nieco pojawienie się ks. Pawła Majewskiego, proboszcza parafii pod wezwaniem Świętej Trójcy i kustosza sanktuarium Świętej Kingi w Nowym Korczynie" – dodano.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



Radosław Wojtas

Zaimki w piaskownicy



FOT. ADOBE STOCK

Niebinarny bizon, transpłciowy elf, dwie mamy lub dwóch tatusiów zamiast tradycyjnego modelu rodziny... Dostępne w streamingu produkcje dla dzieci przesiąknięte są treściami ideologicznymi – alarmuje amerykańska organizacja, która przeanalizowała skalę tego zjawiska na Netflixie

Jestem osobą transpłciową. Wie o tym każdy w szkole, wiedzą domownicy, a tu jestem w zupełnie nowym miejscu. Tu mogę być Barniem i wybrać, kiedy i czy chcę się komuś zwierzyć. Tu jestem szczęśliwy – te słowa, które jakiś czas temu rozeszły się wiralem w Internecie, wypowiada jeden z głównych bohaterów serialu animowanego „Martwy punkt: Paranormalny park", odpowiedniego według Netflixa dla dzieci powyżej siódmego roku życia. Wideo z tym fragmentem było powodem wpisu Elona Muska na X, w którym wezwał do bojkotu Netflixa. Jego apel miał dwie wymierne konsekwencje. Po pierwsze, wycena akcji właściciela tej platformy streamingowej natychmiast runęła. Po drugie, internauci zaczęli masowo wynajdywać i wstawiać fragmenty innych produkcji dla dzieci, w których promowane jest lewicowe spojrzenie na zagadnienia seksualności, płci, rodziny itp.

Być może również ten szum spowodował, że tematem, który dotychczas pozostawał raczej w sferze wirali i anegdot, zainteresowała się Concerned Women for America (CWA), konserwatywna, ewangelikalna organizacja kobiet, zajmująca się polityką publiczną. Przeanalizowała setki produkcji dla dzieci dostępnych na Netflixie. W opublikowanym niedawno raporcie ostrzega: „[...] twórcy treści postrzegają programy dla dzieci jako narzędzie transformacji kulturowej, a nie jedynie odzwierciedlenie istniejących norm. Ben Shapiro w swojej książce »Primetime Propaganda« zauważa, że telewizja »odzwierciedla tych, którzy ją tworzą, i przekształca wszystkich innych«. Odzwierciedla ona rzeczywistość osób żyjących w wyselekcjonowanych i izolowanych bańkach Manhattanu i Hollywood, jednocześnie przekształcając postawy, percepcje, przekonania, zachowania i światopogląd reszty kraju. Ustalenia tego raportu sugerują, że Netflix nie tylko odzwierciedla zmiany społeczne, lecz także jest ich aktywnym motorem".

Treści LGBTQ+ pojawiły się w 109 przeanalizowanych produkcjach z 326. To 33 proc. Nie są od nich wolne programy adresowane już do najmłodszych dzieci, ale skokowy wzrost ekspozycji na treści ideologiczne następuje w momencie przejścia dziecka z wieku przedszkolnego do wczesnoszkolnego (z 21 proc. w grupie 2–6 lat do 41 proc. w grupie 7+). Mówimy tu o ofercie z różnych lat, ale gdyby przyjrzeć się wyłącznie najnowszym produkcjom, odsetek ten byłby jeszcze wyższy. Raport wskazuje, że aż sześć na dziesięć nowych seriali dla dzieci debiutujących na platformie Netflix w 2023 r. zawierało wątki LGBTQ+.

TATUŚ TRANSJAGÓDKA

W jednym z odcinków animacji „Ridley Jones: Strażniczka Muzeum" w amerykańskim Netflixie, adresowanej do grupy 2–6 lat (w Polsce kategoria wiekowa dla każdego, czyli dla najmłodszych też), poznajemy Winifred. Winifred jest małą samiczką bizona. Ale nie jest zwyczajnym bizonem, którego głównym zmartwieniem jest poziom soczystości trawy. Jest bizonem niebinarnym, który martwi się o zaimki. W kulminacyjnej scenie staje przed swoją babcią i wygłasza monolog, który brzmi jak wyjęty z podręcznika gender studies, a nie z bajki o zwierzątkach.

– Jeśli mam poprowadzić stado, chcę to zrobić jako ja. Sama mówisz, że trzeba słuchać swojego serca, prawda? Więc moje serce mówi, że naprawdę czuję się sobą, kiedy używam imienia Fred, bo jestem niebinarną bestią. To imię najlepiej do mnie pasuje. Używam też neutralnych zaimków, bo zaimki „on" lub „ona" jakoś zupełnie do mnie nie pasują – opowiada w polskiej wersji językowej Winifred, która czuje się Fredem.

„Truskawkowe Ciastko w wielkim mieście" to produkcja, którą oznaczono jako odpowiednią dla najmłodszych, nawet dwuletnich widzów. Mogą oni poznać dwóch tatusiów jednej z bohaterek. Jeden z nich jest transpłciowy, drugi – niebinarny. Ten pierwszy, szykując się do pokazu drag queen, wygłasza taką mądrość: „Jako transjagódka uwielbiam żyć głośno jako moja najbardziej autentyczna wersja siebie i chciałem ubrać się tak odważnie

eprasa.pl 5a8109f443

i wyjątkowo jak ja sam, co – nie oszukujmy się – jest sporym wyzwaniem".

Serial animowany „Uliczka CoComelon" adresowany jest do najmłodszych widzów. Przykuwa uwagę nawet takich dzieci, które jeszcze nie potrafią mówić, ale chłoną świat obrazami. (Na marginesie pozostawmy sprawę sadzania tych maluchów przed ekranami). Uczy zachowań w różnych sytuacjach, np. bezpiecznego przechodzenia przez ulicę, mycia zębów, nauki pływania, oswaja emocje przed pierwszą wizytą u fryzjera itp. W jednym z odcinków chłopiec przygotowuje się do sesji zdjęciowej z parą homoseksualnych mężczyzn, którzy go adoptowali, przymierza kolejne stroje i zastanawia się, w czym będzie wyglądał najlepiej. W odpowiedzi mężczyźni śpiewają mu piosenkę „Just be you" („Po prostu bądź sobą"), zachęcając go do wybrania tego, co najbardziej mu się podoba. Chłopiec ubiera m.in. tiarę i spódniczkę baletową (tutu) i tańczy dla mężczyzn, a oni biją mu brawo.

W serialu „Transformers: Iskra Ziemi" pojawia się pierwszy niebinarny transformers, a wraz z nim oczywiście kwestia tego, z którymi zaimkami utożsamia się ta maszyna.

Sięgnijmy po przykład spoza Netflixa, bo przecież problem nie dotyczy wyłącznie tej platformy. W nadawanym od lat „Śladem Blue" od Nickelodeon pojawia się piosenka o paradzie równości. Śpiewana jest przez drag queen Ninę West. W animowanym korowodzie maszerują zwierzątka reprezentujące każdą literkę alfabetu LGBTQIA+. Mamy tam rodziny z dwoma tatusiami, dwiema mamusiami, ale to dopiero początek. W tekście padają słowa o osobach aseksualnych, biseksualnych i panseksualnych. A na ekranie? Na ekranie przemyka bóbr z bliznami po mastektomii.

REPREZENTACJA CZY INŻYNIERIA?

Przykłady można mnożyć, a o rosnącym udziale takich treści w programach dla najmłodszych mówią nie tylko prawicowe organizacje. Potwierdzają to również m.in. raporty GLAAD (Gay & Lesbian Alliance Against Defamation), której działania służą zwiększaniu reprezentacji LGBTQ+ w mediach. Wzrost częstotliwości występowania treści LGBTQ+ jest widoczny zwłaszcza w streamingu.



Jeden z głównych bohaterów serialu animowanego „Martwy punkt: Paranormalny park" jest transpłciowy FOT. NETFLIX

GLAAD otwarcie podkreśla wagę kategorii dla dzieci i rodziny jako ważnego obszaru wzrostu. Organizacja argumentuje, że w obliczu „ustawodawstwa anty-LGBTQ" kluczowe jest, aby treści dla dzieci przedstawiały społeczność w sposób afirmatywny.

CWA stawia tezę, że Netflix przestał być neutralnym dystrybutorem treści, a stał się „aktywnym stymulatorem" (active driver) konkretnej agendy kulturowej. Raport podkreśla, że wątki LGBTQ+ nie są przypadkowym tłem, lecz często stanowią centralną oś fabularną. Zresztą nie jest żadną tajemnicą, że największe streamingi dbają o „różnorodność" przekazu. Tylko że – jak zauważa CWA – nie są to proporcje, które odzwierciedlają realny udział pewnych zjawisk w społeczeństwie, mamy do czynienia z dużą nadreprezentatywnością. Raport zauważa korelację między wzrostem dostępności treści LGBTQ+ a gwałtownym skokiem liczby młodych ludzi identyfikujących się jako osoby nieheteronormatywne. W pokoleniu Z te statystyki szybują w górę w sposób, którego nie da się wyjaśnić samą tylko większą otwartością społeczną. Mamy do czynienia z modą, z trendem, który jest podsycany przez popkulturę, ostrzega CWA.

Platformy streamingowe wykorzystują zaufanie rodziców do systemu ratingowego, aby wprowadzać treści, które wymagają od opiekunów prowadzenia skomplikowanych rozmów o seksualności i tożsamości płciowej z dziećmi, które nie opanowały jeszcze podstawowych umiejętności czytania czy arytmetyki. Małemu człowiekowi, który dopiero uczy się rozróżniania kwadratu od trójkąta i cioci od wujka, serwuje się dylematy bohaterów (często też dzieci) o zaimkach i tożsamości płciowej. A przecież maluchy w wieku okołoprzedszkolnym myślą konkretnie. Dla nich świat jest binarny, bo tak działa ich mózg na tym etapie rozwoju: dzień – noc, mama – tata, dobro – zło. Wprowadzanie abstrakcyjnych koncepcji płynnej tożsamości płciowej nie uczy ich tolerancji. Ono wprowadza poznawczy chaos.

AKCJA I REAKCJA

Co w tej sytuacji mogą zrobić rodzice, którzy woleliby, żeby ich dzieci nie zaprzątały sobie głowy problemami małych bizoniątek z zaimkami, a skupiły się raczej na tym, czego bajki uczyły od zawsze? Na pewno nie mogą polegać na systemie klasyfikowania treści, bo ten nie spełnia swojej funkcji. Powstał dekady temu, głównie do monitorowania przemocy i wulgaryzmów. Treści ideologiczne (nawet jeśli odnoszą się do sfery seksualności i tożsamości płciowej) przeciekają przez to przestarzałe sito. Nie wystarczy też obejrzenie jednego odcinka danego serialu, bo niepożądane z punktu widzenia rodziców sceny nie muszą pojawiać się w każdym odcinku czy sezonie. Także stare historie, na których wychowywali się rodzice, bywają podawane na nowo, w „nowoczesnym duchu".

Erozja zaufania do głównego nurtu stworzyła próżnię, którą zaczęły wypełniać alternatywne platformy (jak np. niedostępny w Polsce Bentkey) i produkcje oparte na wartościach prorodzinnych, chrześcijańskich lub po prostu apolitycznych. Niektóre z nich dostępne są w mainstreamie. Australijski serial „Blue" (dostępny na Disney+, producentem jest Ludo Studio) adresowany do dzieci w wieku przedszkolnym stał się globalnym fenomenem głównie dlatego, że został uznany za „bezpieczną przystań" dla konserwatywnych rodziców. Animacja afirmuje rodzinę, jednym z bohaterów jest obecny, kompetentny i kochający ojciec, serial opowiada o zabawie, wyobraźni, relacjach, unika polityki tożsamości.

Dostępność oferty i łatwość sięgania po nią wymaga od rodziców czujności większej niż kiedykolwiek. Może to też dobry moment, by sięgnąć po starsze produkcje, z czasów, gdy bizon był bizonem, a nie nośnikiem zaimków, gdy misją bohatera było uratowanie księżniczki, a nie dekonstrukcja patriarchatu, gdy nikt nie miał żadnych wątpliwości co do intencji wilka i płci Czerwonego Kapturka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

Stracone złudzenia



Krzysiek Salomon z Sopotu (świetny Tomasz Ziętek) otrzymuje szansę jako dżokej na warszawskim torze

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

„Wielka Warszawska" w kinach. Niby o wyścigach i hazardzie, ale tak naprawdę o tym, że „nowe czasy, stare twarze – to samo bagno"

Film Bartłomieja Ignaciuka według scenariusza Jana Purzyckiego (nieżyjącego od 2019 r.) dołącza do długiej listy produkcji z ostatnich lat, w których nowe pokolenie reżyserów mówi o transformacji ustrojowej w sposób absolutnie niegdyś zakazany. Seriale „Heweliusz" i „Niebo. Rok w piekle", filmy takie jak „Ministranci" – oczywiście lista jest dużo dłuższa. Pokolenie dzisiejszych 40-latków, których niemal całe życie upłynęło w III RP, widzi wyraźnie to, co głosili wyklinani niegdyś przez „Wyborczą" tzw. prawicowi radykałowie. Nie dość, że gra w kasynie przemian ustrojowych była ustawiona, to jeszcze samym kasynem kierowali bandyci.

TO SAMO BAGNO

Ignaciuk sięgnął po zapomniany tekst Purzyckiego, którego korzenie tkwią jeszcze w latach 70. i jego fascynacji wyścigami konnymi, ale pisany już w czasach przełomu. Domyka on nieformalną trylogię scenariuszy Purzyckiego, na którą składają się jeszcze „Wielki Szu" (1982) i „Piłkarski poker" (1988). Wspomnijmy więc od razu najważniejsze, definiujące te filmy zdania. Dla „Wielkiego Szu" będzie lekcja od starego szulera granego przez Jana Nowickiego: „Ty oszukiwałeś, ja oszukiwałem – wygrał lepszy". A dla „Piłkarskiego pokera" słowa sędziego piłkarskiego Jaskóły (Henryk Bista): „Jestem uczciwy. Zapłacili za 3:0, będzie 3:0!". Zdanie kluczowe dla „Wielkiej Warszawskiej", czyli „Nowe czasy, stare twarze, to samo bagno" pada w kontekście wyścigów konnych, ale wiadomo, że chodzi o coś więcej.

Zatem trylogia hazardowa? Trochę. Trylogia ryzykantów? Można tak powiedzieć. Ale chyba najlepiej pasowałby tytuł jednej z serii telewizyjnych nowelek z czasów PRL, czyli „Parada oszustów". Zatem trylogia oszustów, lecz oczywiście nie chodzi tylko o tych, których widzimy na ekranie.

„»Wielkiego Szu« wymyśliłem w owych czasach jako opozycję do rozpanoszonej amatorszczyzny, głupoty, zakłamania i braku jakichkolwiek zasad" – pisał Jan Purzycki w książce „Telewizyjny poker" (1993). „Wymyśliłem szulera, ale faceta z zasadami i prawdziwego profesjonalistę" – tłumaczył.

Nakręcony w 1982 r. film wszedł na ekrany PRL w maju 1983 r., stając się wielkim przebojem. Także powieściowa

eprasa.pl 5a8109f443

wersja „Wielkiego Szu" sprzedawała się jak ciepłe bułeczki – nawet dziś nie jest łatwo znaleźć ją na antykwarycznych półkach. Oczywiście była to świetna rozrywka, oczywiście docenić trzeba aktorski kunszt Jana Nowickiego i Andrzeja Pieczyńskiego (grał młodego adepta pokera, który pobiera bolesne lekcje życia od starego szulera), ale ważne są konteksty. Widzimy je w zacytowanej wyżej wypowiedzi Purzyckiego. Stan wojenny dopisał do tej krytyki systemu, w którym triumfują cwaniactwo i siła, jeszcze jedno znaczenie: akcja rozgrywała się w czasach gierkowskiej prosperity (cóż z tego, że prosperity na kredyt). Zatem podczas gdy na ulicach w realu mieliśmy ZOMO i kolejki do pustych sklepów, na ekranie był „Luksemburg, chata, szkło" lat 70. – hotele, pieniądze, blichtr. Film karmił zatem także widza nostalgią za niedawnymi, lepszymi czasami. Ot, nieoczekiwany efekt uboczny.

O „Piłkarskim pokerze" z kolei tak mówił po latach reżyser Janusz Zaorski (wywiad dla PAP w 35. rocznicę premiery filmu): „Pod pretekstem piłki nożnej chciałem pokazać, jak gnije i prostytuuje się otaczający nas system, ile złego wydarzyło się w naszym kraju po ogłoszeniu stanu wojennego". Zaorski trafił w dziesiątkę, tłumy oglądały film z niezapomnianymi rolami Janusza Gajosa, Mariana Opani, Mariusza Dmochowskiego, Małgorzaty Pieczyńskiej – każda rólka, każdy epizod obsadzone były trafnie. A komedia (fakt, że smutna w wymowie) zyskała status kultowej. I doskonale zrozumiano drugie dno jej przesłania. „Gdybym zrobił film o elitach politycznych PRL i ich moralnym upadku w skali 1:1, cenzura by mi tego nigdy nie przepuściła!" – mówił w 2024 r. Zaorski.

GANGSTERSKIE UKŁADY

„Wielka Warszawska" wpisuje się w ten trend krytyki świata przedstawionego poprzez kryminał. Nie ma tu tylu elementów komediowych, co w „Piłkarskim pokerze", scenariusz bliższy jest szarościom moralnym „Wielkiego Szu", akcja zaś rozgrywa się już w III RP, w pierwszych latach transformacji ustrojowej. Młody, ambitny i zakochany w wyścigach chłopak, Krzysiek Salomon z Sopotu (świetny Tomasz Ziętek), otrzymuje szansę jako dżokej na warszawskim torze. Ma sporo szczęścia, bo jeździ dla grupy, którą kieruje doświadczony i uczciwy trener Pelt (równie dobry Tomasz Sapryk), a sponsorem jest nowobogacki handlarz kasetami wideo Lewandowski (Tomasz Kot), też bardziej zabawny niż groźny.

Ponadto okazuje się, że na Służewcu królują gangsterskie układy. Wszystkim trzęsą nielegalni bukmacherzy, wyniki wyścigów są ustawiane, a gdy ktoś nie chce się układom podporządkować, musi się liczyć z tym, że niespodziewane wypadki mogą przydarzyć się i koniom, i ludziom. Przed laty ofiarą gangsterów padł ojciec Krzyśka Salomona, niegdyś także obiecujący dżokej, któremu bandyci połamali nogi. Nic więc dziwnego, że Kajetan Salomon (Ireneusz Czop) próbuje trzymać syna od tego towarzystwa jak najdalej. Ale nie może mu się to udać, bo przecież czekają sława, pieniądze i łatwe kobiety. Tu na scenę wkracza jedna z najciekawszych postaci filmu, Irena, grana przez Agnieszkę Żulewską. Przedstawia się jako dziennikarka, wielu bierze ją za prostytutkę, a tak naprawdę jest hazardzistką zadłużoną u nielegalnego buka, która próbuje swój dług odpracować takimi czy innymi przysługami.

„Wielka Warszawska" godnie domyka trylogię Purzyckiego, osiem lat po śmierci autora scenariusza. Barwny obraz półświatka jest równie ciekawy jak w dwóch poprzednich filmach, obsada jest bezbłędna, dialogi świetne. Kilka scen zapadnie widzom w pamięci na długo. Przy niektórych się śmiejemy (gdy Tomasz Ziętek zawzięcie trenuje na mechanicznym koniku), inne sprawiają, że rozdziawiamy usta w zdumieniu, bośmy w życiu czegoś takiego nie widzieli (operacja rannego konia).

Sceny wyścigów zrealizowane są pomysłowo i trzymają w napięciu, atmosfera początku lat 90. oddana została świetnie. Tym, czego nieco brakuje w tej opowieści, jest nieco większy rozmach, większy oddech, bo ma się chwilami wrażenie, jakby rzecz była bardziej telewizyjna niż kinowa. W drugiej połowie filmu, gdy akcja zaczyna przypominać nieco „Żądło", a główny bohater zaczyna knuć przeciwko swoim wrogom, gubimy tajemnicę, bo bardzo szybko przyjdzie nam się domyślić, jak wygląda misterny plan. Blado wypada też wątek miłosny między Krzyśkiem a Ewą (inną miłośniczką hippiki, graną przez Mary Pawłowską).



REŻ. BARTŁOMIEJ IGNACIUK „WIELKA WARSZAWSKA" POLSKA 2025

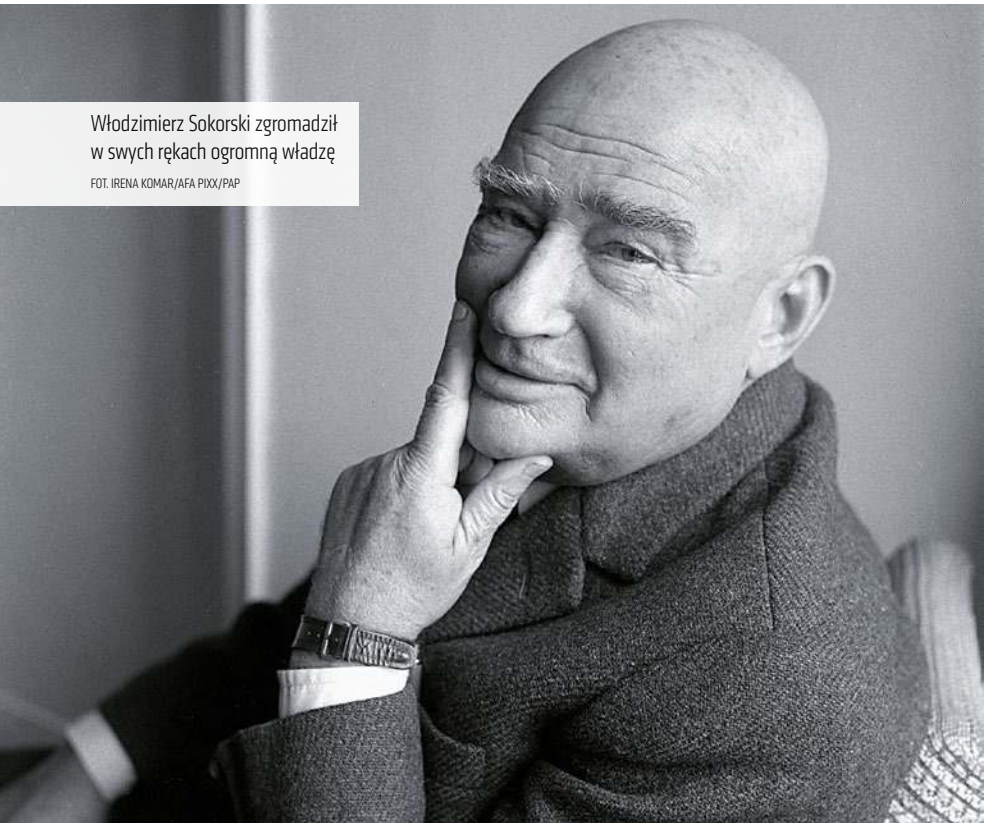
DEMASKACJA W MIKROSKALI

Nie zmienia to faktu, że „Wielką Warszawską" obejrzeć trzeba koniecznie – oprócz emocji, jakie dostarczać powinien kryminał, daje nam okazję do refleksji nie tylko nad początkiem III RP, lecz także jej stanem obecnym. Hasło „nowe czasy, stare twarze, to samo bagno" zestarzało się niewiele. Owszem, generacja „Słowika" i „Pershinga" gryzie piach, ale ich miejsce zajęli inni zblatowani z władzą kombinatorzy. Wspomnijmy choćby aferę hazardową i dziwne powiązania polityków PO z macherami od kasyn i automatów hazardowych. Zatem może trzeba byłoby rzec „nowe czasy, nowe twarze, to samo bagno". Ale czy taka aktualizacja jest potrzebna? Wszak gdy włączymy telewizor, straszą nas te same twarze, co 30 lat temu. Twarze symbole magdalenkowego przyzwolenia na kapitalizm nie tyle drapieżny, ile po prostu bandycki.

Demaskacja w filmie „Wielka Warszawska" ma jednak swoje granice, prowadzona jest w mikroskali. Gdzieś za plecami nielegalnych buków ze Służewca czai się mroczna postać pana Ryszarda, prawdziwego mafiosa, który swoim imperium kieruje z budy gastronomicznej na Bazarze Różyckiego. To tacy jak on byli niegdyś zblatowani z esbecją, by handlować walutą, prowadzać panienki i obrabiać zagranicznych turystów tudzież miejscowych badylarzy. A po 1989 r. zabrali się do masowej kradzieży samochodów w Niemczech, zainwestowali w kantory, kluby nocne, agencje towarzyskie, motele, jednorękich bandytów, potem w narkotyki. Największych beneficjentów jednak nigdy polskie kino nie pokazało – ani tych ze świata przestępczego, ani tym bardziej politycznego. Na proces pełnego uzdrowienia III RP będzie musiała jeszcze poczekać. Chyba że wcześniej zakończy swój żywot.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



Włodzimierz Sokorski zgromadził w swych rękach ogromną władzę

FOT. IRENA KOMAR/AFA PIXX/PAP





Z Moniką Luft, dziennikarką i pisarką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Mikrofon i ekran

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Objęcie prezesury Komitetu do spraw Radia i Telewizji stanowiło dla Włodzimierza Sokorskiego awans czy degradację?

MONIKA LUFT: Zdecydowanie to ostatnie! Wcześniej ów wojak spod Lenino był ministrem kultury, wszechwładnym komunistycznym urzędnikiem, który bezwzględnie wprowadzał w życie socrealizm i niszczył kariery artystów opierających się zmianom. Jednak klęska socrealizmu w sztuce wymiotła go z ministerstwa. Środowisko oskarżyło go o wszelkie, jak pisano, „zawinione i niezawinione grzechy".

Gdy postawiono go w 1956 r. na czele Komitetu do spraw Radiofonii „Polskie Radio", uznał to za rodzaj zesłania, choć radio pełniło przecież bardzo ważną propagandową funkcję. Załoga przyjęła nowego prezesa wrogo i jego pozycja z początku była chwiejna.

Na raczkującą telewizję prawie w ogóle nie zwracano uwagi. Jednak to się miało szybko zmienić. W 1960 r. decydenci doskonale już rozumieli, że nowe medium coraz bardziej dystansuje pozostałe. Zatem nadzorującą je instytucję przekształcono w Komitet do spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja". A Sokorski znów zgromadził w swych rękach ogromną władzę.

W dzisiejszych czasach zapewne byłby oskarżony o molestowanie seksualne.

To był człowiek rubaszny, znany z tzw. żołnierskich dowcipów. Mawiano, że w telewizji najbardziej interesowały go spikerki. Dzisiaj jego poczucie humoru, przejawiające się w pytaniu kobiet, czy założyły ciepłe majtki, albo podnoszeniu im spódnic, z całą pewnością by potępiono. Czy faktycznie molestował podwładne? Według ówczesnych standardów nie, ale prawdą jest, że był kobieciarzem. Miewał romanse, był czterokrotnie żonaty. Warszawskie salony plotkowały o coraz młodszych wybrankach jego serca. Parał się literaturą erotyczną i wręcz szczycił

eprasa.pl 5a8109f443



Andrzej Drawicz nie potrafił oczyścić telewizyjno-radiowej stajni Augiasza

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

się, że, obok Żeromskiego i Nienackiego, to on znaczył coś w polskiej prozie erotycznej. „Moje życie osobiste, podobnie jak życie twórcze, przebiegało niemal zawsze na pograniczu erotycznej i politycznej pornografii" – powiedział w jednym z wywiadów.

Jego sukcesor uosabiał warszawski żart z początku lat 70. „Na peron wjeżdża pociąg z Katowic. Proszę odsunąć się od stanowisk".

Maciej Szczepański był cynicznym karierowiczem i bezwstydnym propagandystą, bez reszty oddanym swemu promotorowi, Edwardowi Gierkowi. Wskazywał wiszące na ścianie zdjęcie Gierka, mówiąc: „Jedynym zadaniem telewizji jest tłumaczenie ludziom myśli politycznej tego człowieka". Serwilizm łączył z ambicją, by być menedżerem na wzór magnatów medialnych ze znienawidzonego rzekomo Zachodu. Rzeczywiście, za jego prezesury telewizja poczyniła milowe kroki w zakresie wyposażenia i infrastruktury. Wśród pracowników budził jednak strach – nie na darmo zyskał przydomek Krwawy Maciek. Zwalniał bezpardonowo, a zarazem hojnie nagradzał tych, których uznawał za użytecznych. Stworzył na Woronicza i Placu Powstańców Warszawy iście dworski system. Mieczysław Rakowski, który Szczepańskiego nie znosił, komentował: „Rządzi się jak szara gęś, zakazuje, wyrzuca. Prezentuje typ socjalistycznego bossa, który ma gdzieś interesy ludzi, ich odczucia, doświadczenia. Jednocześnie ma gębę pełną frazesów. Aż dziw bierze, jak zręcznie nimi operuje". I jeszcze ten pociąg do luksusu i wygód. Co kolaudacja, to kucharze, kelnerzy, frykasy i dużo alkoholu. W tym samym czasie zwykli zjadacze chleba musieli kupować cukier na kartki.

Józef Barecki – jak dowcipkowano po fachu – redaktor naczelny, którego największym osiągnięciem życiowym wydaje się jego syn, Andrzej, świetny grafik, ustąpił skuszony posadą rzecznika rządu?

Nie, Barecki w tej kwestii nie miał nic do gadania, zdjęto go po zaledwie 33-dniowym prezesowaniu. To był gorący czas – sierpień i wrzesień 1980 r. Oceniono, że na „wysuniętą placówkę" telewizyjną, ze zrewoltowanym w dużej mierze personelem, on się po prostu nie nadaje. Gdy Jerzy Ambroziewicz zwrócił się do niego z jakąś sprawą, Barecki chciał mu pomóc, lecz nie wiedział, że jego decyzje nie mają już żadnego znaczenia, bo właśnie przestał być prezesem. Nawiasem mówiąc, nie tylko jego syn obrał artystyczną drogę. Potomek jednego z późniejszych prezesów, Janusza Roszkowskiego, został malarzem. Aleksander Roszkowski uczestniczył w głośnych wystawach schyłku PRL: „Świeżo malowane. Młode malarstwo polskie lat 1982–1987" oraz „Arsenał '88".

A Zdzisław Balicki zapisał się w pamięci czymkolwiek?

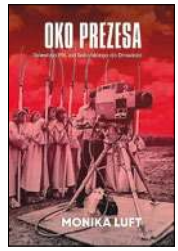
Chyba jedynie tym, że uchodził za jeszcze mniej kompetentnego niż Barecki. Wspomniany Ambroziewicz mówił, że Barecki to był format 10 Balickich razem wziętych. Kiedy Balicki jechał do Warszawy z Wrocławia, gdzie kierował „Gazetą Robotniczą", organem prasowym Komitetu Wojewódzkiego PZPR, był przekonany, że czeka na niego posada sekretarza kancelarii Stanisława Kani. Tymczasem wylądował w Radiokomitecie. To nie mogło się dobrze skończyć, pomimo wielkiej gorliwości Balickiego. Pracownicy telewizji żartowali, że powinni złożyć się na kaucję dla siedzącego w areszcie Szczepańskiego, bo tylko on byłby w stanie zrobić „porządek kadrowy".

Program telewizyjny, bodaj jako jedyny z opisanych, miał Władysław Loranc.

Tak, otworzył własne „okienko" w TVP, czyli pogadanki pt. „Proste pytania". Atakował w nich Solidarność, udzielając jątrzących „odpowiedzi", zgodnych z najbardziej dogmatyczną, PZPR-owską postawą, jaką można było sobie wyobrazić. Solidarności zarzucał agresywny ton i szerzenie manipulacji, widzów pouczał, komu powinni wierzyć, a komu nie, ludziom zatrudnionym w mediach wyznaczał „właściwy" kierunek. Oświadczał, że obowiązkiem dziennikarzy nie jest bezstronność, lecz „budowa siły robotniczego państwa w socjalistycznej Polsce". Po 13 grudnia 1981 r. oznajmił, że jeśli tylko nadamy inny sens słowu „solidarność" – taki, aby jednoczyło Polaków, a nie ich antagonizowało – „przeżyjemy najpiękniejszy rok w dziejach Polski". Loranc był też twarzą weryfikacji dziennikarzy telewizyjnych: to on formalnie za nią odpowiadał.

Film był najważniejszą ze sztuk nie tylko dla Lenina, lecz także Jerzego Bajdora.

eprasa.pl 5a8109f443



MONIKA LUFT „OKO PREZESA" LTW 2025

Bajdor właściwie nie został prezesem, lecz zaledwie kierownikiem Radiokomitetu, wspieranym przez dwóch oficerów politycznych. Uważał się za członka środowiska filmowców, nosił się modnie i konsultował z Andrzejem Wajdą czy Krzysztofem Zanussim. A było to w tamtym czasie ogromnie ważne, bo artyści w stanie wojennym bojkotowali radio i telewizję. Władze, mimo butnych zapewnień, że bojkot należy traktować jak chwilowe grymasy, pragnęły zażegnać konflikt. Ale na to Bajdor był za mały. Przesunięto go do resortu kultury, oddając mu w zarząd kinematografię.

Za Mirosławem Wojciechowskim stały tajne służby PRL?

Owszem. Rakowski nazywał go człowiekiem „od generałów". Wojciechowski, w przeszłości oficer wywiadu wojskowego, który w Zarządzie II Sztabu Generalnego WP zajmował się m.in. problematyką agenturalną, w tym propozycjami pracy z nielegałami, po odejściu ze służby sprawował przez kilka lat funkcję szefa agencji prasowej Interpress. Miał opinię twardziela. Pogardzał dziennikarzami. Jacek Snopkiewicz wyznał, że dzień przejęcia przez Wojciechowskiego sterów Radiokomitetu uważał za najczarniejszą datę w historii telewizji polskiej. Nowy prezes, dla którego wyrocznią był gen. Wojciech Jaruzelski, przeprowadził kolejną weryfikację, dokooptował do władz TVP oficerów i pilnował, aby w programach informacyjnych były „wrzutki" z MSW. Chcąc podlizać się władzy, pozbawił TVP dotychczasowego finansowania, odcinając telewizję od państwowej sakiewki. Ale był też tym, który na powrót przyciągnął do telewizji widownię, wprowadzając na mały ekran „Niewolnicę Isaurę" i „Teleexpress".

Odkrywa pani brudne plamy życiorysu Janusza Roszkowskiego.

Ależ z jego punktu widzenia to nie były żadne brudne plamy! Kiedy nadszedł czas na świadczenia emerytalne, zwrócił się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o stosowny dokument. Bowiem jego młode lata związane były z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego. Jako funkcjonariusz bezpieki dobrze się zapowiadał i był protegowanym samej Julii Brystiger. Potem jednak nastąpiły perturbacje. Wyszły na jaw uczniowskie wybryki Roszkowskiego, który wraz z kolegami okradał sowieckie transporty i handlował bronią. Przyszły prezes trafił nawet do aresztu, ale w końcu mu się upiekło. Na zaufanie władz ciężko pracował w dziennikarskim fachu. Zaszedł wysoko, został szefem PAP. Z bezpieką kontaktów nie zerwał – przeciwnie, użyczał jej swego mieszkania w charakterze lokalu kontaktowego, gdy przebywał na korespondenckiej placówce.

Ostatniego szefa Radiokomitetu doby epoki słusznie minionej wyróżniał jedynie brak legitymacji PZPR?

Jerzy Urban rzeczywiście nie należał do PZPR, choć jako rzecznik rządu był prominentnym członkiem aparatu władzy. Jak sam twierdził, na prezesa Radiokomitetu się nie nadawał i była to „najnudniejsza posada w jego życiu". Pod koniec swego niedługiego prezesowania niemal nie opuszczał gabinetu – obawiał się, że jego podwładni nie podadzą mu ręki. To był w jego karierze mało znaczący epizod. W pamięci potomnych pozostał przede wszystkim jako ten, który całą swoją niewątpliwą inteligencję oddał na usługi złej władzy. A także jako swoisty symbol polskiej transformacji ustrojowej. W nowej Polsce zdobył bogactwo, jak również sławę prześmiewcy oraz rzekomego pogromcy „zaścianka" i „ciemnogrodu".

Nominat solidarnościowy nie potrafił oczyścić telewizyjno-radiowej stajni Augiasza z uwagi na własne uwikłanie?

Złożyło się na to wiele czynników. Z jednej strony Andrzej Drawicz naprawdę wierzył w tzw. grubą kreskę, chciał uniknąć „polowania na czarownice" i był przekonany, że pracownicy telewizji gotowi są „pozostawiać legitymacje partyjne w szatni". Powoływał się też często na chrześcijańskie miłosierdzie. Ale wiele osób było głęboko rozczarowanych tym, że postaci kojarzone z najgorszą propagandą stanu wojennego nie poniosły za Drawicza żadnych konsekwencji, a negatywnie zweryfikowani dziennikarze, zaproszeni przez niego do powrotu, musieli pracować ramię w ramię z weryfikatorami, a często pod ich kierownictwem. Z drugiej strony Drawicz nigdy nie przyznał się, że w młodości podjął zobowiązanie do współpracy z bezpieką i przez pewien czas sporządzał dla niej raporty. Akta tej sprawy zniszczono, lecz pozostał mikrofilm. I tenże mikrofilm był w posiadaniu Czesława Kiszczaka. Nie wiemy, czy Drawicz z nim o tym rozmawiał. Wiadomo za to, że był wobec Kiszczaka nadzwyczajnie uprzejmy, wręcz nadskakujący. Zgodnie z dyspozycjami Drawicza telewizja w zadziwiający sposób uczciła rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, zrównując „dwie strony konfliktu" i przedstawiając racje, które decyzję Jaruzelskiego miały w dużej mierze usprawiedliwiać.

Dlaczego pominęła pani tercet ostatnich prezesów ówczesnej instytucji z ul. Woronicza 17 – Mariana Terleckiego, Janusza Zaorskiego i Zbigniewa Romaszewskiego?

Ich historia należy już do następnego etapu – dziejów III RP. Założyłam, że moja książka będzie opowieścią o prezesach Radiokomitetu PRL. Drawicza mianował na to stanowisko premier Tadeusz Mazowiecki we wrześniu 1989 r. A więc jeszcze w okresie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która odeszła w niebyt wraz z końcem owego roku. Drawicz szefował w czasie przełomu – jego urzędowanie na Woronicza zakończyło się po kilkunastu miesiącach. Następni prezesi Radiokomitetu, istniejącego do stycznia 1993 r., kiedy to zastąpiono go Krajową Radą Radiofonii i Telewizji, mogliby być bohaterami innej książki, bez PRL w tytule. Na przykład „Oko prezesa 2" (śmiech).

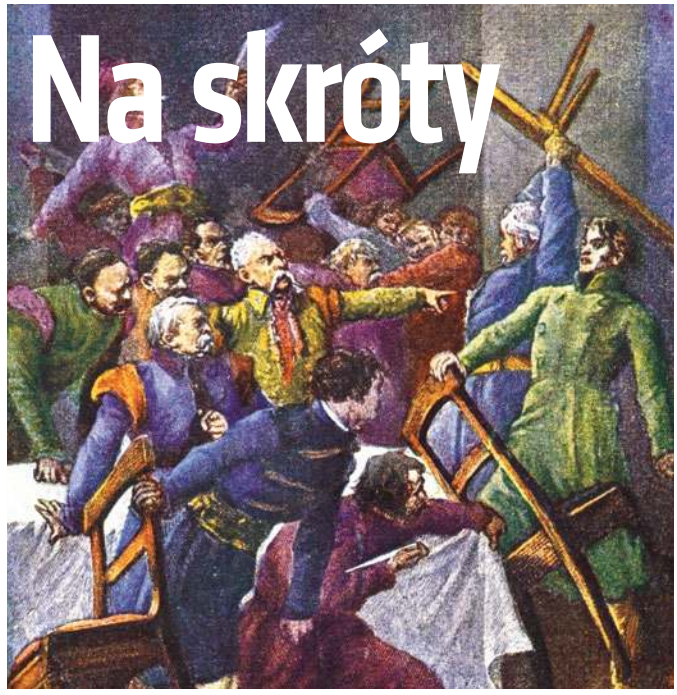
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Monika Luft *– dziennikarka i pisarka, autorka książek: „Śmiech iguany", „System argentyński", „Arabska awantura. Od Emira Rzewuskiego do Krzysztofa Jurgiela", „Pejzaż z przemytnikiem. Jak wywożono z PRL dzieła sztuki i antyki" oraz najnowszej – „Oko prezesa. Telewizja PRL od Sokorskiego do Drawicza".*

eprasa.pl 5a8109f443

Na skróty



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Krzysztof Masłoń

Nic nie jest dane raz na zawsze. Taki Melchior Wańkowicz w „Karafce La Fontaine'a" stwierdził z, wydaje się, pełnym przekonaniem, że „nigdy nie nadejdzie czas, w którym wystarczy zaznajomić się z »Boską Komedią« przez wypisy". Nie docenił starszy (w momencie pisania tych słów) pan współczesnych specjalistów od dydaktyk, metodyk, pedagogik i psychologii troszczących się głównie o to, by nie przeciążyć ucznia nadmiarem wiedzy. Starania te spotykają się z pełnym zrozumieniem sterników oświaty, a i zdecydowanej większości nauczycieli podzielających opinię, że wszystko można skomprymować, skondensować, sprowadzić do wspólnego mianownika, by w efekcie przekazać niezbędne informacje tak, by ani samemu się nie przemęczyć, ani zbytecznie nie zawracać głowy młodzieży i tak traktującej szkolny obowiązek jako prehistoryczny relikt.

Wiele zmieniło się w ostatnim czasie w tej wciąż jeszcze przymusowej edukacji. Jak najbardziej słusznie zrezygnowano z zadawania prac domowych, bo po wyczerpujących zajęciach szkolnych młody człowiek powinien relaksować się, a nie, dajmy na to, w pocie czoła przepisywać z Internetu gotowce Bóg raczy wiedzieć po co zadawanych wypracowań z języka polskiego.

Czy też zamiast uprzyjemniać sobie czas lekturą pasjonujących powieści z Wattpada, autorstwa choćby P.S. Herytiery znanej również jako Pizgacz, mordować się z 12 (!) księgami „Pana Tadeusza". W imię czego i po co?

Naturalnie, najlepiej byłoby pozbyć się tej i podobnych staroci raz na zawsze, ale że dziadersi podnieśliby gwałt, postępowe władze oświatowe zmuszone zostały do poniechania działań rewolucyjnych, a przynajmniej – do czasu – ograniczenia ich. I tak wciąż w spisach obowiązkowych lektur szkolnych utrzymują się takie bzdety, jak m.in. „Quo vadis" Sienkiewicza czy „Syzyfowe prace" Żeromskiego, oczywiście we fragmentach, ale zawsze.

Wspomniana wyżej, podobno narodowa, epopeja Mickiewiczowska w klasach VII–VIII została skrócona o połowę i zamiast tuzina ksiąg ma ich sześć. Jasne, że o sześć za dużo, ale kropla drąży skałę i nie należy wątpić, że niedługo z „Pana Tadeusza" ostanie się jedynie koncert Jankiela. Trochę on przydługi, ale słuszny, a najważniejsze jest w końcu to, że „Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał".

Natomiast koncert Wojskiego, żeby nie było wątpliwości, won! Niech gra sobie w litewskich kniejach, skoro tak sobie upodobał, a nasi uczniowie przez cztery lata szkoły ponadpodstawowej poznawać będą kroki poloneza i na studniówce pięknie go odtańczą. Rodzicom i wychowawcom łzy wzruszenia popłyną niczym grochy.

A w ogóle nie trzeba przejmować się tym, co obowiązywało w zamierzchłych czasach, gdy nie byliśmy jeszcze Europejczykami, tylko jakimiś podejrzanymi Sarmatami. Rzekomy nasz wieszcz z Zaosia koło Nowogródka (gdzie to w ogóle jest?) popełnił, poza „Panem Tadeuszem", także cykl rymowanych bredni układających się w ciąg pod wielce znaczącym tytułem „Dziady".

Ministerialni specjaliści rozpisali ten ponury twór na lata szkolnej nauki, dziatwie serwując drugą jego część, a młodzieży trzecią. Czwartą odesłano na śmietnik historii, gdzie niech spoczywa po wieczne czasy wraz z pierwszą, choć tej ostatniej może trochę szkoda, bo po pierwsze – krótka, a po drugie – zawiera zgrabną przemowę czy też modlitwę Dziewicy zaczynającą się od wezwania: „Świeco niedobra!", co powinno być dobrze odebrane przez środowiska LGBT. Tyle że ktoś może wysuwać zastrzeżenia odnośnie do tego, że w utworze tym znajdują się treści nieodpowiednie dla bądź co bądź nieletnich. Jakby nie zostali odpowiednio uświadomieni na lekcjach edukacji zdrowotnej!

W całości uczniowie nasi poznać mają „Hobbita" i wystarczy. Na fragmenty nawet jakichś durnych „Kwiatków Świętego Franciszka" szkoda czasu. Zresztą już trudno, w końcu i „Proces" Kafki, a nawet – to już przegięcie – „Ferdydurke" Gombrowicza, uczniowie poznają jedynie w ustępach (ha, ha!). „Boską komedię" Dantego, rzecz jasna, również. I po co tak się nadymał autor „Bitwy o Monte Cassino"? Jasne, przez lata w pogardzie były najprzeróżniejsze bryki, streszczenia, omówienia dzieł literackich. Bo przecież nikt rozsądny nie wątpił w znaczenie i wartość obcowania z dziełem literackim, a nie z jego przetworzonym skrótem. Ale to już było i nie wróci więcej… Zaraz, zaraz… Czy ja tu nie cytuję przypadkiem piosnki napisanej na użytek gawiedzi? A skoro tak, to jeszcze jeden cytat, z Jana Kaczmarka: „Jak w prostej bajce wszystko szło? I komu to przeszkadzało?". Jak to komu? Tym, którzy chcą wszystko rewolucjonizować, unowocześniać, modernizować – dla dobra uczącej się młodzieży, a jakże.

A na razie, zanim jeszcze edukacja nad Wisłą nie ograniczy się do nauczania języków angielskiego i ukraińskiego, z podstawami języka polskiego włącznie, a i z tabliczką mnożenia, bo ta może się w życiu przydać, w przeciwieństwie do „Pana Tadeusza", ponówmy wezwanie: Nowacka, pakuj się! ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Noc prawdy



★★★★★★

REŻ. JOE CARNAHAN
„ŁUP” („THE RIP”)
USA 2026

wyst. Ben Affleck, Matt Damon, Lina Esco

Dwóch zamaskowanych kilerów zabiło policjantkę. FBI prowadzi śledztwo: kto, dlaczego, czy w sprawę umoczeni są gliniarze, no i przede wszystkim komu kpt. Jackie Velez (Lina Esco) zalazła za skórę. Jej towarzysze broni z wydziału narkotykowego też chcą poznać prawdę, ale szefostwo nie pozwala im na śledztwo: wszyscy są podejrzani.

Cynk o domu, w którym kartel przechowuje gotówkę, prowadzi do nocnego przesilenia. Ekipa dowodzona przez por. Dumarsa (Matt Damon) znajduje na miejscu prawdziwą fortunę. Takich pieniędzy bandyci nie odpuszczą, lada moment można zatem się spodziewać ataku. Z drugiej strony zasady policyjne są jasne: znalezioną gotówkę należy przeliczyć na miejscu, zabezpieczyć, wezwać wsparcie. Liczenie się zaczęło. Ale dlaczego nikt nie wezwał wsparcia? Czyżby opowieści o gliniarzach łupiących kartel tylko dla własnego zysku były prawdziwe? Sierżant Byrne (Ben Affleck) zaczyna podejrzewać o złe rzeczy swego dowódcę. I wygląda na to, że nikt nie ufa tu nikomu.

Reżyser i scenarzysta Joe Carnahan zręcznie myli tropy, buduje napięcie i bawi się kliszami kina policyjnego. Renomę zdobył zarówno jako autor kina neo-noir („Na tropie zła”), tradycyjnego kina akcji („Przetrwanie”) czy pastiszu („Poziom mistrza”). Bierze z kryminałów lat 70. i 90. XX w. to, co uważa za ciekawe, i przetwarza po swojemu. W filmie „Łup” mocno pomagają mu aktorzy – Matt Damon i Ben Affleck, kumple z dawnych lat, znów spotykają się na planie. Pierwszy jest wiarygodny jako znękany życiowymi porażkami policjant, który „nie chce być już policjantem” (tak twierdzi jego partner). Drugi przekonuje jako twardziel, który równie dobrze może być świetnym gliną o kiepskich manierach, co skorumpowanym cwaniakiem.

„Łup” to także przypowieść w duchu realistycznych seriali kryminalnych, jak „Posterunek przy Hill Street” czy „Prawo ulicy”. Grupka dowodzona przez Dumarsa to zwykli ludzie, ale zadanie mają nadludzkie. Bo bycie gliniarzem to tylko znój, stres, obelgi i krew (zwykle własna). Ileż powodów, by sięgnąć po gotówkę kartelu i osłodzić sobie życie. Resztę zobaczycie na ekranie. Warto, bo film Carnahana zdecydowanie przerasta inne kryminały Netflixa. To męska opowieść w starym stylu: o przyjaźni, uczciwości i zaufaniu. ©℗

GRA TYGODNIA: „MASZYNA”

Najdłużej rozwijany (od ponad dwóch dekad!) polski symulator trafił na Steam i jest dostępny zupełnie za darmo. Poprowadzimy lokomotywy rzeczywiście jeżdżące po polskich torach i to ich odwzorowanie oraz realizm są największymi wartościami produkcji. Nie spodziewajmy się pięknych widoków za oknem czy peronów tętniących życiem za sprawą spieszących do swoich pociągów pasażerów. Jest to produkcja dla fanów kolei, a tym się podoba – miażdżąca większość ocen na Steam jest pozytywna. W przeciwieństwie do ocen polskiej kolei w rzeczywistości, bo tu recenzje są mieszane. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek: symulacja***
- ***Platforma: PC***
- ***Producent, dystrybutor: eu07.pl***

eprasa.pl 5a8109f443

Śmiech i krew

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. EDWARD POREMBNY
„ŻYCIE I ŚMIERCI MAXA LINDERA"
POLSKA/FRANCJA 2024

wyst. Rémi Bichet, Magali Rosenzweig, Nadir Legrand

Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, lecz historia kina wcale nie zaczęła się w Hollywood. Krainą dzieciństwa nowego medium była Europa, a jednym z ojców sukcesu – Gabriel Maximillien Leuville, lepiej znany jako Max Linder. Rodzina, zajmująca się od pokoleń winiarstwem, nie pochwalała jego artystycznych pasji. Jako aktor wykazał się podziwu godną intuicją, porzucając teatr dla X muzy. Chciał zostać królem komedii. Wymyślał, reżyserował i grał główne role w dziesiątkach krótkich filmów. Publika śmiała się do rozpuku z eleganta bezradnego wobec przeciwności losu, a bracia Pathé liczyli pieniądze. Gestów, min i atrybutów (wąsik, filcowy kapelusz, laska) Lindera nie chroniły żadne prawa autorskie. Inni komicy, na czele z Chaplinem, papugowali go ile wlezie. Maxa i Charliego łączyła również słabość do młodych kobiet. Ślub z 17-letnią Ninette, którą poznał w alpejskim kurorcie i uprowadził do Nicei, zrujnował reputację gwiazdora w ojczyźnie.

Dokumentalista Edward Porembny uczcił 100. rocznicę tragicznej śmierci Lindera filmem hybrydą. Fragmenty archiwalnych taśm zmieszał ze współczesną inscenizacją, lepiszcza dostarczyła sztuczna inteligencja. Efekt może imponować, chociaż myśl, że takie będzie kino przyszłości, mrozi krew w żyłach. Stylówka, nawet najbardziej wymyślna, nie załata bowiem dziur w scenariuszu. Porembny wykorzystuje formułę znaną od czasu „Obywatela Kane'a". Bohater umiera, a jego biografia staje się przedmiotem dociekań niewidocznego reportera/detektywa. Zeznania ludzi z otoczenia Maxa potwierdzają stereotyp komika, który natychmiast po zejściu ze sceny traci poczucie humoru. Pracoholik i perfekcjonista, „człowiek o niewyczerpanej energii" widziany z bliska okazuje się nerwusem, nałogowcem tudzież zazdrośnikiem. Depresje ciągną go na dno. Kilka godzin przed spotkaniem z kostuchą Linder obejrzał ekranizację „Quo vadis" i postanowił odejść w stylu Petroniusza. Historyczne docudramy rzadko przekraczają próg przeciętności, ale polsko-francuską produkcję z czystym sumieniem polecam entuzjastom kina niemego, które – jak twierdzą znawcy – w odróżnieniu od filmów (prze)gadanych ocierało się o Wielką Sztukę. ©℗

Wiesław Chełminiak

CIEŃ PUCHATKA

Świat się zmienia, nawet Stumilowy Las z każdym kolejnym filmem wygląda dostojniej. Świętując 100. rocznicę premiery baśni o misiu o „bardzo małym rozumku", warto wspomnieć innego jej bohatera: nieszczęsnego Krzysia. Sukces powieści ojca poniekąd zniszczył chłopakowi życie. Film Simona Curtisa przedstawia rzecz w wersji złagodzonej i sentymentalnej, gdyż Brytyjczycy nie lubią burzyć pomników. Oto A.A. Milne, literat i straumatyzowany weteran wielkiej wojny, zaszywa się z rodziną na wsi. Okoliczności zmuszają go do zajęcia się synem, na którego wcześniej nie zwracał większej uwagi. W rezultacie zamiast pacyfistycznego manifestu popełni bestseller literatury dziecięcej, a Pandora otworzy swoją puszkę. Finał krzepi, ponieważ utrata wiary w bajki wstrząsnęłaby podstawami naszego świata. Który i tak się kończy. ©℗



★★★★☆☆

REŻ. SIMON CURTIS
„GOODBYE CHRISTOPHER ROBIN"
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Domhnall Gleeson, Margot Robbie, Will Tilston

MEGOGO



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Niezatapialna



FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

„Titanic", „Britannic", „Olympic" – trzy giganty, które miały być niezatapialne. Wszystkie poszły na dno. I to o nich jest ta wystawa, ale opowiedziana przez pryzmat kobiety, która była na pokładzie każdego z nich. „Panna Niezatapialna", jak nazywano Violet Jessop, służyła jako stewardesa lub pielęgniarka na pokładzie każdej z tych jednostek. „W wieku 24 lat przeżyła zatonięcie »Titanica«, wcześniej była na »Olympicu«, gdy ten zderzył się z HMS »Hawke«, a w czasie I wojny światowej służyła jako pielęgniarka na »Britannicu«, który zatonął po uderzeniu w minę" – przypominają autorzy wystawy „W cieniu gigantów: Titanic, Britannic, Olympic".

To wokół jej historii zbudowano narrację o jednostkach linii White Star Line. Pokazywane eksponaty pochodzą z prywatnej kolekcji Wrocławianina Krzysztofa Mędrali, który od kilkunastu lat gromadzi oryginalne przedmioty związane z historią tej legendarnej firmy. Zgromadził ich już ok. 350, w tym np. element wyposażenia luksusowej kabiny z „Britannica". ©℗

GDZIE?
Hydropolis we Wrocławiu

eprasa.pl 5a8109f443



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pisarze polskiej rasy

W tomie będącym pokłosiem sesji, jednego z, przyznajmy, niezbyt licznych wydarzeń Roku Wańkowiczowskiego (2024), ustanowionego w związku z 50-leciem śmierci autora „Bitwy o Monte Cassino", znajduje się esej traktujący tyleż o Wańkowiczu, ile o Zofii Kossak, o przyjaźni tych dwojga pisarzy, podobieństwach ich życiorysów, ale nie wyłącznie losów, bo i postaw, a nawet światopoglądów.

Ktoś zapyta: A jakież to paralele znalazła autorka szkicu – prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz z Uniwersytetu Śląskiego – między sztandarową pisarką katolicką a autorem, którego co prawda trudno nazwać religijnie indyferentnym, ale i chrześcijańskim jakby nieporęcznie? Tymczasem w 1952 r. napisał on list do Zofii Kossak, całkowicie dezawuując opinię Mieczysława Kurzyny, który w swojej, skądinąd bardzo wartościowej książce „O Melchiorze Wańkowiczu – nie wszystko" stwierdził, że pisarz był „programowym agnostykiem i relatywistą".

„Nie jest dla mnie zupełnie jasne, co Pani uważa za pisarstwo katolickie – pisał Wańkowicz. – Miałem ojca chrzestnego Romana Szwoynickiego, towarzysza ojca z wygnania po 1863, najlepszego malarza pośród ziemian i najlepszego ziemianina pośród malarzy, jak o nim kpiono. Wuj Rom był farmazonem typu XIX w. i w Pana Boga nie wierzył z wyjątkiem Matki Boskiej. Miał dla niej kult, pełno ponastawiał jej kapliczek po drogach, ryngraf z jej wizerunkiem wisiał nad jego łóżkiem, celebrował nabożeństwa majowe i pacykował na odmianę sceny sejmikowe, które uciszał ksiądz, wkraczając z monstrancją, i madonny. Otóż niezależnie od tego, co to malarstwo było warte, czy można je nazwać katolickim? Bo, widzi Pani, nasza kultura jest tak zrosłą z katolicyzmem, że choćby kto nie uznawał Pana Boga, jeśli jest z tej rasy, chcąc czy nie chcąc, jest pisarzem katolickim.

Piszę to – pro domo mea. Nigdy nie byłem tym, co się nazywa pisarzem katolickim. Ale – czy to, co piszę – stosunek do śmierci, do nieszczęścia, do Tego, czym rządzony jest świat – nie jest katolickie?".

„Słowo »Tego« napisane dużą literą dodatkowo podkreśla wymowę listu. Treść wyznania jest wstrząsająca, nie ma tu nic z kpiarstwa tak znamiennego dla Wańkowicza, jego przewrotności, ale jest męskie i mocne, a zarazem wyznane przyciszonym głosem świadectwo wiary. W takim tonie pisał jeszcze tylko o sprawach ostatecznych, śmierci bliskich i Ojczyźnie" – powiada Krystyna Heska-Kwaśniewicz.

Zofia Kossak i Melchior Wańkowicz byli sobie bliscy z powodów, rzec można, naturalnych. Oboje mieli to samo – ziemiańskie pochodzenie, oboje wywodzili się z Kresów, o których niezmiennie pisali z miłością, jak on w „Szczenięcych latach", a ona w „Pożodze". Z miłością i bólem, bo zostali wygnani ze swojej ziemi. Osobiście poznali się i zaprzyjaźnili w II Rzeczypospolitej, z którą łączyli wszystkie swoje nadzieje. Wojna obróciła je w niwecz. Zofię Kossak Niemcy poszukiwali za „Nieznany kraj", Melchiora Wańkowicza za „Na tropach Smętka". Oboje w czasie okupacji hitlerowskiej utracili dzieci. Krysia Wańkowiczówna została zabita w powstaniu warszawskim, syn Zofii Kossak z pierwszego małżeństwa – Tadeusz Szczucki – zginął w 1943 r. w Auschwitz. Ich ciał nie odnaleziono, rodzice nie mieli grobów swoich dzieci.

Na emigracji zostali napiętnowani, szczególnie Zofia Kossak, którą w Londynie zaprezentowano jako bez mała kryptokomunistkę i… sekretarkę Bieruta, nie zważając na jej konspiracyjne zasługi (była współzałożycielką Frontu Odrodzenia Polski i Rady Pomocy Żydom – Żegoty) i cierpienia, których doznała w trakcie uwięzienia w Auschwitz i na Pawiaku. A naprawdę wyjazd z komunistycznej Polski, który uchronił ją przed aresztowaniem, zawdzięczała Jakubowi Bermanowi, w ten sposób rewanżującemu się pisarce za uratowanie w czasie wojny jego bratanków. Wańkowicz podpadł z kolei „nieprzejednanym" emigrantom, za niełatwe do przełknięcia przez nich książki: „Kundlizm" i „Klub Trzeciego Miejsca". Pisano zatem o nich w Londynie jako o „kolaborantach" w tym samym czasie, gdy w kraju wciąż ich uznawano za czarną reakcję.

Oboje zmuszeni zostali do podjęcia pracy fizycznej. Melchior w Ameryce na kurzej farmie swego zięcia mył jajka i sprzątał nieczystości, Zofia z mężem na farmie w Kornwalii karmiła świnie i poiła cielęta. Wspierali się jednak, jak mogli, a pisarskich tego świadectw nie brakuje.

Do kraju wrócili w tym samym czasie; ona w lutym 1957 r., on w maju roku następnego. Czytelnicy powitali ich z jednakim entuzjazmem i pozostali im wierni. A po śmierci autorki „Krzyżowców" – 9 kwietnia 1968 r. w Bielsku-Białej – Zofia i Melchior Wańkowiczowie w liście kondolencyjnym napisali: „Uderzeni w samo serce wiadomością o zgonie wielkiej pisarki, człowieka bez skazy, wiernego przyjaciela, czujemy się jeszcze bardziej osamotnieni…". ©℗



★★★★★★

POD RED. OLGI PŁASZCZEWSKIEJ I MACIEJA URBANOWSKIEGO „WAŃKOWICZ. NIE TYLKO REPORTER" WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO KRAKÓW 2025

eprasa.pl 5a8109f443



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Rozpad całkowity

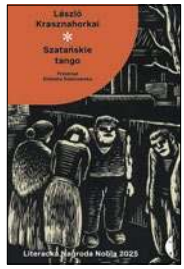
Opus magnum ubiegłorocznego noblisty wraca na księgarskie półki. Tom opowiadań „A świat trwa" był dobrym wprowadzeniem do uniwersum węgierskiego pisarza, teraz czas na zadanie poważniejsze: „Szatańskie tango" najsłynniejszą powieść Krasznahorkaiego. Objętościowo skromna, bogata za to w znaczenia. Powieść świat, można powiedzieć, tyle że za cały świat służy mała wiocha zagubiona gdzieś na węgierskiej prowincji.

Każda literatura ma swoje Macondo – porównanie osady Marqueza z wioską Krasznahorkaiego jest działaniem mocno demaskatorskim wobec komunizmu. Przez wiele lat kojarzyły nam się Węgry z krajem dobrobytu, „gulaszowego komunizmu", gdzie co prawda wolności też brak, ale żyje się jakoś łatwiej. „Szatańskie tango" miażdży to złudzenie, ale oczywiście metafora jest szersza, a książka zrozumiała będzie także pod innymi szerokościami geograficznymi. Syf i gnój, nieustanny deszcz, rozpad i rozkład, jakby Pan Bóg zmywał z powierzchni świata jądro nieszczęścia, jądro ciemności.

Pana Boga w tej opowieści nie ma, jest za to fałszywy prorok – czyż cały komunizm nie był wielką zbrodniczą operacją fałszywych proroków? Współczesność pod tym względem nie napawa optymizmem – świat bardziej niby kolorowy i zasobny, ale kandydatów na łgarzy przebranych za Mesjaszy przybywa. A może w mieszkańcach fikcyjnej wioski szukać winy? Skoro sami nie potraficie swego życia naprawić, to samiście sobie winni, że was oszust zwodzi? Oni zaś mają zawołać: cóżeście z nami zrobili, na jaki los skazali? I dalej gżą się, grzeszą, krzywdzą, zapijają w tym bagiennym piekle.

Zwykle gdy ktoś odbija się od literackiego oryginału, sięgnąć może po ekranizację, bo ta przecież upraszcza i ułatwia. Słynny film Béli Tarra nie uratuje jednak czytelnika „Szatańskiego tanga" – siedem godzin, 39 ujęć. Na ekranie czarno-białe piekło. Postawię tezę, że mniej czasu zajęło mi czytanie powieści niż oglądanie filmu. Jeśli idzie o beznadzieję i intensywność ukazywanego rozpadu, to do głowy przychodzi mi tylko jedno porównanie: nasz reżyser Piotr Szulkin.

Nie z krzykiem, nie ze skowytem, ale w szlamie, w łajnie, w beznadziei, kończy się świat, w którym nie ma żadnej wartości, na której można budować: pusty krajobraz, puste dusze, nawet na niebie pustka. ©℗

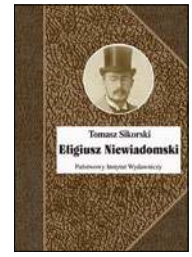


★★★★★★

LÁSZLÓ KRASZNAHORKAI „SZATAŃSKIE TANGO" CZARNE 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerna i bardzo wyważona biografia. Nie tylko portret zabójcy Gabriela Narutowicza, lecz także intrygujący obraz epoki. Autor nie ucieka też przed polityką, ukazując, jak sprawę zamachu wykorzystywały zwaśnione partie.



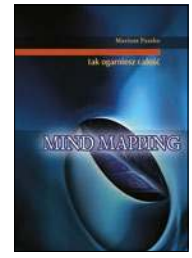
TOMASZ SIKORSKI „ELIGIUSZ NIEWIADOMSKI" PIW

Jedne Niemcy, jedna rodzina (i dzieje jej upadku), cztery pokolenia i mnóstwo powodów do lektury. Arcydzieło Manna, noblisty z 1929 r., pozostaje jedną z najważniejszych i najmądrzejszych powieści XX stulecia.



TOMASZ MANN „BUDDENBROKOWIE" VIS-A-VIS ETIUDA

Mind Mapping – graficzna metoda notowania informacji wzorująca się na tym, jak działa nasz mózg, czyli na strukturze promienistej. Rozszerzone wydanie poradnika, który pomaga w nauce i nie tylko. Dla chętnych w każdym wieku.



MARIUSZ PASZKO „MIND MAPPING" WYDAWNICTWO AA

Nowy tom popularnej serii antologii klasyków prozy niesamowitej. Literackie smaki z czasów, gdy nikt nie dzielił literatury na gatunki, a o duchach opowiadali (jak w tym zbiorze) m.in. G.K. Chesterton czy D.H. Lawrence.

recenzuje Piotr Gociek



AUTORZY RÓŻNI „UGOSZCZONE DUCHY" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

ACH, TA KRESKA!

Niemal 300 stron szkiców i rysunków Zbigniewa Kasprzaka, znanego na zachodnim rynku komiksowym jako „Kas". Pamiętamy go jeszcze z lat 80. jako twórcę historyjek fantastycznych i historycznych, ale wielką sławę zdobył, gdy przejął po Rosińskim rysowanie serii „Yans" (dla Le Lombard).



ZBIGNIEW KASPRZAK „KAS" WYDAWNICTWO ONGRYS 2025

Obszerny artbook to pierwsza tego typu publikacja w dorobku artysty. I od razu imponująca.

Piotr Gociek

eprasa.pl 5a8109f443



Konflikt z Ukrainą?
Jak uniknąć czarnego scenariusza



Marcin Skalski

Konflikt z Ukrainą, choć niekoniecznie musi przybrać postać otwartej wojny, nie jest w przyszłości scenariuszem wykluczonym. Należy go jednak brać pod uwagę i zapobiegać mu, nawet jeśli prawdopodobieństwo jego wystąpienia jest na razie niewielkie

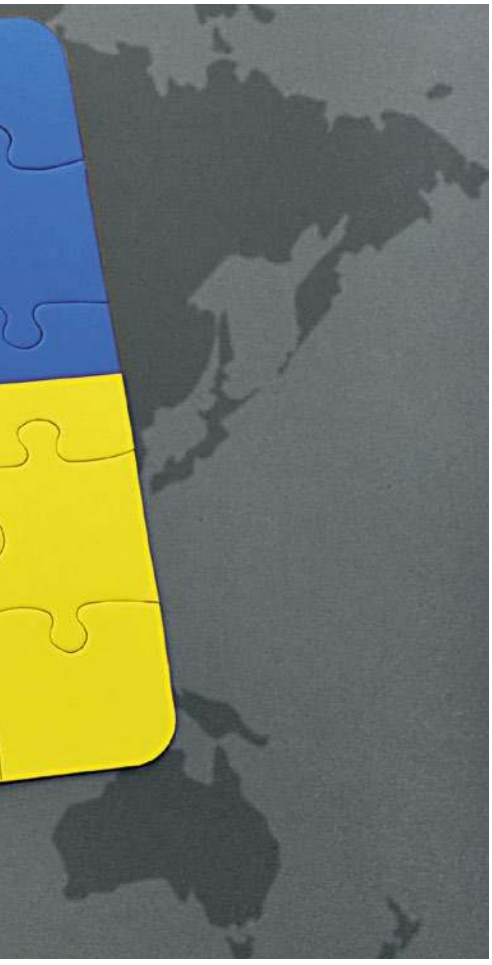
Pod koniec października 2025 r. na kanale „Ukrainer Q" w serwisie YouTube ukazał się wywiad z prezesem Związku Ukraińców w Polsce Mirosławem Skórką. Przeprowadzony po ukraińsku, w Polsce nie doczekał się należytej uwagi ani szczegółowego omówienia. Należy nad tym ubolewać, ponieważ padają tam tezy oraz diagnozy mogące zwiastować eskalację polsko-ukraińskiego konfliktu z dotychczasowej sfery pamięci historycznej do kolejnego stadium, którym jest konfrontacja etniczna, polityczna, a nawet jeszcze bardziej bezpośrednie formy takiego sporu.

Tymczasem we wspomnianym wywiadzie szef Związku Ukraińców w Polsce twierdzi, że „terytoria, które znajdują się dziś w granicach Polski, są integralną częścią ukraińskiej tożsamości i historii", a mówiąc o Przemyślu, Chełmie czy Sanoku, zaznacza on, że „ukraińska historia jest obecna na tych terytoriach od zawsze". Na temat Ukraińców w II Rzeczypospolitej prezes Skórka twierdzi, że „ci ludzie nie chcieli być polskimi obywatelami, przymusowo przyłączono ich do państwa polskiego". Ponadto Mirosław Skórka argumentuje, że przyczyną bojkotu przez Ukraińców wyborów do Sejmu przed wojną była niechęć do „legitymizowania polskiej okupacji". Najbardziej znamienne są jednak słowa Skórki, że „to, co stało się w latach wojny i po wojnie, to rezultat polityki przedwojennej Polski" oraz: „Za to, co stało się na Wołyniu, ponosi odpowiedzialność Druga Rzeczpospolita, to rezultat ich polityki".

WOŁYŃ WINĄ POLAKÓW

Gwoli uczciwości należy zaznaczyć, że prezes Związku Ukraińców w Polsce nie usprawiedliwia wołyńsko-małopolskiego ludobójstwa, ponieważ portretuje on wydarzenia z okresu drugiej wojny światowej oraz tuż po niej przede wszystkim jako wzajemny konflikt. O ile nie sposób Mirosławowi Skórce przypisać tego typu najgorszych intencji wobec Polaków, o tyle już samo obciążanie przedwojennej Polski odpowiedzialnością za krew przelaną na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej jest

eprasa.pl 5a8109f443



FOT. ADOBE STOCK

konsekwentną linią kolejnych prezesów Związku Ukraińców. W kwietniu 2017 r. ówczesny szef ZUwP Piotr Tyma następująco komentował rozbiórkę pomnika UPA w Hruszowicach na Podkarpaciu: „W sprawie Hruszowic prowokatorzy triumfują. Oczywiście zapomnieli, czym skończył się Polski triumf w 1938 nad cerkwiami Chełmszczyzny" – konkludował w tonie złowrogiej pogróżki, odnosząc się do tzw. akcji polonizacyjno-rewindykacyjnej przeprowadzonej przed wojną na ziemi chełmskiej oraz na Podlasiu, której to Wołyń miałby być rzekomo skutkiem.

Zarówno Skórka, jak i Tyma to przedstawiciele autochtonicznej mniejszości ukraińskiej w Polsce, która wraz z innymi grupami wschodniosłowiańskimi została rozsiedlona na powojennym terytorium Polski w wyniku operacji „Wisła". Dlatego właśnie obydwaj urodzili się na Ziemiach Odzyskanych – Skórka w okolicach Kołobrzegu, a Tyma na Dolnym Śląsku. Jest to istotne o tyle, że operacja „Wisła" w subiektywnym odczuciu wysiedlanej ludności sprzyjała pielęgnowaniu historycznych pretensji wobec Polski. Linia Związku Ukraińców w Polsce reprezentowana przez kolejnych jego prezesów o takim właśnie rodowodzie nie jest zatem dziełem przypadku, lecz wynika z historii rodzinnej. Od resentymentów tych niewolne były zresztą kolejne pokolenia także tej wysiedlonej ludności, która nie poczuwała się do narodowości ukraińskiej, np. Łemków.

Zupełnie innej proweniencji jest rozmówczyni Mirosława Skórki – to znana dzięki swoim wypowiedziom w mediach ukraińska aktywistka Natalia Panczenko, skądinąd kilka lat temu obdarowana przez Rzeczpospolitą zaszczytem posiadania polskiego obywatelstwa. Pochodzi ona z Połtawy na Ukrainie Wschodniej i jest na tyle wpływową przedstawicielką ukraińskiej imigracji do Polski, że amerykańska ambasada w Warszawie zaprosiła ją do udziału w prestiżowym programie International Visitor Leadership organizowanym przez Departament Stanu USA. Mimo że o Panczenko głośno zrobiło się głównie ze względu na zapowiedź aktów dywersji w Polsce w razie natężania się na terytorium RP konfliktu polsko-ukraińskiego, to w rzeczywistości już dawno powinna ona zwrócić uwagę mediów.

W kwietniu 2014 r. jako organizatorka Euromajdanu Warszawa Panczenko twierdziła bowiem, że „UPA walczyła z Polakami za niepodległą Ukrainę". O temacie Wołynia mówiła z kolei, że „to, co wydarzyło się w 1943 r., nie wzięło się znikąd", winiąc przedwojenną Polskę za rozlew krwi w okresie drugiej wojny światowej. Gdy z kolei po przeprowadzeniu siłowej zmiany władzy na Ukrainie podpalono siedzibę opozycyjnej wówczas telewizji Inter, Panczenko kontentowała się widokiem pożaru, pisząc: „Jak pięknie płonie" – relacjonował portal Kresy.pl. To samo źródło podaje również, że Ukrainka umieściła w Internecie wpis ze zdjęciem spalonego ciała mężczyzny – ofiary masakry prorosyjskich demonstrantów w Odessie w maju 2014 r. – z napisami „Psu – psia śmierć!", podpisując fotografię: „Żal ich Wam? Bo mnie nie – niech płoną!". Jednocześnie nasza współobywatelka wyraziła oczekiwanie – co miało miejsce w 2023 r. na falach RMF24 – że Ukraińcy wkrótce będą mieli swoją reprezentację w Sejmie. „Skoro ta społeczność jest tak duża, to ktoś powinien ją reprezentować" – argumentowała, dodając, że niektórzy spośród 2,5 mln Ukraińców mieszkających w Polsce jeszcze przed 2022 r. „powoli zaczynają polskie obywatelstwa dostawać".

UKRAINIZACJA POLSKI

Realizacja powyższego scenariusza to jednak gotowy przepis na katastrofę, a zarazem powtórkę z krwawej historii – bez względu na to, czy wydarzenia z przeszłości nazywamy ludobójstwem czy też „wzajemnym konfliktem", jak czynią to Ukraińcy. Obecnie państwo polskie i tak jest już wyjątkowo nieudolne, o czym świadczy choćby niewiedza bądź zignorowanie przez nasze służby publicznie dostępnych wypowiedzi Panczenko, gdy ta ubiegała się o polskie obywatelstwo. Zarazem nasze państwo utrzymuje na etatach i grantach rozmaitych „ekspertów od dezinformacji", którzy właśnie wobec wspomnianego wywiadu powinni natychmiast zareagować na wymierzone w Polskę przekłamania historyczne. W rządowych serwisach bądź też na stronach instytucji walczących samozwańczo z dezinformacją próżno szukać z kolei jakiejkolwiek polemiki z historycznymi fałszerstwami, a przecież wypowiadają je prominentne figury zarówno ukraińskiej ludności napływowej, jak i społeczności autochtonicznej, znajdując na tym polu wspólny język.

Tymczasem, o ile Ukraińcy usiłują przekonywać, że „Wołyń nie wziął się znikąd", o tyle „znikąd" już na pewno nie wzięła się polityka II Rzeczypospolitej wobec mniejszości ukraińskiej. Już u progu polskiej niepodległości na spornym obszarze Galicji Wschodniej proklamowano 1 listopada 1918 r. Zachodnioukraińską Republikę Ludową. To właśnie z nią podjęły walkę zbrojną Orlęta Lwowskie. Jedna z odezw w czasie wojny polsko-ukraińskiej zapowiadała, jaki los będzie czekać Polaków pod ukraińską administracją: „Pamiętaj ukraiński żołnierzu, że tylko cham i niewolnik może teraz mówić o miłosierdziu i łagodności względem Polaków [...]. Bij lackiego gada, gdzie go dopadniesz" (na podstawie: Rafał Galuba, „Niech nas rozsądzi miecz i krew"). „Nasza rodzona ziemia, nasze ukraińskie wioski, nasi ojcowie, bracia i dzieci wyzwolili się spod

eprasa.pl 5a8109f443

600-letniej polskiej niewoli" – głosiła z kolei odezwa „Wróg ukraińskiego narodu" z 20 listopada 1918 r. opublikowana na łamach gazety „Diło". Jak pisał natomiast prof. Rafał Galuba, „Polacy w obawie przed okrucieństwami wojska i administracji ukraińskiej masowo emigrowali z obszarów zajętych przez Ukraińską Armię Galicyjską".

Biorąc pod uwagę i tak bardzo skrócony opis ukraińskich intencji i praktyki postępowania z Polakami na spornym obszarze, dążenie do zajęcia tych terenów przez odradzającą się Polskę musiało być podyktowane zapobieżeniem późniejszego scenariusza wołyńskiego już u progu niepodległości. Pod administracją ukraińską los miejscowych Polaków na tym etnicznie mieszanym terenie byłby przesądzony i to właśnie takie są źródła „polskiej okupacji", jak nazywają Ukraińcy okres międzywojenny, skądinąd odnosząc ten termin także wobec południowo-wschodnich terenów powojennej Polski, które nazywają Zakierzoniem (tj. za linią Curzona). Co zresztą ciekawe i zarazem miażdżące dla propagandy ukraińskiej, 30 stycznia 1930 r. Liga Narodów oddala ukraińską skargę na Polskę, stwierdzając między innymi: „Polska nie prowadzi przeciwko Ukraińcom polityki prześladowań i gwałtów". Jak podaje zaś prof. Adam Adrian Ostanek, „oddalenie skarg strony ukraińskiej spowodowane było kilkoma czynnikami, w tym również przytaczanym faktem preparowania dowodów, tworzenia fałszywych zdjęć i nieprawdziwych relacji, które w wielu przypadkach jednoznacznie udowodniono stronie ukraińskiej" („Stosunki polsko-ukraińskie a bezpieczeństwo II Rzeczypospolitej w kontekście wydarzeń 1930 roku w Małopolsce Wschodniej").

W świetle dzisiejszych standardów traktowania mniejszości narodowych polityka II Rzeczypospolitej wobec Ukraińców rzeczywiście może sprawiać wrażenie represyjnej, jednak należy zaznaczyć, że ówcześnie standardy te były one dużo mniej liberalne, niż ma to miejsce dziś. Ponadto z ukraińską irredentą czy też aktami terroryzmu zmagała się nie tylko Polska przedwojenna, lecz także państwo polskie w pojałtańskich granicach na swych południowo-wschodnich rubieżach. Z polskiego punktu widzenia operacja „Wisła" była więc zgodną skądinąd jeszcze z przedwojennym ustawodawstwem akcją samoobrony przed terrorem UPA w Bieszczadach, tymczasem chociażby portal Ukraińców w Polsce „Nasz Wybir" charakteryzuje ją w kontekście genocydalnym jako „ostateczne rozwiązanie kwestii ukraińskiej w Polsce". Z kolei według prof. Jana Pisulińskiego operacja „Wisła" nie tylko doprowadziła do „demobilizacji zbrojnego podziemia ukraińskiego" na powojennym pograniczu, lecz także zapobiegła utworzeniu zakonspirowanej siatki ukraińskich nacjonalistów na Ziemiach Odzyskanych („Epilog akcji »Wisła«. Likwidacja zbrojnego podziemia ukraińskiego w Polsce").

Warto jednakowoż zauważyć, że mimo drastycznych i niedających się pogodzić rozbieżności w interpretacji historii najnowszej przez Ukraińców i Polaków hasła o „strategicznym partnerstwie" we wzajemnych stosunkach długo mogły padać na podatny grunt. Choć były to zazwyczaj puste slogany bez realnej treści, to tego rodzaju polsko-ukraińska poprawność polityczna mimo wszystko odgrywała konstruktywną rolę. Państwo polskie wprawdzie abdykowało z konsekwentnej realizacji swojego interesu wobec Ukrainy jeszcze przed wybuchem wojny w 2022 r. czy nawet Majdanami w latach 2014 oraz 2004, lecz takie pustosłowie na swój sposób kanalizowało potencjalny konflikt, czyniąc jego przedmiotem przede wszystkim kwestie historyczne. Choć jeszcze nasi przodkowie traktowali przynależność do Polski Lwowa i Galicji Wschodniej śmiertelnie poważnie, to powojenna granica polsko-sowiecka, a zarazem polsko-ukraińska pokrywała się mniej więcej z późniejszą granicą etniczną. „Czy możliwe byłoby dzisiejsze pojednanie, jeśli Polacy ciągle stanowiliby większość we Lwowie?" – pyta na łamach „Gazety Wyborczej" ukraiński historyk prof. Jarosław Hrycak, bez żadnych złudzeń udzielając przeczącej odpowiedzi na tak zadane pytanie. Choć zamiast terminu „pojednanie" należałoby raczej użyć pojęcia „pokój", to trudno nie przyznać przy tym racji prof. Hrycakowi – Polacy i Ukraińcy mogli zaprzestać toczenia konfliktu jedynie dzięki rozsiedleniu naszych narodów po dwóch stronach linii granicznej, na nieszczęście dla nas przeprowadzonej akurat wzdłuż linii Curzona na zachód od Lwowa, z którego to Polaków w większości wypędzono.

Napływ milionów Ukraińców do Polski, o których wspominała cytowana wcześniej Natalia Panczenko, zaktualizował problem zamieszkiwania przez nasze narody tego samego terytorium. W artykule naukowym pt. „Integracja obywateli Ukrainy jako nowy etap procesu narodotwórczego" odniósł się do tego zagadnienia prof. Andrzej Wierzbicki z Uniwersytetu Warszawskiego, który na razie łagodzi obawy, pisząc, że „imigracja ukraińska nie wykazuje regionalnej koncentracji", co uczony postrzega pozytywnie. Politolog przestrzega jednak przed zagrożeniami, których aktualnie Polska wprawdzie nie doświadcza, ale które mogą pojawić się w przyszłości. „Przynajmniej na razie nie istnieje niebezpieczeństwo secesji czy też irredenty" – pisze prof. Wierzbicki. Uczony zwraca przy tym uwagę na zjawisko „ukrainizacji Polski", pisząc: „Mamy do czynienia ze stopniową i póki co dozowaną ukrainizacją Polski i Polaków […]. Nie oznacza to powszechnej ukrainizacji ludności polskiej i konwersji jej tożsamości na tożsamość ukraińską […]. Polskość, jakkolwiek pojmowana, zostanie zukrainizowana".

O ile kwestie tożsamości bywają labilne, a swego rodzaju „ukrainizacja" przynajmniej części Polaków nie musi być zjawiskiem trwałym, o tyle już ukrainizacja samej Polski jako określonego terytorium z coraz większym odsetkiem ludności ukraińskiej jest bezspornym faktem. Tymczasem jedna z głośniejszych wypowiedzi Natalii Panczenko została oceniona właśnie jako groźby wobec Polski. Aktywistka powiedziała bowiem: „Wzrastanie wrogości między Ukraińcami a Polakami jest już bardzo niebezpieczne, ponieważ na terytorium Polski zaczną się walki, bo na terytorium Polski rozpoczną się podpalenia sklepów, domów i tak dalej". Taki scenariusz miałby się zrealizować ze względu na próby pozbawienia ukraińskiej ludności napływowej po lutym 2022 r. świadczeń socjalnych przysługujących przede wszystkim obywatelom polskim. Jak twierdzi z pewną przesadą Panczenko, jest to tym bardziej prawdopodobne, że Ukraińcem ma być już co 10. mieszkaniec naszego kraju.

Jednocześnie późniejsze tłumaczenie Ukrainki, iż „była to obawa, że może do

eprasa.pl 5a8109f443

tego dojść", brzmi o tyle wiarygodnie, że jest to właśnie ni mniej, ni więcej, tylko przestroga przed skutkami ukrainizacji Polski właśnie. W innym wypadku należałoby uznać, że Panczenko rzeczywiście groziła Polakom podpaleniami, choć przecież ona sama się od tego odżegnuje. „Atmosfera stosunków dwustronnych odbije się później na ulicy" – mimowolnie przestrzega przed skutkami tego samego procesu ambasador Ukrainy Wasyl Bodnar w wywiadzie z 10 stycznia 2026 r. dla Kanału Zero.

DEZINFORMACJA BEZOBJAWOWA

Powyższe problemy nie były trudne do przewidzenia, o ile nie żywiło się szkodliwych złudzeń co do możliwości koegzystencji Polaków i Ukraińców w takiej liczbie na tym samym terytorium, a szczególnie gdy obdarowuje się nagle liczną ludność napływową rozmaitymi przywilejami. Samo istnienie tychże było zresztą negowane, będąc obiektem walki z rzekomą „dezinformacją", aż w końcu media głównego nurtu musiały skapitulować pod wpływem rzeczywistości. „Ukraińcy jak inni cudzoziemcy. Czy likwidacja przywilejów odwróci antyukraińskie nastroje w Polsce?" – czytamy na łamach „Rzeczpospolitej", niejako uzyskując potwierdzenie, że przywileje wobec Ukraińców – na ogół przedstawianych niezgodnie z ich prawnym statusem jako uchodźcy – rzeczywiście miały miejsce. „Udostępniane obywatelom Ukrainy prawa i świadczenia sytuują ich w pozycji uprzywilejowanej do obywateli RP, a przynajmniej […] nie skłaniają do podejmowania innej aktywności asymilacyjno-integracyjnej" – zaznacza cytowany wcześniej prof. Andrzej Wierzbicki. Zresztą nawet gdyby dało się wykazać, że Ukraińcy są nam bliscy kulturowo, to przecież w takiej ich liczbie nie ma prawa dojść do jakiejkolwiek asymilacji z polskością.

W błąd rzekomo miało też wprowadzać nasze społeczeństwo zarysowanie perspektywy nabywania przez Ukraińców polskiego obywatelstwa ze wszystkimi tego konsekwencjami. Tymczasem oprócz cytowanej Panczenko mówi o tym chociażby Ołeksandr Pestrykov z fundacji „Ukraiński Dom", który nabywanie polskiego obywatelstwa przez Ukraińców postrzega jako kwestię czasu: „Obywatelstwo będą traktować jak papierek, dzięki któremu nie będzie żadnych pretensji, nikt nie powie im już: Wy……ć do swego kraju" – mówił w styczniu 2025 r. „Gazecie Wyborczej", zwracając także uwagę na tworzenie się w Polsce ukraińskiego „społeczeństwa równoległego".

Powyższe procesy rażąco mijają się jednak z oczekiwaniami samych Polaków. Styczniowe badanie CBOS z bieżącego roku wykazało, że 46 proc. Polaków sprzeciwia się przyjmowaniu ukraińskich uchodźców z obszarów objętych konfliktem, rozwiązanie to popiera 48 proc. Polaków. „Są to najgorsze wyniki w historii pomiarów rozpoczętych wkrótce po aneksji Krymu ponad dekadę temu" – podaje Polska Agencja Prasowa. Warto podkreślić, że pytanie dotyczyło tylko uchodźców z terenów objętych konfliktem, więc tolerancja dla napływu Ukraińców z pozostałych części sąsiedniego kraju będzie jeszcze mniejsza, a co dopiero mówić o perspektywie uczynienia z nich współobywateli i współgospodarzy Polski.

Styczniowe badanie CBOS wykazało, że 46 proc. Polaków sprzeciwia się przyjmowaniu ukraińskich uchodźców z obszarów objętych konfliktem, rozwiązanie to popiera 48 proc. Polaków

Tymczasem wspomniane zagrożenia były pod różnymi pretekstami negowane bądź bagatelizowane. Aktualnie, gdy materializują się rozmaite obawy żywione już na początku 2022 r., wizerunkowy problem mają chociażby samozwańczy tropiciele „rosyjskiej dezinformacji". Ci albo przyznać muszą, że będąca głównie wytworem ich wyobraźni „Rosja" miała rację, bądź też przyznać się, że etykietą „dezinformacji" bezwstydnie chcieli stłumić niewygodne dla nich poglądy w debacie publicznej, służąc obcym Polsce interesom ukraińskim. A przecież „Rosją" i tak nazywają oni wszystko, z czym się po prostu nie zgadzają.

„Powiedzmy sobie szczerze, że to, co się wydarzy po zakończeniu wojny, mając na uwadze to, co się wydarzyło po wojnie na Bałkanach, będzie dla wszystkich trudną sytuacją" – powiedział z kolei w styczniu bieżącego roku komendant główny policji gen. Marek Boroń, jakby nie przejmując się tym, że jego wypowiedź może być przecież „zbieżna z celami propagandowymi Kremla". Niekiedy zresztą tego typu nowomowa obraca się przeciwko jej własnym twórcom. Podczas naruszenia polskiej przestrzeni przez drony lecące ze wschodu rządowy Ośrodek Analizy Dezinformacji NASK mianem takiej „propagandy" określił twierdzenia: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych Ukrainy domaga się, aby Zachód zestrzeliwał drony nad jej terytorium" oraz „Białorusini ostrzegali Polskę przed atakiem". Jedno i drugie okazało się później prawdą. „Białorusini nas uprzedzali, że przez ich przestrzeń powietrzną w naszym kierunku zmierzają drony" – potwierdzał gen. Wiesław Kukuła.

POLSCY OKUPANCI

„Dezinformacją" na pewno nie są natomiast liczne demonstracje władz ukraińskich manifestujące, że ich ojczyste imaginarium obejmuje także tereny należące do Polski. Już w listopadzie 2018 r. Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła uchwałę „O uczczeniu na poziomie państwowym 75. rocznicy rozpoczęcia deportacji autochtonicznych Ukraińców z Łemkowszczyzny, Nadsania, Chełmszczyzny, Podlasia, Lubaczowszczyzny i Zachodniej Bojkowszczyzny w latach 1944–1951". Ukraiński parlament stwierdził m.in., że „na przestrzeni wielu stuleci autochtoniczni Ukraińcy na tych terenach doznawali nieustannych ucisków i prześladowania ze strony kolonizatorów", przy czym pod pojęciem „kolonizatorów" kryją się oczywiście Polacy, a przecież mówimy o terenach stanowiących integralną część państwa polskiego.

W lipcu 2025 r. Wołodymyr Zełenski podpisał natomiast ustawę o Ukraińcach w latach 1944–1951 „przymusowo przesiedlonych z terytoriów, które wówczas wchodziły w skład Rzeczypospolitej

eprasa.pl 5a8109f443

Polskiej", przy czym „wówczas" odnosi się do terytorium, które nadal – a nie tylko w tamtym okresie – jest integralną częścią RP. Nawiasem mówiąc, dziennikarskie śledztwo „Wirtualnej Polski" wykazało, że tzw. reprywatyzacja po operacji „Wisła" na tym obszarze określana jest przez Lasy Państwowe mianem „piątego rozbioru Polski". W listopadzie 2019 r. radca prawny Paweł Sokół wskazywał przy tym, że „w ciągu ostatnich dwóch lat można zaobserwować duży wzrost zainteresowania ludności z Ukrainy, teraz już narodowości ukraińskiej, która podjęła działania, aby doprowadzić do zwrotu mienia bądź uzyskania jakiegoś odszkodowania" – czytamy na łamach serwisu.

Jeszcze w kwietniu 2014 r. na stronach „Kuriera Urzędowego Rady Ministrów Ukrainy" – oficjalnej gazety ukraińskiego rządu – pojawił się natomiast artykuł dotyczący wspomnianych terenów, zbiorczo nazywający je mianem Zakierzonia. W tekście czytamy o tamtejszych „dziesiątkach tysięcy ukraińskich rodzin, które przeszły przez duchowe i fizyczne cierpienia, utratę owoców pracy w trakcie i podczas drugiej wojny światowej". Ponadto nie tylko w omawianym materiale terytorium rzeczonego Zakierzonia jest osobliwie określane jako „obecne terytorium Polski". Obecne – ale najwyraźniej tylko takie, bo przecież kiedyś może być czyjeś inne.

W analogicznych sytuacjach po stronie polskiej Ukraińcy reagują jednak bardzo zdecydowanie – w 2015 r. mer Lwowa Andrij Sadowy chwalił się, że to po jego interwencji organizatorzy warszawskiego Biegu Niepodległości zaczęli usuwać plakaty promujące to wydarzenie, na których to plakatach widniały przedwojenne granice Polski ze Lwowem. „Jak by zareagowali Polacy, jakby Niemcy biegali w swoich maratonach z mapami III Rzeszy, z Wrocławiem i Szczecinem?" – snuł wywód Sadowy. Dwa lata później wzory nowych polskich paszportów z wizerunkiem Cmentarza Orląt Lwowskich równie skutecznie oprotestowały zaś centralne władze Ukrainy. W tym samym roku oburzenie Ukraińców poprzedziło za to późniejszą deklarację marszałka Senatu Bogdana Borusewicza, że upamiętniające rocznicę odzyskania niepodległości „rewizjonistyczne plakaty" z mapą przedwojennej Polski nałożoną na III RP zostały usunięte z lotniska na warszawskim Okęciu.

Natomiast w styczniu 2022 r. ówczesny szef ukraińskiego MSZ Dmytro Kułeba publicznie pokazał amerykańskiemu sekretarzowi stanu Antony'emu Blinkenowi mapę, na której historyczną częścią państwa ukraińskiego są nie tylko rosyjski Kubań czy ziemie nad Donem, lecz także polski Przemyśl, Chełm czy nawet fragment Podlasia. Podobną propagandę podważającą polskość naszego południowo-wschodniego terytorium zamieściła zresztą już w 2014 r. ukraińska ambasada w USA. Wspomniany Kułeba jako czynny jeszcze szef ukraińskiej dyplomacji nazwał te obszary w sierpniu 2024 r., podczas imprezy Campus Polska, mianem „terytoriów ukraińskich". Później rzecznik jego resortu wyjaśniał wprawdzie, że słowa te nie mają nic wspólnego z rzekomymi roszczeniami terytorialnymi, lecz wypowiedź ta rozeszła się po kościach głównie ze względu na wysoką tolerancję, którą Kijów długo cieszył się nad Wisłą.

Gdyby tolerancji tej bowiem nie było, to być może należałoby przyznać rację „rosyjskiej" jakoby propagandzie. Tylko dlatego zresztą Polacy regularnie aportują patyk o nazwie „przełom w ekshumacjach", bo przecież stwierdzenie, że Ukraina trwale bierze na zakładników kości pomordowanych Polaków, rzeczywiście uwiarygodniałoby autentyczne twierdzenia Moskwy o istotnym problemie z kultem banderowców nad Dnieprem. A wszakże Kreml nawet niechcący nie ma prawa mieć racji nigdy i w niczym, a już szczególnie w kwestii Ukrainy. Przeciwnie – na Rosję Polacy mają patrzeć wyłącznie przez ukraińskie okulary i to Kijów będzie decydować o kształcie stosunków polsko-rosyjskich.

Tymczasem kwestia wołyńskich ekshumacji jest istotnym zakładnikiem pewnej wizji stosunków międzynarodowych – takiej, jaką widzą ją polscy politycy. Zarazem geopolityczne zamierzenia o sojuszu z Ukrainą są zakładnikiem fundamentalnego braku akceptacji polskiego społeczeństwa dla przechodzenia do porządku dziennego nad kwestią wołyńską w jej obecnym kształcie. Paradoksem jest, że głównym lewarem na Ukraińców w tej sprawie byłaby normalizacja właśnie stosunków z Rosją. „Na współpracę z każdą Rosją jesteśmy skazani i należy te stosunki znormalizować, unikając niepotrzebnej uniżoności, jak i arogancji" – pisał w 1991 r. Jerzy Giedroyc („Spotkania", 18 września 1991 r.). Nawiasem mówiąc, ten idol polskich ukrainofilów i prometeistów nie był wcale bezwarunkowym zwolennikiem ukraińskiego Donbasu czy Krymu, a ponoć kwestie te mają dla Polski kluczowe znaczenie. „Nie należy żądać, aby granice Ukrainy przebiegały tak, jak oni je sobie wyobrażają. Istnieje cały szereg obwodów, które chcą należeć do Rosji, czują się związane z Rosją i to należy koniecznie uregulować" – pisał Giedroyc („Kontynent" 1991, nr 68).

Tylko dlatego Polacy regularnie aportują patyk o nazwie „przełom w ekshumacjach", bo przecież stwierdzenie, że Ukraina trwale bierze na zakładników kości pomordowanych Polaków, rzeczywiście uwiarygodniałoby autentyczne twierdzenia Moskwy o istotnym problemie z kultem banderowców nad Dnieprem

Teza o tym, że od przynależności państwowej Krymu, Donbasu czy nawet od dostępu Ukrainy do morza zależy polska niepodległość, jest zresztą standardową zagrywką ukraińskiego lobby w Polsce, mającą mobilizować do angażowania naszych narodowych zasobów na rzecz obcego państwa. Tymczasem ciężko przecież nawet postawić znak równości między apetytami Rosji na Donieck, Ługańsk, Chersoń czy choćby Odessę a rzekomymi dążeniami Moskwy do opanowania Lwowa, a co dopiero zrównywać ją z perspektywą rosyjskiej armii nacierającej na Polskę. W najgorszym wypadku okaże się po prostu, że tym razem to akurat Ukraina będzie musiała w imię pokoju oddać swe ziemie południowo-wschodnie – tak jak

eprasa.pl 5a8109f443

zmuszono do tego Polskę w roku 1945, dzięki czemu skądinąd w ukraińskim dziś Lwowie mógł stanąć pomnik Bandery.

PROPOLSKI BANDERA?

Ukraińcy nie są antypolscy. Nigdy zresztą nie byli. W wywiadzie dla Kanału Zero ze stycznia ukraiński ambasador Wasyl Bodnar mówi nawet, że „na Ukrainie nie ma kultu Bandery, na Ukrainie nie ma w ogóle żadnych kultów". W tej samej rozmowie dodaje on wprawdzie, że „uhonorowanie Bandery czy UPA jest związane z walką o niepodległość głównie przeciwko Sowietom", ale przecież i tak nie ma tam „żadnych kultów", a już Bandery w szczególności. „Na Ukrainie nikt się nie zgodzi na jednostronne traktowanie historii, bo zawsze były przyczyny i skutki […]. Od czego to się zaczęło? Samo wynikło?" – podkreśla zarazem, odnosząc się do wydarzeń z lat 40. Ambasador zarzeka się jednak kilkukrotnie, że potępia zbrodnie na Polakach: „Ja, jako ambasador, jako Ukrainiec, potępiam zbrodnie na Polakach" – zaznacza na wypadek, gdyby ktoś pomyślał, że dyplomata ma problem z jednoznaczną oceną wydarzeń historycznych.

Wołyń nie jest jednak wydarzeniem, które według ambasadora można już oceniać jednoznacznie. Według dyplomaty wciąż za dużo jest jeszcze wątpliwości wokół tej krwawej karty historii. „Trzeba, żeby była dyskusja merytoryczna historyków, żeby stworzyli katalog, rozpatrywanie każdej zbrodni, miejscowości pod względem liczb, nazwisk, przyczyn" – zaznacza Wasyl Bodnar. „Stwórzmy rejestr ofiar" – dodaje. Niby logiczne i podszyte dobrymi intencjami – stwórzmy rejestr ofiar, a zaraz potem przystąpimy do ekshumacji. Jak jednak stworzyć rejestr ofiar bez ekshumowania ich? W ten oto właśnie sposób można Polakom rzucać patyk o nazwie „przełom w ekshumacjach", który w zębach przyniosą potem usłużne media. Zresztą ambasador i tak rozwiewa wątpliwości, co powinno być priorytetem. „Tak naprawdę postrachem musi być Rosja, a nie banderyzm, który nie istnieje" – twierdzi. I jak tu mu nie wierzyć?

Ogółem, jeżeli były jakieś zbrodnie na Polakach, to ambasador je wielekroć potępi. Bo cóż go to kosztuje? Na Ukrainie i tak nie ma żadnego kultu Bandery, a ten, który ma miejsce, wymierzony jest w Rosję – mimo że go „nie ma". Zresztą Bandera i Szuchewycz też przecież nie byli przeciwko Polakom jako takim, a jedynie przeciwko „okupantom" panoszącym się po ziemiach odwiecznie ukraińskich. Dodajmy, że antypolskie na pewno nie jest także eksponowanie we lwowskim Muzeum Więzienie na Łąckiego twierdzeń o „polskim reżimie okupacyjnym" na równi z III Rzeszą i ZSRS ani też nie jest takowe umieszczenie na polskiej szkole nr 10 we Lwowie tablicy upamiętniającej Romana Szuchewycza. Wstrzymywanie ekshumacji na Wołyniu antypolskie też być nie może, bo w końcu „w ogóle nie ma żadnych blokad ze strony ukraińskiej", jak zapewnia nasza minister kultury Marta Cienkowska. „Nie ma przeszkód do prac poszukiwawczych i ekshumacji ofiar rzezi wołyńskiej" – powtarzał minister Radosław Sikorski. A skoro nie sposób nie wierzyć ukraińskiemu ambasadorowi, to tym bardziej przecież polskiemu rządowi, czyż nie?

NIE TYLKO UKRAIŃSCY DYWERSANCI

Tymczasem to właśnie polski rząd zapewnia nasze społeczeństwo, że za każdy kolejny akt uszkodzenia polskiej infrastruktury krytycznej czy innych obiektów dokonany przez Ukraińców odpowiedzialność ponosi Rosja. Właściwie tylko dzięki oficjalnym informacjom polskich władz oraz wtórującemu im rządowi w Kijowie mamy mieć pewność, że zleceniodawcą tych wrogich działań jest Kreml. Przynajmniej w części przypadków może to być prawda, ale wcale nie musi. Na razie wykluczamy scenariusz odpowiedzialności za działania dywersyjne podmiotów ukraińskich, niekoniecznie zresztą muszą to być akurat podmioty państwowe. Ponadto przecież nigdy nie chodzi o uderzenie w Polskę jako taką, a „jedynie" o zmuszenie do podjęcia bądź zaniechania określonych działań przez polskie państwo. Dzisiaj też nikt Polakom nie mówi, że czci daną postać historyczną akurat dlatego, że ich terroryzowała czy zabijała, co najwyżej zaistnieć mogła „wyższa konieczność", do której lepiej ponownie nie doprowadzać. Być może właśnie przed tym próbują nas „przestrzec" poszczególni dywersanci.

Niemniej wniosek, że Polacy i Ukraińcy nie mogą żyć na tej samej ziemi, byłby jednak aż nadto pesymistyczny i zbyt daleko idący. W pewnych proporcjach napływ określonych grup obywateli Ukrainy może być dla nas korzystny, szczególnie gdy decydują się oni żyć i pracować dla wspólnego z nami ideału Polski. Choć nie każdy Ukrainiec to banderowiec, to konieczne jest przy tym zarówno egzekwowanie od nich w Polsce urzędowej formy „lojalki antybanderowskiej", jak i nowelizacja konstytucji zezwalająca na odbieranie obywatelstwa osobom naturalizowanym. Byłby to wentyl bezpieczeństwa, w razie gdyby przywileju tego dostąpiła osoba obywatelstwa niegodna, wykluczająca się co do zasady z naszej wspólnoty. Nie potrzebujemy w Polsce ludzi hołdujących zabijaniu ludności cywilnej i nie powinnyśmy współdzielić z nimi swojego kraju.

Ponadto niezbędny jest nowy traktat międzypaństwowy między Polską i Ukrainą, gdyż dotychczasowa formuła naszych stosunków uległa wyczerpaniu. Powinny być w nim uregulowane m.in. zarówno kwestie ekshumacji, jak i zrównanie w prawach mniejszości narodowych zamieszkujących tradycyjnie nasze państwa poprzez zniesienie dotychczasowej asymetrii na niekorzyść Polaków na Ukrainie. Sami Ukraińcy powinni się oswoić i pogodzić z tym, że „polscy okupanci" na tych terenach byli, są i będą. Należy też porzucić tyleż bezskuteczne, co żałosne „proszenie o przeprosiny", jakie regularnie adresujemy wobec Ukraińców w lipcowe rocznice krwawej niedzieli na Wołyniu. Nie dodaje nam to ani powagi, ani respektu w oczach drugiej strony.

Państwo polskie musi przede wszystkim odzyskać swą sterowność poprzez przywrócenie mu „ustawień fabrycznych" po drugiej wojnie światowej, a więc względnej monoetniczności. Polska ma zatem być z powrotem krajem przede wszystkim dla Polaków, w tym pozostającym także silnym oparciem dla rodaków zamieszkujących Kresy Wschodnie. „Nie zamieniłbym naszej tężyzny na uprzejmość innych narodów" – jak stwierdziła jedna z postaci z „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna. I dewizę tę Polacy powinni sobie wziąć do serca, ale też do rozumu. Nasza tężyzna to zatem gwarancja dobrych i wciąż pokojowych stosunków tak z Ukraińcami, jak z każdym innym narodem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

Tradycja Pierwotna i jej wrogowie



Filip Memches

Jeśli dziś tradycjonalizm integralny niepokoi lewicę systemową, czyli choćby aktywistów z kręgu Instytutu Narutowicza, to przypuszczalnie dlatego, że jego wpływ można dostrzec w alt right, czyli ruchu, który mocno miesza w polityce amerykańskiej



Prezydent Donald Trump i jego były doradca Steve Bannon, 31 stycznia 2017 r.

FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

Spiskowe teorie uchodzą powszechnie za domenę prawicy. Przywodzą bowiem na myśl opowieści o tym, jak to Żydzi, masoni, lewica, globaliści w imię nowoczesności i postępu wysadzają w powietrze stary świat, w którym liczą się tradycyjne wartości moralne oraz tożsamości narodowe. Takie przewidywalnie szablonowe oskarżenia formułowane na prawicy są przedmiotem łatwych szyderstw ze strony ludzi podkreślających konieczność racjonalnego oglądu rzeczywistości wymykającej się prostym schematom. Jeśli ktoś sugeruje, że za rozmaitymi rewolucyjnymi zmianami w świecie stoją knowania jakichś zakulisowo działających grup – a więc skądinąd coś, co nie powinno się wydawać czymś nadzwyczajnym – to naraża się na zarzut, że powoduje nim niczym nieuzasadniona podejrzliwość.

Dlatego intrygująca jest sytuacja odwrotna – taka, w której to kręgi lewicowe upatrują w prawicy siły wywrotowej – tyle że gotowej sięgnąć po metody rewolucyjne po to, żeby zawrócić bieg dziejów – i węszą prawicowe spiski. A w tych kategoriach można interpretować inicjatywę wydania po polsku książki brytyjskiego historyka Marka Sedgwicka zatytułowanej „Przeciw nowoczesnemu światu. Tradycjonalizm i sekretna historia intelektualna XX wieku" (w oryginale opublikowanej w roku 2004). Polski przekład tej opasłej pozycji ukazał się nakładem Instytutu Narutowicza – instytucji powołanej w roku 2024 przez rząd „uśmiechniętych demokratów" do tego, żeby m.in. prowadzić badania naukowe nad „skrajną prawicą", aby rzecz jasna dawać jej odpór w walce o władzę nad umysłami Polaków.

Jeśli jednak ktoś zamierza sięgnąć po książkę Sedgwicka, bo spodziewa się znaleźć w niej jakieś sensacyjne treści, to prawdopodobnie dozna srogiego zawodu. Tytuł tej pozycji sugeruje bowiem, że odsłania ona nieznane fakty dotyczące jakiegoś doniosłego zjawiska, które potajemnie odcisnęło piętno na dziejach intelektualnych XX stulecia. A tymczasem czytając „Przeciw nowoczesnemu światu", można nabrać co do tej sugestii poważnych wątpliwości.

Książka Sedgwicka poświęcona jest tradycjonalizmowi integralnemu. Pojęcie to może się od razu skojarzyć z tradycjonalizmem katolickim, czyli m.in. z przywiązaniem do liturgii Kościoła katolickiego sprzed Soboru Watykańskiego II. Tymczasem chodzi o coś zupełnie innego. Tradycjonalizm integralny to synkretyczny pakiet różnych idei religijno-filozoficznych. Ich wspólnym mianownikiem jest założenie, że istnieje Tradycja Pierwotna. W efekcie kataklizmów historycznych została ona rozproszona, a jej elementy przeniknęły do wielkich religii świata (konkretnie: do ich mistycznych i ezoterycznych odgałęzień). Te zaś pełnią funkcję wyłącznie pośrednika między Tradycją Pierwotną a profanum.

Oczywiście jeśli nikt nigdy o tradycjonalizmie integralnym nic nie słyszał, to może się o nim z książki Sedgwicka sporo dowiedzieć. A wypada też zauważyć, że choć przekaz autora pokrywa się z mainstreamowym liberalnym dyskursem, to zarazem pozbawiony jest tonu lewicowej paniki moralnej, którą wywołuje widmo „skrajnej prawicy" panującej nad światem. To atut „Przeciw nowoczesnemu światu". Natomiast gorzej jest z chaotycznym nagromadzeniem w książce szczegółowych wiadomości (jednocześnie przy wielu lukach, które się proszą o uzupełnienie). Sposób, w jaki autor nieznośnie faszeruje nimi czytelnika, jest fragmentami męczący i zniechęca do lektury.

Niemniej tradycjonalizm integralny to zjawisko warte uwagi. A wśród reprezentujących je myślicieli wyróżnia się Francuz René Guénon. To pierwszoplanowa postać książki Sedgwicka. Żył on na przełomie wieków XIX i XX i można go uważać za ojca tradycjonalizmu integralnego.

MROK KALIJUGI

Droga duchowa, którą przebył Guénon, rzuca światło na genezę tego nurtu. Tradycjonalizm integralny stanowił reakcję na

eprasa.pl 5a8109f443

dwie przeciwległe tendencje kształtujące u zmierzchu XIX stulecia pejzaż intelektualny Zachodu. Jedną był „odczarowujący" świat i kontestujący wszelką religijność dyskurs pozytywistyczny, drugą stanowiło zaspokajanie głodu duchowości za pośrednictwem praktyk okultystycznych i parapsychologicznych, co znalazło ujście choćby w działalności Towarzystwa Teozoficznego.

Guénon urodził się w rodzinie katolickiej, ale w młodości zainteresował się okultyzmem i zaangażował w masonerię. Ostatecznie jednak doszedł do wniosku, że umysłowość zachodnia została tak przeorana przez nowoczesność ze znamionującą ją inwersją (w dużym uproszczeniu termin ten oznacza postrzeganie dobra jako czegoś złego oraz zła jako czegoś dobrego), że człowiek Zachodu, szukając śladów Tradycji Pierwotnej na rodzimych ścieżkach duchowych, niczego nie znajdzie, a zatem nie pozostaje mu nic innego, jak zwrócić się ku temu, co jest na Wschodzie. Guénon zatem przeszedł na islam. Zamieszkał w Egipcie, gdzie dożył swoich dni. Mimo to trudno powiedzieć, czy stał się w pełni muzułmaninem. Wybrał sufizm – mistyczny prąd w łonie sunnickiego islamu – traktowany przez niego jako wehikuł transportujący go duchowo do Tradycji Pierwotnej.

W historiozofii Francuza obecne są jednak przede wszystkim inspiracje hinduizmem. Guénon twierdził, że dzieje świata mają charakter cykliczny. Każdy cykl się zaczyna od rozkwitu, a kończy upadkiem, po którym następuje przesilenie. Teraz żyjemy w datującej się od czwartego tysiąclecia przed narodzeniem Chrystusa erze ciemności (w kalijudze), którą wyróżnia coraz większy ferment filozoficzny oraz religijny. Świadczy o tym historia Zachodu. Średniowieczny feudalizm europejski, z kluczową rolą elity duchowej, oparty był jeszcze na wartościach czerpanych z Tradycji Pierwotnej, a funkcję przekazującego je społeczeństwom pośrednika sprawował Kościół. Od XIV w. jednak porządek ten rozkładały tendencje egalitarne i materialistyczne będące właśnie przejawem procesu inwersji będącej domeną sił wywrotowych. Reformacja i renesansowy humanizm dały początek dominacji w Europie indywidualistycznych i progresywnych nurtów w polityce, kulturze, obyczajach. To właśnie wtedy narodziła się nowoczesność jako zaprzeczenie Tradycji Pierwotnej. W efekcie duchowieństwo oraz szlachta zostały zdegradowane na rzecz mieszczaństwa oraz jeszcze niższych niż ono warstw w hierarchii społecznej.

EUROPA W RUINACH

Podobnie katastroficzne przemyślenia zawiera historiozofia młodszego o kilkanaście lat od Guénona Włocha Juliusa Evoli. Ten ekscentryk pozujący na arystokratę afirmował elitarno-hierarchiczne porządki społeczne dawnej Europy, z której – według niego – zostały tylko ruiny. Przyczyn jej upadku zaś upatrywał w hołdowaniu miernotom i słabeuszom. Oskarżenie to wysuwał zarówno wobec chrześcijaństwa, jak i nowożytnych, przenikniętych humanizmem prądów światopoglądowych. Deklarował się jako pogański imperialista i był piewcą antycznego Rzymu. Miał nadzieję, że w jakimś stopniu Imperium Rzymskie wskrzesi faszystowska dyktatura Benita Mussoliniego, którą popierał, choć z zastrzeżeniami, bo zarazem krytykował ją z metapolitycznej prawej flanki za schlebianie niskim instynktom mas. Utrzymywał też kontakty z prominentnymi postaciami reżimu III Rzeszy, jednocześnie odrzucając wszelkie nacjonalizmy i rasizmy jako wytwory materialistycznego podejścia do człowieka.

Tradycjonalizm integralny nigdy nie był jednolitą koncepcją. Jednocześnie nie wyrósł do rozmiaru znaczącego ruchu politycznego – bo i ze względu na to, że unosi się nad nim aura elitaryzmu oraz ezoteryzmu, takowym stać się nie mógł – choć swoimi wpływami przekroczył granice

Czymś intrygującym jest sytuacja, w której lewica upatruje w prawicy siły wywrotowej – tyle że gotowej sięgnąć po metody rewolucyjne po to, żeby zawrócić bieg dziejów



MARK SEDGWICK „PRZECIW NOWOCZESNEMU ŚWIATU. TRADYCJONALIZM I SEKRETNA HISTORIA INTELEKTUALNA XX WIEKU" INSTYTUT NARUTOWICZA, WARSZAWA 2025

Zachodu – dotarł m.in. do Rosji, Turcji, Iranu. Wśród najbardziej rozpoznawalnych jego reprezentantów jest Rosjanin Aleksandr Dugin. A zarazem na Zachodzie nurt ten oddziaływał na rozmaite środowiska antysystemowe, co ciekawe, zarówno radykalnie prawicowe, jak i radykalnie lewicowe. Łączyła je bowiem wrogość wobec monetyzującej każdy aspekt życia władzy mieszczaństwa. To z tych zaś środowisk rekrutowali się choćby terroryści włoscy, którzy zorganizowali krwawy zamach bombowy na dworcu kolejowym w Bolonii w roku 1980. Sedgwick tę akcję wpisał w realizację tego, do czego w swoich pismach nawoływał Evola, czyli do „rewolty przeciw nowoczesnemu światu", choć myśliciel ten już wówczas od sześciu lat nie żył i nic nie wiadomo o tym, żeby opowiadał się za stosowaniem terroru.

Jeśli dziś tradycjonalizm integralny niepokoi lewicę systemową, czyli choćby aktywistów z kręgu Instytutu Narutowicza, to przypuszczalnie dlatego, że jego wpływ można dostrzec w alt right, czyli ruchu, który mocno miesza w polityce amerykańskiej i daje o sobie znać także w Europie. Kiedy jednak w roku 2004 Sedgwick kończył pisanie swojej książki, nie wiedział jeszcze o tym, co zostanie nagłośnione w kolejnej dekadzie – za pierwszej kadencji prezydenckiej Donalda Trumpa.

Otóż okazuje się, że tradycjonalizm integralny to istotny punkt odniesienia dla Steve'a Bannona. A publicysta ten bądź co bądź był ważnym doradcą Trumpa. I próbował nawiązać współpracę z Duginem, tyle że nic z tego nie wyszło. Widać kolizja interesów amerykańskich z interesami rosyjskimi okazała się ważniejszym czynnikiem niż międzynarodowa wspólnota tradycjonalizmu integralnego. Kariera Bannona w Białym Domu zaś szybko się skończyła. Został zdymisjonowany, co niektórzy komentatorzy odebrali jako sukces rywalizującej z nim o dostęp do ucha prezydenta USA frakcji globalistów, czyli grupy związanej z zięciem Trumpa, Jaredem Kushnerem. Aż chce się to złośliwie skwitować: istny spisek „skrajnej prawicy", strach się bać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



Leon XIV zapowiedział na początku stycznia, że poświęci cały cykl katechez na refleksję nad Soborem Watykańskim II

FOT. MARIO TOMASSETTI/ VATICAN MEDIA/ABACA/EAST NEWS

Kryzys Kościoła trwa dalej



Paweł Chmielewski

Początek 2026 r. pogrzebał nadzieje tych, którzy oczekiwali od Leona XIV wyraźnej korekty liberalnego kursu posoborowego katolicyzmu. Papież wyraźnie pokazał, że zmian nie będzie

Sobór Watykański II, którego 60. rocznicę zakończenia świętowano w Kościele w grudniu 2025 r., jest jednym z najważniejszych elementów koniecznych dla zrozumienia kryzysu katolicyzmu – nie tylko na Zachodzie, lecz także na całym świecie. Nie jest oczywiście prawdą, by zgromadzenie otwarte przez Jana XXIII ponosiło tu jakąś wyłączną winę. Nie można jej przypisać nawet posoborowej reformie liturgicznej. Sekularyzacja katolickich narodów – zarówno jawna, jak i podskórna – rozpoczęła się długo przed Vaticanum II. Nie ma jednak cienia wątpliwości, że dynamika reform, którą uruchomiło to zgromadzenie, znacząco przyspieszyła rozpad chrześcijańskiego świata, niekiedy go wręcz warunkując. Dokumenty soborowe – a jeszcze bardziej ich konkretna implementacja przez papieży – zawierają w sobie wiele poważnych sprzeczności, które naruszają logikę wiary katolickiej, podważając w ten sposób jej sens. Podam tylko trzy konkretne przykłady, by unaocznić ten problem.

WOLA OJCÓW SOBORU

Najbardziej rażąca jest oczywiście sprawa liturgii. Sobór Watykański II w konstytucji „Sacrosanctum concilium" zaprezentował cały zestaw wskazań dotyczących reformy obrzędów Mszy Świętej. Miano zachować język łaciński, rozwijać rozumienie Eucharystii jako ofiary, kontynuować centralną rolę chorału w muzyce kościelnej. Wola ojców soboru zawarta w dokumencie została jednak niemal całkowicie zignorowana przez posoborową komisję, która obradowała pod nadzorem św. Pawła VI. Łacina została de facto zlikwidowana. Sens Mszy podzielono pomiędzy ofiarę i ucztę, często z naciskiem na ten drugi aspekt. Klasyczną muzykę zastąpiła współczesna sztuka, zwykle w formie gitar. O wielu innych aspektach reformy liturgicznej całkowicie niezgodnych z „Sacrosanctum concilium" już nawet nie wspomnę. Dość powiedzieć, że kiedy papież zaprezentował biskupom pierwszą eksperymentalną wersję zreformowanej liturgii, byli bardzo niezadowoleni. Faktyczna reforma zamiast wziąć pod uwagę ich obiekcje, poszła jeszcze dalej. Mamy zatem nauczanie soboru i powołującą się na sobór sprzeczną z nim reformę. Efektem są potężny chaos, spory wewnętrzne i liturgiczny bałagan.

Równie niedobrze ma się sprawa z samorozumieniem Kościoła. Przed Soborem Watykańskim II Kościół katolicki nieodmiennie nauczał, że zgodnie z Objawieniem Bożym istnieją nieusuwalne warunki, których spełnienie jest konieczne do zbawienia. Jednym z nich była przynależność do Kościoła katolickiego. Owszem, zgodnie z nauczaniem Kościoła Pan Bóg posiada wolność zbawienia kogoś także poza granicami Kościoła – ale to droga wyjątkowa i niepewna, którą należy pozostawić samemu Stwórcy. W przestrzeni doczesnej trzeba działać tak, jakby ta droga była wręcz niedostępna. Dlatego Kościół gorąco nawoływał wszystkich odłączonych chrześcijan do tego, by przyjęli wiarę katolicką, a co za

eprasa.pl 5a8109f443

tym idzie – zwierzchnictwo biskupa Rzymu, papieża. Jeszcze w przemówieniu wygłoszonym na otwarcie soboru w październiku 1962 r. św. Jan XXIII wskazywał, że modlitwy o jedność chrześcijan są nakierowane na to, aby odłączeni wrócili do katolicyzmu. W dokumentach Vaticanum II ta prawda została w istotny sposób rozmyta. Z jednej strony pisano o Kościele katolickim jako jedynej przestrzeni zbawienia, z drugiej jednak zaprezentowano temat w tak mglistych słowach, że zaistniało szerokie pole do różnych interpretacji. Co więcej, zainicjowano dialog z prawosławiem i protestantyzmem, który opiera się na rezygnacji z jasnego mówienia o konieczności wejścia tych ludzi do Kościoła katolickiego. Efektem tej narracji jest opisana przeze mnie w jednym z poprzednich numerów Karta Ekumeniczna przyjęta przez Kościół w Europie, za zgodą papieża. Została przygotowana przez katolików i protestantów, w efekcie czego mówi o jedności chrześcijan w sposób skrajnie niejasny, nie wspominając nawet słowem o wyjątkowości Kościoła katolickiego. W tej sytuacji nie da się na poważnie twierdzić, że Kościół dalej głosi to, co przed Soborem Watykańskim II. Tylko w teorii, bo w praktyce nauczanie o konieczności nawrócenia na wiarę katolicką zostało po prostu schowane głęboko do szuflady. Kościelna narracja została oparta na sprzeczności, co zrodziło chaos i powszechny brak zrozumienia wśród wiernych, jak to w zasadzie jest z tą przynależnością do Kościoła.

Wreszcie trzeci przykład dotyczący nieomylności biskupów, poniekąd najbardziej bolesny dla ustalonego w mainstreamie kościelnym obrazu soboru. Naukę na ten temat wyłożono w 25. punkcie konstytucji „Lumen gentium" o Kościele, najważniejszego dokumentu całego zgromadzenia. Podczas gdy Sobór Watykański I zaprezentował w 1870 r. dogmat o nieomylności papieskiej, to właśnie Vaticanum II rozszerzyło go na całe kolegium biskupów. „Lumen gentium" wyjaśnia, że poszczególni biskupi nie są nieomylni, ale jednak głoszą na całym świecie tę samą naukę, pozostając w jedności ze sobą i z papieżem, cieszą się charyzmatem nieomylności. Szczególną przestrzenią wykonywania tej nieomylności jest sobór.

Skonfrontujmy to z zarysowanymi powyżej sprzecznościami. Z jednej strony sobór głosi naukę o nieomylności biskupów na soborze, ale z drugiej ich nauczanie o liturgii zostaje w praktyce odrzucone przez Ojca Świętego, który woli wypełniać wskazania własnej komisji, a nie soboru. Z kolei nauczanie na temat wyjątkowości zbawczej i Kościoła, które zgodnie z definicją „Lumen gentium" musiałoby być nieomylne, zostaje w praktyce podane wiernym w tak zagmatwany i podatny na rozmaite interpretacje sposób, że dla jego zrozumienia potrzebne są gruntowne reinterpretacje. Bez nich nie wiadomo przecież, co miałoby być nieomylne: jedno czy drugie rozumienie danego passusu, w sensie logicznym dokładnie tak samo uprawnione (casus „subsistit in"!). Dziwna to nieomylność, której wyrazy wrzuca się do kosza albo domagają się one aposteriorycznego dookreślenia.

REFLEKSJE NAD SOBOREM

Chcę podkreślić: nie roszczę sobie prawa do osądzania soboru ani nie twierdzę, że popełniał faktyczne błędy doktrynalne i fałszował wiarę katolicką, bynajmniej. Twierdzę jedynie, że wypowiadał się w sposób niejasny, a jego nauczanie w niektórych kwestiach nie zostało wiernie zrealizowane (oprócz liturgii to choćby kwestia kolegialności). W tej sytuacji, uważam, wszelka próba odnowy katolicyzmu – po 60 latach od Vaticanum II stanowiącego wytwór par excellence soborowy – musi opierać się na poważnej i dogłębnej próbie przemyślenia soboru: jego nauczania, jego recepcji, jego miejsca w historii Kościoła katolickiego.

Co otrzymujemy tymczasem? 7 stycznia, podczas audiencji generalnej, Ojciec Święty zapowiedział, że poświęci cały cykl katechez na refleksję nad Soborem Watykańskim II. Samą zapowiedź należy w świetle nakreślonych wyżej napięć i trudności przyjąć z wielkim zadowoleniem: chyba nic nie jest dziś bardziej potrzebne niż właśnie to. Jednak ze szczegółów zaprezentowanych przez Leona XIV wynika, że ten cykl katechez nie będzie zawierał żadnego komponentu krytycznego. Przeciwnie, papież zamierza traktować Sobór Watykański II jako główne źródło wiary dla XXI w. Sobór to gwiazda polarna drogi Kościoła. To ponowne odkrycie oblicza Boga. Trzeba nagłaśniać jego proroctwo. Realizować jego intuicje. Jeszcze pełniej wypełnić reformę, którą zapoczątkował. Te kilka określeń to tylko drobny wybór z w sumie dość krótkiego przemówienia papieża Leona – pominąłem wszystkie superlatywy, którymi określił sobór, cytując poprzednich papieży. Ani słowa krytyki, choćby najdelikatniejszej; więcej, nawet jednego, malutkiego znaku zapytania. Tylko wielkość.

Moim zdaniem reforma Soboru Watykańskiego II będzie kontynuowana w całej rozciągłości. Wszystko wskazuje na to, że dotyczy to również palącej kwestii liturgicznej. Wspomniałem wcześniej o wielkim rozdźwięku pomiędzy wolą ojców soboru a faktami stworzonymi przez reformę. Leon nawiązał do tego w przemówieniu jednym zdaniem: „[Sobór] zapoczątkował ważną reformę liturgiczną, stawiając w centrum tajemnicę zbawienia oraz czynny i świadomy udział całego Ludu Bożego". Wymienił zatem dwa absolutnie centralne dla posoborowej reformy terminy: „czynny" oraz „świadomy" udział w liturgii. Co więcej, w dniach 7–8 stycznia obradował w Rzymie konsystorz, czyli spotkanie papieża z kardynałami całego świata. Leon zaproponował, by kardynałowie pochylili się nad tematem liturgii, jeżeli mają taką wolę. Nie chcieli o tym rozmawiać: temat interesował tylko kilku purpuratów, większość uznała go za nieistotny.

Skoro papież Leon XIV opisuje Sobór Watykański II w kategoriach absolutnego proroctwa dla Kościoła; skoro kardynałowie nie uznają za ważne, by dotknąć jednego z najbardziej spornych elementów dziedzictwa soboru – to możemy z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek. Otóż żadnej krytycznej refleksji nad Vaticanum II nie będzie. Tym samym jedna z kluczowych kwestii dla właściwego zrozumienia kryzysu Kościoła katolickiego pozostanie całkowicie nieprzepracowana. Nie będzie zmian, nie będzie korekty kursu, a w związku z tym – nie będzie też żadnej poprawy. Pontyfikat Leona XIV, sadzę, nie będzie czasem przełomu. Czekają nas raczej długie lata kontynuacji tego, co dotąd. Kryzys Kościoła będzie trwać dalej, przynajmniej o tyle, o ile zależy od chaotycznego dziedzictwa soborowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 5a8109f443

Pod znakiem skorpiona





Łukasz Czarnecki

W XXI w. mianem pretorianów określa się potocznie najwierniejszych zwolenników różnego rodzaju liderów, często mając na myśli niestroniące od przemocy bojówki. Nazwa ta sięga korzeniami czasów antycznych, gdy rzymskich cesarzy ochraniały tzw. kohorty pretoriańskie. Jak jednak szybko przekonać mieli się władcy imperium, przy odrobinie nieuwagi, reżimowi opartemu na mieczach bardzo szybko mogą zagrozić ci, którzy owe miecze dzierżą...

Gwardia pretoriańska jest pojęciem używanym przez współczesnych historyków na określenie formacji, która funkcjonowała w ramach rzymskiego systemu militarnego przez blisko trzy i pół stulecia. Sami Rzymianie mówili o „kohortach pretoriańskich". Ich liczba zmieniała się i nie zawsze jesteśmy w stanie ją określić. Kasjusz Dion w III w. n.e., pisząc o czasach Oktawiana Augusta, wspominał o 10 tysiącosobowych kohortach, bliższy epoce Tacyt wspominał zaś o dziewięciu. Wśród historyków trwa spór, czy oddziały te

eprasa.pl 5a8109f443



FOT. ADOBE STOCK

liczyły od początku po tysiąc ludzi czy też pierwotnie kohorty były 500-osobowe jak to było przyjęte w regularnych legionach.

Choć pretorianie w formie znanej nam z książek i filmów historycznych stanowili element cesarskiego ustroju, to po raz pierwszy na scenę dziejową wkroczyli jeszcze w czasach Republiki. W źródłach z III w. p.n.e. znajdujemy informacje o doborowych jednostkach ochraniających dowodzących legionami wodzów, określanych właśnie mianem „kohort pretoriańskich". Nie stanowiły one jednak stałej formacji, lecz były dobierane przez poszczególnych generałów wśród służących pod ich komendą weteranów, po zakończonej kampanii podobnie jak reszta legionistów wracających do domów.

Dwa wieki później, gdy rzymska demokracja znajdowała się w poważnym kryzysie rozszarpywana na strzępy przez ambitnych przywódców, posiadanie przy swoim boku przybocznej straży stało się już normą. O pretorianach zaczynamy słyszeć coraz częściej, a o tym, że stanowili oni bezwzględny przymus w bezlitosnym świecie polityki, najlepiej świadczył casus Juliusza Cezara, który zwyciężywszy w wojnie domowej… zwolnił ze służby swych pochodzących z Hiszpanii ochroniarzy, twierdząc, że jest zbyt kochany przez lud, by lękać się zamachu na swe życie. Które postradał prawie nazajutrz po tej niefortunnej decyzji, gdy został zasztyletowany w senacie.

MIECZ W FAŁDACH TOGI

Śmierć Cezara miast przywrócić Republikę, na co liczyli zabójcy, zapoczątkowała nową serię walk o władzę i czystek mającą trwać aż do roku 31 p.n.e. i zwycięstwa ciotecznego wnuka dyktatora Oktawiana nad siłami Marka Antoniusza i Kleopatry w bitwie pod Akcjum. Obydwaj przeciwnicy mieli pod swymi sztandarami własne kohorty pretoriańskie, a triumfator okazał gwardzistom pokonanego wroga łaskę, wcielając ich w szeregi własnej armii. Na bazie doświadczonych weteranów z obu stron konfliktu w 27 r. p.n.e. Oktawian (teraz zwany już Augustem) sformułował gwardię pretoriańską, mającą odpowiadać za bezpieczeństwo princepsa (bo taki tytuł oficjalnie nosił władca) i jego najbliższych. Pretorianie stanowili ponadto ekwiwalent policji politycznej, w źródłach znajdujemy wzmianki o urządzanych przez nich prowokacjach, kiedy to wniknąwszy w tłum, wznosili antyrządowe okrzyki, po czym aresztowali tych z gapiów, którzy je podchwytywali.

Niewiele wiadomo nam o uzbrojeniu cesarskiej gwardii, przypuszcza się jednak, iż w samym Rzymie żołnierze oddziałów specjalnych nie paradowali w pełnym rynsztunku – August nie chciał prowokować obywateli jawnym manifestowaniem skrzętnie ukrywanego faktu, że rządził z racji swej siły wojskowej, a nie osobistych cnót. Część badaczy przychyla się do opinii, że służący na ulicach Wiecznego Miasta pretorianie nosili stroje cywilne, kryjąc krótkie miecze w fałdach tóg. Możliwe jest też, że używali tunik z narzuconym na ramię wojskowym płaszczem.

Warto zauważyć, że kohorty pretoriańskie, których liczba wynosiła między dziewięcioma a dziesięcioma (zależnie od tego, czy bardziej prawdomówny był Dion czy Tacyt), za czasów pierwszego cesarza nie koncentrowały się w stolicy i przeważająca ich część stacjonowała w różnych newralgicznych punktach Italii. Groby mężczyzn opisanych jako gwardziści cezara, znajdowane są na całym Półwyspie Apenińskim (m.in. w sławnych Pompejach), podobnie jak odnoszące się do nich inskrypcje. Wyłania się z owych tekstów ciekawy obraz działalności pretorianów, których władca wykorzystywał często jako terenowych przedstawicieli reżimu oddelegowanych do rozwiązywania konkretnych lokalnych problemów. A August i jego następcy potrafili słać swych strażników naprawdę daleko; jednym z bardziej zaskakujących źródeł poświadczających obecność grupy żołnierzy z kohort pretoriańskich jest papirus znaleziony w Górnym Egipcie! Zadziwiające bywają też zadania, jakimi ich obarczano. Pewien znany nam z nagrobka wojak z oddziałów specjalnych w swym epitafium został opisany jako wojskowy… hydraulik. Posiadamy też wzmianki o sprawach sądowych rozstrzyganych przez cesarskich gwardzistów, budowaniu akweduktów i innych pracach inżynieryjnych, organizacji transportu zboża i różnych czynnościach, z którymi raczej nie kojarzylibyśmy tej budzącej groźne skojarzenia jednostki.

August, formując kohorty pretoriańskie, uczynił z nich wyjątkowo atrakcyjną drogę kariery. Pretorianin dostawał dwukrotnie wyższy żołd niż zwykły legionista, dodatkowo służba trwała zaledwie 12 lat i kończyła dużą odprawą pieniężną. Później przedłużono ją do lat 16, ale za to żołd poszedł jeszcze bardziej w górę i cesarski gwardzista mógł teraz liczyć na zawrotną sumę wysokości 750 denarów rocznie, płatną w trzech ratach. Kiedy zaś pierwszy cesarz umarł i odczytano jego testament, okazało się, iż szlachetny nieboszczyk zostawiał

eprasa.pl 5a8109f443

swoim strażnikom po 250 denarów na głowę. Co – jak należy mniemać – szybko otarło łzy pretorianów.

BEZPIEKA ZNAD TYBRU

August, chcąc być stuprocentowo pewnym lojalności kohort pretoriańskich, początkowo osobiście sprawował nad nimi komendę, bojąc się, że potencjalny dowódca gwardii mógłby wykorzystać ją do przeprowadzenia zamachu stanu. Lata jednak mijały, jednowładca się starzał, a codziennych spraw państwowych przybywało. W końcu w roku 2 p.n.e. za radą swoich najbliższych przyjaciół postanowiły stworzyć urząd prefekta pretorium mającego stanąć na czele straży cesarskiej. Był jednak zbyt sprytny na to, aby oddawać tak wielką potęgę w jedne ręce, dlatego powołał równolegle dwóch prefektów, mających nawzajem równoważyć swe wpływy.

Po Auguście na tron wstąpił jego pasierb Tyberiusz, człowiek podejrzliwy, sadystyczny, a do tego zboczeniec gustujący we wszelkiego rodzaju wyuzdanych zabawach erotycznych, w tym takich o charakterze pedofilskim. Nowy władca doskonale zdawał sobie sprawę, że poddani go nienawidzą, ale miast się tym przejmować, swój brak popularności skwitował słynnym stwierdzeniem „Niech nienawidzą, byleby się bali". Aby to ostatnie założenie wprowadzić w życie, cesarz znalazł idealne narzędzie w osobie swojego prefekta pretorium – Sejana.

Sejan urząd odziedziczył po ojcu, co więcej – wbrew dotychczasowej polityce kadrowej pełnił go samodzielnie, nie dzieląc komendy nad gwardią z żadnym kolegą. Młodość miał bujną i wróżącą jak najgorzej na przyszłość – ponoć przed zaciągiem do cesarskiej służby parał się rajfurstwem. I to z powodzeniem.

Nowy prefekt pretorium uczynił z podległej mu jednostki narzędzie absolutnego terroru. Przez 17 lat nikt w Rzymie nie był pewny dnia i godziny, w każdej chwili można było zostać aresztowanym pod byle pretekstem i zamęczonym na śmierć. Nie chroniła przed zgubą nawet przynależność do cesarskiej familii, bo to właśnie jej członków Sejan tępił ze szczególną zaciekłością, oskarżając kolejnych krewnych Tyberiusza o zdrady i spiski. Despota zaś święcie wierzył w każdy zmyślony zarzut i skazywał na śmierć krew ze swej krwi i kość z kości. Swojego najwierniejszego pretorianina obsypywał zaszczytami, czyniąc go konsulem, stawiając mu pomnik w jednym z rzymskich teatrów czy pozwalając na bicie monety z wizerunkiem Sejana! Paradoksalnie, mimo że twarz szefa gwardii łypała z niezliczonych przedstawień, nie mamy pojęcia, jak wyglądał, bo po jego upadku w roku 31 wszystkie wizerunki starannie usunięto z widoku, posuwając się nawet do zdrapywania dłutem legend z monet! Prefekt pretorium ostatecznie skończył aresztowany pod zarzutem zdrady i zgładzony wraz z całą rodziną (maleńką córeczkę rzymskiego Berii dodatkowo przed zamordowaniem zgwałcił kat), a jego ciało rozwścieczony tłum powlókł ulicami miasta. Szef rzymskiej bezpieki miał nieprzyjemność jako pierwszy w historii odrobić lekcję, w XX w. powtarzaną raz za razem przez jego odpowiedników z ZSRS – kaci reżimu ostatecznie sami kończą wysłani na szafot przez ten sam reżim, któremu służyli…

> **Prefekt pretorianów Sejan skończył aresztowany pod zarzutem zdrady i zgładzony wraz z całą rodziną. Jego ciało rozwścieczony tłum powlókł ulicami miasta**

TWÓRCY CESARZY

Choć Sejan skończył nędznie, to jedno z jego dzieł przetrwać miało aż do IV w., a i dziś w Rzymie oglądać możemy jego ruiny. Mowa o wzniesionym w 23 r. warownym forcie Castra Praetoria, do którego przeniesiono wszystkie rozproszone do tej pory jednostki pretorianów. Kompleks ten stać się miał domem dla kolejnych generacji żołnierzy służących w gwardii cesarskiej aż do jej rozwiązania w roku 312. Warto też odnotować, że właśnie przy okazji owej przeprowadzki w ikonografii pretoriańskiej pojawił się po raz pierwszy symbol skorpiona. Przypuszcza się, że w ten sposób prefekt pretorium chciał podkreślić związki swojej formacji z cesarzem – Tyberiusz urodził się bowiem pod właśnie tym znakiem zodiaku.

Na stanowisku prefekta pretorium po śmierci poprzednika zasiadł niejaki Makron. Również ten był ciekawą postacią. Zdając sobie sprawę, że Tyberiusz długo już nie pożyje, nawiązał bliskie kontakty z następcą tronu – Kaligulą. I mówimy tu o kontaktach naprawdę bliskich, bo ambitny oficer wcisnął młodzieńcowi do łóżka własną żonę. A jak się wkrótce miało okazać, nie stanowiło to granicy tego, do czego potrafił się posunąć dla kariery.

W 37 r. Tyberiusz zaniemógł i legł na łożu boleści. Jego stan pogarszał się z godziny na godzinę, aż w końcu tyran przestał dawać oznaki życia. Wówczas pełniący wartę przy jego posłaniu Makron ściągnął cesarzowi z palca imperatorski sygnet i zaniósł go Kaliguli z radosną wieścią, że oto został on nowym władcą imperium. Młodzieniec wpadł w euforię, zaczęto świętowanie… które szybko przerodziło się w horror, gdy z sypialni Tyberiusza nadbiegli przerażeni niewolnicy, wołając, iż rzekomy nieboszczyk usiadł i wielkim głosem domaga się jedzenia! Jak się okazało, stary cesarz nie umarł, tylko zapadł w letarg, z którego właśnie się wybudził. Kaligula i Makron nie mieli czasu do stracenia, bo zbyt dobrze znali starego łotra, by łudzić się, że entuzjazm, z jakim przywitali jego domniemany zgon, ujdzie im płazem. Prefekt pretorium pognał do cesarskiej komnaty i udusił starca poduszką. Tym samym stał się pierwszym pretorianinem, który zamordował cesarza, a jego ofiara pierwszym imperatorem zabitym przez własnego strażnika.

Swoisty chichot historii stanowi fakt, że Kaligula, który do władzy doszedł dzięki wiarołomstwu komendanta kohort pretoriańskich, cztery lata później padł trupem zasieczony przez grupkę gwardzistów, na których czele stał oficer mający serdecznie dość nieustannych wyzwisk, którymi obrzucał go imperator, publicznie sugerując, iż wojak ten gustuje w biernym homoseksualizmie. Spiskowcy, dokonawszy krwawego czynu, udali się do senatu, by wziąć udział w obradach nad przywróceniem Republiki. W tym momencie z trzech dotychczasowych cesarzy już dwóch padło trupem z rąk własnej ochrony.

Podczas gdy senatorowie wznosili dumne hasła o wolności, grzęznąc

eprasa.pl 5a8109f443

w niekończącej się debacie nad tym, co właściwie ona oznacza i jak mają ją wykorzystać, pozostali w pałacu pretorianie doszli do wniosku, że koniec cesarskiego reżimu oznaczać będzie dla nich bezrobocie. Dlatego gdy odnaleźli chowającego się za kotarą przerażonego stryja Kaliguli – Klaudiusza, natychmiast ponieśli go do Castra Praetoria i tam obwołali cesarzem. Po raz pierwszy w dziejach Rzymu gwardia zadecydowała o tym, kto zasiadł na tronie. A Klaudiusz dobrze przyswoił sobie lekcję, którą stanowiła jego intronizacja i przez całe swe rządy starał się przychylać kohortom pretoriańskim nieba – zaczął już od pierwszego dnia, wypłacając wiwatującym żołnierzom solidną premię… by nie rzec łapówkę. Niestety, nie tylko on był pojętnym uczniem historii najnowszej. Cesarzowa Agrypina Młodsza, chcąc zapewnić koronę swemu synowi z poprzedniego małżeństwa – Neronowi – i zawiązując spisek mający na celu zamordowanie Klaudiusza, wciągnęła doń przede wszystkim ówczesnego prefekta pretorium Burrusa. Kiedy 13 października 54 r. stary imperator skonał w boleściach otruty przez wiarołomną żonę grzybami, komendant gwardii wprowadził pasierba zmarłego do koszar pretoriańskich, obwieszczając go nowym imperatorem, co żołnierze przyjęli wiwatami, gdyż w imieniu młodzieńca obiecano im solidną premię.

Choć Burrus dopuścił się zdrady względem władcy, którego przysięgał ochraniać, to trzeba mu przyznać, że dopóki żył i stał przy boku Nerona, dopóty temperował najdziksze pomysły monarchy. Po śmierci prefekta i przejęciu komendy nad kohortami przez Tygellina Neron rozszalał się na dobre, zadziwiając świat swym okrucieństwem i wyuzdaniem, a równocześnie robiąc z siebie raz za razem pośmiewisko. I z pretorianów także, bo kazał im odgrywać rolę klakierów w trakcie swych występów śpiewackich lub – co gorsza – towarzyszyć sobie na scenie w charakterze chórzystów! Ostatecznie w 68 r. wszyscy już mieli dość i ostatniego władcę z dynastii julijsko-klaudyjskiej obaliła rewolta, w której udział wzięła też jego własna gwardia. W mającym miejsce następnie tzw. Roku Czterech Cesarzy pretorianie odegrali kluczową rolę w walkach o tron, z których ostatecznie zwycięsko wyszedł Wespazjan. Ten zaś, zdając sobie sprawę z tego, jak ważna dla utrzymania władzy jest kontrola nad gwardią, powierzył komendę nad nią swemu synowi Tytusowi.

Od chwili objęcia władzy przez Wespazjana w roku 69 aż do śmierci cesarza Kommodusa w roku 192 w źródłach niewiele znajdziemy wiadomości o kohortach pretoriańskich. Gwardziści trzymani krótko przez kolejnych silnych cesarzy, pełnili karnie przeznaczoną im funkcję, stając też na polach bitew, o czym świadczą ich wizerunki m.in. na Kolumnie Trajana. Za to po zamordowaniu szalonego syna Marka Aureliusza doszło do najbardziej gorszącego wybryku w dziejach kohort pretoriańskich. Następca Kommodusa, Pertynaks, natychmiast po objęciu rządów zapowiedział wzięcie w karby zdemoralizowanej i rozpuszczonej przez swego poprzednika gwardii, która z doborowych jednostek wojskowych przemieniła się w malowanych żołnierzyków zdatnych tylko do parad. Jak łatwo się domyślić, zapowiedź ta bardzo się pretorianom nie spodobała, więc pod koniec marca 193 r. zamordowali władcę, po czym zabarykadowali się w Castra Praetoria i posłali do senatu informację, że wystawiają na aukcję… cesarski urząd!

Do fortu natychmiast pośpieszyło dwóch łasych na koronę możnych – prefekt Rzymu Tytus Flawiusz Sulpicjanus i senator Marek Didiusz Julianus. Ten pierwszy okazał się szybszy i dotarłszy do koszar, nakazał zamknąć bramy, po czym zaoferował żołnierzom sporą sumę w zamian za poparcie. Gwardziści zaczęli już wznosić okrzyki akcesyjne, gdy pod murami twierdzy stanął Didiusz. Widząc, że nie może dostać się do środka, wpadł na genialny pomysł (a warto odnotować przy okazji, że był w tamtej chwili pijany, stąd może ta fantazja) i kontrofertę wypisał na ogromnej tablicy, z którą zaczął paradować przed fortyfikacjami. Sulpicjanus nie zamierzał się jednak poddać i obaj gentelmani rozpoczęli szaleńczą licytację, wygraną ostatecznie przez Didiusza, który zaoferował pretorianom kwotę 25 tys. sestercji na głowę! Jak powszechnie wiadomo, ludziom na rauszu zdarzają się różne pomysły, które dopóki mózg wypełnia alkoholowa mgła, dopóty wydają się wyśmienite, za to po wytrzeźwieniu… No właśnie możemy tylko domniemywać, co nowo upieczony cesarz poczuł, gdy następnego ranka minęły dodające wigoru efekty wypitego wina. Prawdopodobnie przerażenie, bo dotarło do niego, że obiecał kohortom pretoriańskim pieniądze, których… nie posiadał. Próby szybkiego zdobycia gotówki spaliły na panewce i rządy Didiusza rozpoczęte 28 marca 193 r. skończyły się jego śmiercią 1 czerwca. Poniesioną z rąk rozżalonych opóźnieniem w wypłacie gwardzistów.

Następne stulecie miało okazać się jednym z najbardziej ponurych okresów imperium rzymskiego, rozdzieranego ciągłymi wojnami domowymi i uzurpacjami. Tych ostatnich najczęściej dopuszczali się właśnie komendanci pretorianów, mordujący władców, których przysięgali ochraniać, po czym sami padający ofiarą szefów własnej ochrony. Ostatni raz kohorty pretoriańskie stanęły do walki w bitwie przy Moście Mulwijskim 28 października 312 r., stoczonej między siłami rywalizujących o tytuł jednowładcy Maksencjusza i Konstantyna Wielkiego. Mająca za sobą prawie trzy i pół wieku formacja postawiła na złego konia, popierając tego pierwszego, i po jego klęsce została za ów wybór ukarana rozwiązaniem. Gwardzistów rozproszono po przygranicznych garnizonach, a zabudowania Castra Praetorium wyburzono, zostawiając tylko tę ich część, która wkomponowana była w mury miejskie. Pretorianie odeszli do historii. Lecz ich legenda żyje do dziś.

Po raz pierwszy w dziejach Rzymu gwardia zadecydowała o tym, kto zasiadł na tronie. A Klaudiusz dobrze przyswoił sobie lekcję, którą stanowiła jego intronizacja i przez całe swe rządy starał się przychylać kohortom pretoriańskim nieba

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



KOMUCHOŻERCA

Wobec Białorusinów

LESZEK ŻEBROWSKI

Dotychczasowa propaganda – wcześniej w PRL komunistyczna, obecnie „liberalno-lewicowa" – prowadziła i prowadzi zajadłą kampanię dezinformacji wobec antykomunistycznych powstańców po 1944 r. Jednym z celów jest Narodowe Zjednoczenie Wojskowe powstałe po rozpadzie Armii Krajowej. Jej podstawowe części składowe: NOW-AK i NSZ-AK według opinii ostatniego dowódcy AK, gen. Leopolda Okulickiego, ze stycznia 1945 r., miały stanowić ponad połowę sił tej organizacji. Jeszcze do niedawna historycy wszelkiej maści starali się pomniejszać stany NZW i jego rolę w powstaniu antykomunistycznym. Obecnie główny nacisk propagandowy idzie w stronę podkreślania rzekomego krwawego nacjonalizmu i pacyfikacji ludności białoruskiej na Podlasiu. Czy faktycznie miało to miejsce czy to tylko metoda „poprawiania" historii?

Polska konspiracja istniała na tym terenie – zarówno AK, jak NOW i NSZ niezależnie od tego, że był to obszar silnie skomunizowany przed wojną, a podczas okupacji niemieckiej wpływy miała tu partyzantka sowiecka, jak też rozwinął się kolaboracyjny ruch pod zarządem niemieckim – samoochowy, czyli samoobrony wiejskie i policja w służbie okupanta. Siatki konspiracyjne organizacji polskich utrzymywały swe wpływy i dostarczały konkretnych informacji wywiadowczych. Stan podobny utrzymał się po wejściu Sowietów latem 1944 r. AK i formacje narodowe starały się docierać do białoruskiej ludności prawosławnej i zwalczać komunistyczną propagandę. W oddziałach partyzanckich narodowców służyli żołnierze prawosławni, co było zaprzeczeniem jadowitej propagandy, że są przez nich mordowani. Nawet wydarzenia z początku 1946 r., gdy brygada NZW dokonała pacyfikacji w kilku wsiach, nie zmieniły tego stanu rzeczy. Co więcej, zachowane dokumenty – rozkazy i ulotki, adresowane do ludności miejscowej – świadczyły o konieczności pojednania, wobec wspólnego wroga. Komenda Powiatu Bielsk Podlaski NZW apelowała, aby ludność białoruska nie wyjeżdżała do Sowietów.

„Starajcie się ułożyć dobre stosunki z polską partyzantką […]. Wszelkie wiadomości z UB, ruchy sowietów i berlingowców podawajcie partyzantce i przestrzegajcie ich". Ponadto apelowali o pomoc w zwalczaniu plagi bandytyzmu i złodziejstwa: „Wszelkie kradzieże meldujcie partyzantom […], złodziei i rabusiów wystrzelamy jak psów, bo oni kradną, a na partyzantów wszystko się zwala!

Meldujcie dla nas wszystko, cokolwiek zauważycie.

W Waszym i naszym interesie leży, abyśmy zgodnie żyli".

[Dowództwo Narodowej Armii Konspiracyjnej 30 maja 1946 r.]

Nasza wiedza musi być zawsze pełna. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kopernik w Olsztynie

SŁAWOMIR KOPER

Wprawdzie na Warmii i Mazurach zamki wznosili głównie Krzyżacy, ale kilka warowni ufundowały też miejscowe władze duchowne, czyli kapituła warmińska. Jedną z nich był zamek w Olsztynie, który pozostał we władaniu biskupów aż do pierwszego rozbioru Polski w 1772 r. Budowla jest tym bardziej cenna, że w dużej mierze zachowała swój średniowieczny charakter, ponieważ bez większych strat przetrwała wszelkie kataklizmy dziejowe.

W imieniu biskupów uznających zwierzchnictwo polskich władców zamkiem zarządzali administratorzy powoływani z grona członków kapituły warmińskiej. Najsłynniejszym z nich był Mikołaj Kopernik, który pełnił tę funkcję w latach 1516–1521. Był to czas znacznego pogorszenia się stosunków Królestwa Polskiego z zakonem krzyżackim, którego wielcy mistrzowie odmawiali składania hołdu i dążyli do odzyskania swoich dawnych posiadłości. Gdy wreszcie wybuchła wojna, to właśnie Kopernik przygotowywał zamek w Olsztynie do obrony przed zbrojnymi mnichami. Inna sprawa, że Krzyżacy raczej nie palili się do ataku na warownię i poprzestali na jednym niemrawym szturmie 26 stycznia 1521 r., po czym wycofali się spod miasta.

Zapewne było to na rękę Kopernikowi, który zawsze czuł się naukowcem, a nie wojownikiem. Dlatego podczas kilkuletniego pobytu na zamku w Olsztynie poświęcał dużo czasu na realizację własnych zainteresowań. Pisał tutaj swoją słynną rozprawę o monecie, udowadniając, że gorszy pieniądz zawsze wyprze z rynku lepszą walutę. Dokonywał też obserwacji astronomicznych, czego pozostałością jest wykonana osobiście przez astronoma tablica astronomiczna na ścianie krużganka. Do dzisiaj zachowały się również dwa pomieszczenia, w których mieszkał astronom, które w jego czasach otrzymały piękne kryształowe sklepienia. Komnaty były jednak znacznie niższe niż obecnie, a swoje aktualne rozmiary zawdzięczają obniżeniu podłogi, co nastąpiło już w XX stuleciu. Warto przy okazji też zauważyć, że Kopernik mieszkał na zamku samotnie, gdyż dopiero kilka lat później, już we Fromborku, w jego życiu pojawiła się gospodyni i kochanka Anna Szyling. A chociaż był osobą duchowną i napominał go biskup, to nie potrafił oddalić od siebie Anny.

Z okazji 650-lecia powstania Olsztyna przed zamkiem wzniesiono niewielki pomnik astronoma. Zwraca uwagę jego nos, który jest wyślizgany od dotyku tysięcy dłoni. Jego potarcie, a nawet jego uchwycenie palcami, ma bowiem gwarantować szczęście i przesąd ten jest w Olsztynie traktowany z należytą powagą. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



FOT. ADOBE STOCK

UCIEKAJĄ Z POWROTEM

W roku 2025 Berlin odnotował gwałtowny wzrost brutalnych starć w ramach rywalizacji między gangami – alarmuje tamtejsza policja. Grupy przestępcze do wykonywania zleconych przez siebie zadań coraz częściej sprowadzają z zagranicy cudzoziemców. Przybywają oni do Niemiec na krótko, ponieważ po zrobieniu tego, do czego zostali wynajęci, opuszczają ten kraj. Komendant berlińskiej policji postuluje zaostrzenie przepisów dotyczących nadzoru nad przestępczością zorganizowaną.

POLICJANT I ŻABA

Policja w Heber City (stan Utah) testuje program AI, który automatycznie sporządza raporty na podstawie nagrań z kamer nasobnych. Mimo tego, że stróże prawa zaoszczędzają na czasie, ujawniły się wady systemu. W jednym z raportów AI „zrelacjonowała", że policjant... zamienił się w żabę. Okazało się, że podczas nagrywania w tle leciał film „Księżniczka i żaba". Oprogramowanie błędnie zinterpretowało ten fakt jako część zdarzenia, które było rejestrowane.

WOŁOWINA W SEJFIE

Na dnie Oceanu Indyjskiego – ok. 800 km na północ od brzegów Australii – znaleziono sejf. Mężczyzna, który wydobył skrzynkę na ląd, zaczął szukać jej właściciela, ale bezskutecznie. Następnie udało mu się otworzyć sejf, z którego wydobywał się intensywny zapach. Znalazca miał nadzieję na to, że w skrzynce znajduje się coś bardzo wartościowego. Tymczasem zawierała ona tylko przeterminowaną i cuchnącą paczkę suszonej wołowiny.

WC Z PUŁAPKĄ

Shuibei International Center podjęło w nietypowy sposób walkę z paleniem w WC. W tym chińskim wielofunkcyjnym kompleksie budowlanym na klientów czeka ostrzeżenie: gdy w toaletach czujniki wykrywają dym, wykonane z matowego szkła drzwi stają się przezroczyste, wystawiając palacza na widok publiczny. Jeśli delikwent jest jednocześnie w trakcie czynności fizjologicznej, to sytuacja ta staje się dla niego szczególnie zawstydzająca.

MAŁPY W MIEŚCIE

Mieszkańców St. Louis (stan Missouri) ogarnęła panika w związku z doniesieniami o krążących po mieście małpach. Nie wiadomo, skąd się tam te zwierzęta wzięły i ile ich jest. Władze ostrzegają, żeby do małp nie podchodzić i nie próbować ich łapać, ponieważ są nieprzewidywalne i agresywne. Poszukiwanie zwierząt utrudnia rozprzestrzenianie w Internecie fałszywych wiadomości na temat miejsca ich pobytu, generowanych przez AI. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Co z tym złotym wiekiem?

Donald Trump osiągnął swój cel. Oczy całego świata były w ubiegłym tygodniu zwrócone na jego wystąpienie w Davos. Dzień wcześniej amerykański przywódca próbował przekonywać, jak wspaniale po roku jego rządów radzi sobie amerykańska gospodarka.

Wredne, brzydkie, czepialskie media znów zwróciły jednak uwagę na fakty i statystyki. Nie wynika z nich zaś wcale, że pierwszego dnia urzędowania Trumpa rzeczywiście zaczął się obiecany przez wielkiego, wspaniałego prezydenta „złoty wiek Ameryki".

Trump podpisał 229 rozporządzeń wykonawczych. To dużo. Inflacja pozostaje jednak powyżej celu wyznaczonego przez Fed (w grudniu 2025 r. wynosiła 2,7 proc. w skali roku). Wzrosła wartość eksportu, a zmalała importu, ale stopa bezrobocia wciąż jest wysoka. W grudniu spadła co prawda do 4,4 proc. z 4,5 proc. w listopadzie, ale i tak rok 2025 trzeba uznać za najgorszy dla rynku pracy od 2020. Wzrost gospodarczy jest dość wysoki, ale porównywalny z wynikami z pierwszego roku rządów Bidena. Atakując sojuszników, Trump sprowokował zaś wyprzedaż obligacji...

Symboliczną oceną pierwszego roku urzędowania może być wycena jego memecoina. 47. prezydent USA zapisał się bowiem w historii jako pierwszy amerykański przywódca, który wyemitował własną kryptowalutę. Token $TRUMP był masowo kupowany przez sympatyków obecnego gospodarza Białego Domu. Jego wartość skoczyła zatem z 1,20 dol. do rekordowego poziomu 75,35 dol. W ciągu 12 miesięcy od inauguracji wycena kryptowaluty Donalda Trumpa spadła o ponad 90 proc. do 4,89 dol. Co dalej? Czeka nas kolejny ciekawy rok.

eprasa.pl 5a8109f443



Byli trumpiści kontra



Michał Krupa

Jedność ruchu MAGA jest zagrożona. Jeśli zwycięży frakcja syjonistów/interwencjonistów, to Trump może powrócić do polityki rodem z epoki George'a W. Busha, alienując całkowicie swoich lojalnych zwolenników. Jeśli wygrają realiści, to Ameryka może zrzucić z siebie imperialne szaty, zmieniając kompletnie dotychczasowy układ sojuszy

W pierwszą rocznicę inauguracji drugiej kadencji prezydenckiej Donalda Trumpa ruch Make America Great Again (MAGA) znalazł się w samym środku brutalnego konfliktu wewnętrznego – wojny domowej, która nie toczy się za pomocą broni, lecz podcastów, salw w mediach społecznościowych i potyczek politycznych. Podział ten przeciwstawia rosnącą frakcję realistów spod znaku America First przeciwko mającym powiązania z amerykańskimi neokonserwatystami i ich sposobem myślenia donatorami, dziennikarzami, a nawet członkami administracji, a stawką jest pełna kontrola nad polityką zagraniczną Trumpa. W centrum tego rozłamu stoją takie postacie jak kongresmen z Kentucky, Thomas Massie, którego pryncypialny antyinterwencjonizm podważa jastrzębie instynkty takich osób jak sekretarz stanu Marco Rubio, oraz influencerzy pokroju Tuckera Carlsona, którego podcast stał się tubą nastrojów nacjonalistycznych, przeciwnych imperializmowi. Tymczasem była już kongresmenka Marjorie Taylor Greene i były strateg polityczny Trumpa z pierwszej kadencji, Steve Bannon, wykorzystują swój autorytet moralny w walce z tym, co postrzegają jako stawiające interesy Izraela ponad interesy USA lobby, uosabiane już nie tylko przez słynny ośrodek AIPAC, lecz także przez takich radykalnych syjonistów jak Mark Levin – wszyscy rywalizują o wpływ na decyzje prezydenta dotyczące wojen, sojuszy i globalnej roli Ameryki.

WYRAŹNY PODZIAŁ

Korzenie tej wojny domowej sięgają transformacji Partii Republikańskiej pod rządami Trumpa. To, co zaczęło się jako populistyczny bunt przeciwko establishmentowi, przekształciło się w pole bitwy, na którym realizm w polityce zagranicznej ściera się z interwencjonizmem. Widoczny jest wyraźny podział między „starą gwardią", proizraelskimi konser-

eprasa.pl 5a8109f443



Thomas Massie rozmawia z mediami podczas głosowania Izby Reprezentantów USA nad ujawnieniem akt dotyczących Jeffreya Epsteina, USA, 18 listopada 2025 r.

FOT. ANNABELLE GORDON/REUTERS/FORUM

Trump

watystami, a nową prawicą – młodszymi, populistycznymi wyborcami sceptycznymi wobec niekończących się wojen i międzynarodowych uwikłań.

Stara gwardia, reprezentowana przez takie postacie jak Levin, trzyma się reaganowskich frazesów o twardej polityce zagranicznej, bezwarunkowym poparciu dla Izraela i konfrontacji z przeciwnikami takimi jak Chiny, Iran czy Rosja. Nowa prawica natomiast stawia na sprawy wewnętrzne, postrzegając pomoc zagraniczną i militarne awantury jako drenaż amerykańskich zasobów.

Kongresmen Thomas Massie uosabia etos nowej prawicy. Ten libertariańsko nastawiony republikanin z Kentucky konsekwentnie sprzeciwia się partyjnej linii w polityce zagranicznej – głosował przeciwko pomocy dla Izraela i Ukrainy oraz krytykował zaangażowanie USA w konflikty zagraniczne, w tym ostatnią „eskapadę" do Wenezueli. Jego postawa ściągnęła na niego ostrą krytykę, oskarżają go o sprzyjanie wrogom Ameryki przez sprzeciw wobec rozszerzania uprawnień wojennych egzekutywy. Oskarżenia padają również ze strony samego Trumpa, którego lista obelg przeciwko Massiemu jest zbyt długa, by ją przytoczyć. W zbliżających się prawyborach republikańskich w Kentucky Massie ma przeciwko sobie kandydata popieranego przez Trumpa i sponsorowanego przez ultrasyjonistycznych miliarderów takich jak Miriam Adelson i Paul Singer.

Stanowisko Massiego trafia jednak do rosnącej grupy wyborców MAGA, którzy postrzegają niekończące się wojny jako zdradę obietnicy idei America First, a obecne sondaże ewidentnie wskazują na jego wygraną w prawyborach w swoim stanie. W wywiadach i mediach społecznościowych Massie podkreśla, że amerykańscy podatnicy nie powinni finansować ofensywnych wojen – co wyraził, m.in. sprzeciwiając się działaniom Izraela wobec Iranu i mówiąc, że jeśli Izrael ma środki na rozpoczynanie wojen ofensywnych, to nie potrzebuje pieniędzy amerykańskich podatników na obronę.

Jest jednym z niewielu amerykańskich kongresmenów, który może się pochwalić tym, że nie wziął „ani centa" od lobby izraelskiego. Massie stał się swoistym moralnym kompasem dla tych, którzy są zmęczeni neokonserwatywnymi wpływami, stawiając odpowiedzialność fiskalną i pokojową, opartą na równowadze interesów politykę zagraniczną jako probierz partii republikańskiej.

Aktywność Massiego wykracza poza politykę zagraniczną i obejmuje także walkę o przejrzystość w kraju, co dodatkowo zaostrza napięcia w MAGA. Przykładem jest jego nieustępliwa kampania na rzecz ustawy o ujawnieniu akt Epsteina, współtworzonej przez Massiego, która nakazywała pełne ujawnienie federalnych dokumentów dotyczących skandalu eksploatacji seksualnej kobiet z udziałem miliardera Jeffreya Epsteina. Mimo początkowego gwałtownego sprzeciwu Trumpa, który nazywał inicjatywę „mistyfikacją demokratów" i naciskał na republikanów, by ją zablokowali, prezydent ostatecznie podpisał ustawę w listopadzie 2025 r. po jej łatwym przejściu przez Kongres. Ta wolta nie uspokoiła jednak emocji: Trump od lat przyjaźnił się z Epsteinem, a jego opór wywołał oskarżenia o ochronę wpływowych przyjaciół. Massie publicznie zarzucił Trumpowi, że obarcza go winą za ustawę, jednocześnie broniąc takich postaci jak Bill Clinton i innych „niewinnych" gości słynnej wyspy Epsteina. Częściowe, wybiórcze ujawnienie dokumentów w grudniu 2025 r. spotkało się z ostrą krytyką Massiego, który oskarżył administrację o „lekceważenie prawa" przez pomijanie wymaganych materiałów i łamanie ducha ustawy. Świąteczna obelga Trumpa, który nazwał Massiego „szumowiną", tylko zaostrzyła konflikt. Wielu wyborców MAGA poczuło się zdradzonych, widząc w niepełnych ujawnieniach ochronę elit kosztem sprawiedliwości dla ofiar. Marjorie Taylor Greene powtórzyła oburzenie Massiego, mówiąc o „sprzeczności z MAGA" i ostrzegając, że zwolennicy są „wściekli i odchodzą". Ten epizod pokazuje, jak pryncypialne podejście Massiego do przejrzystości zderza się z instynktami Trumpa, który wymaga bezwzględnej lojalności, nawet kosztem jego własnych obietnic wyborczych.

GŁOS LUDU

Podcast Tuckera Carlsona znacząco wzmocnił głos tej frakcji, przekształcając go w siłę kulturową w obrębie MAGA. Od odejścia z Fox News Carlson prowadził audycje ostro krytykujące politykę zagraniczną USA, w tym izraelskie uderzenia na Iran i szersze uwikłania na Bliskim Wschodzie. W jednym z odcinków powiedział o potencjalnej wojnie z Iranem: „Zaangażowanie się w to byłoby pokazaniem środkowego palca milionom wyborców, którzy oddali swoje głosy z nadzieją na stworzenie rządu, który wreszcie postawi Stany Zjednoczone na pierwszym miejscu".

Na jego platformie gościł m.in. Steve Bannon, który ostrzegał, że wojny takie jak z Iranem mogą „zniszczyć MAGA na zawsze". Zapraszając krytyków globalizmu i „głębokiego państwa", Carlson przesunął okno Overtona, czyniąc postawy antywojenne mainstreamem w prawicowych kręgach. Jego konflikt z prowojennymi komentatorami, w tym Levinem, pokazuje rolę podcastu w mobilizowaniu oddolnego sprzeciwu wobec wojennej polityki i w wywieraniu presji na bazę elektoralną Trumpa, by domagała się powrotu do polityki prawdziwie proamerykańskiej. Zapewne nie było dziełem przypadku, że 16 stycznia 2026 r. Trump spotkał się z Carlsonem w Białym Domu i pozwolił się publicznie sfotografować. Czyżby zaczęło docierać do prezydenta, że jego wyborcy

eprasa.pl 5a8109f443

bardziej są zainteresowani ujawnieniem akt Epsteina niż przejęciem Grenlandii?

Marjorie Taylor Greene i Steve Bannon dodają tej walce wymiar moralny, przedstawiając się jako strażnicy duszy MAGA przed – ich zdaniem – deprawującymi wpływami waszyngtońskich podżegaczy wojennych, którzy wkupili się, czasami dosłownie, w łaski Trumpa. Greene, niegdyś jedna z najwierniejszych sojuszniczek Trumpa w Kongresie, wyraźnie pokazuje swoje stanowisko w kwestiach pomocy dla Izraela i Ukrainy, nazywając sytuację w Gazie „ludobójstwem" i głosując za odebraniem finansowania. Wyraża sprzeciw wobec decyzji Trumpa, takich jak kontynuacja pomocy dla Ukrainy.

Bannon, przez swój podcast „War Room", podąża podobnym torem, krytykując prowojenną propagandę i sprzymierzając się z Carlsonem przeciwko postaciom takim jak Levin. Wspólnie tworzą zwarty front przeciwko infiltratorom pchającym kraj ku niekończącym się wojnom, które służą przemysłowi zbrojeniowemu i zagranicznym lobby kosztem zwykłych Amerykanów. Levin odpowiada, atakując Massiego, Greene i innych jako „izolacjonistów", którzy podkopują konstytucję i sprzyjają wrogom. Ta retoryka obnaża moralną przepaść: Greene i Bannon definiują patriotyzm jako stawianie Ameryki na pierwszym miejscu, podczas gdy Levin widzi potencjał w globalnej dominacji i, rzecz jasna, niekończącym się subsydiowaniu „jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie".

Walka o wpływ na politykę Trumpa jest zacięta. Po wyborach w 2024 r. Trump próbuje balansować między frakcjami, ale pęknięcia są widoczne w decyzjach takich jak cła nakładane na Europę czy rozważania o przejęciu Grenlandii, które zrażają realistów. Jastrzębie naciskają na twardą linię wobec Iranu i bezwarunkowe wsparcie Izraela, podczas gdy blok Carlson–Bannon–Massie–Greene opowiada się za powściągliwością.

Dodatkową komplikacją jest wiceprezydent J.D. Vance, którego realizm wcześniej zbiegał się z nurtem antyinterwencjonistycznym, lecz obecnie zderza się z żądaniami Trumpa wobec Europy. W kwietniu 2025 r. Vance stwierdził, że wiele państw europejskich miało rację, sprzeciwiając się inwazji na Irak, i że większa niezależność Europy mogła uchronić świat przed strategiczną katastrofą. Podkreślał, że nie leży w interesie ani Europy, ani USA, by Europejczycy bezrefleksyjnie robili to, czego chce Waszyngton. Słowa te kontrastują jednak z obecną polityką Trumpa żądaniami oddania Grenlandii czy nakładaniem „nadmiernych" ceł, których Vance mimo wszystko bronił.

Jeśli „stara gwardia" odzyska kontrolę, jeśli projekcja siły znów stanie się synonimem „silnej Ameryki" – to wtedy ruch MAGA ryzykuje rozpad

Ta ironia pokazuje sedno wojny domowej: realizm MAGA bywa selektywny i często podporządkowany kaprysom Trumpa, co rodzi napięcia mogące rozbić ruch. Ponadto Vance zapewne doskonale zdaje sobie sprawę, że jego szanse na zostanie gospodarzem Białego Domu w 2028 r. w dużej mierze zależą od jego lojalności wobec Trumpa. Zdaje się, że w najbardziej newralgicznych kwestiach Vance woli milczeć, niż jednoznacznie wyrażać poparcie, lub, co najwyżej, jak w przypadku rajdu na Wenezuelę, próbować wszelkimi sposobami umieszczać działania Trumpa w optyce America First.

W podobnej sytuacji jest zresztą szefowa wywiadu narodowego (DNI) Tulsi Gabbard, która choć dołączyła do ruchu MAGA „z lewej" strony, to jest przeciwniczką polityki wojennej. Amerykańskie media niedawno donosiły, że Gabbard była marginalizowana przy podejmowaniu decyzji związanych z uderzeniami na Iran i Wenezuelę, ale ona sama woli trwać w administracji, próbując zakulisowo wpływać na decyzje prezydenta wszelkimi możliwymi sposobami i jednocześnie publicznie sygnalizować w swoich mediach społecznościowych, że nadal jest zwolenniczką racjonalnej polityki zagranicznej.

W tym kontekście nie dziwią słowa Roberta Barnesa, znanego amerykańskiego prawnika i komentatora politycznego, który niedawno skrytykował swoiste jedynowładztwo szefa CIA Johna Ratcliffe'a, który rangą formalnie znajduje się pod Gabbard, a który zdaje się, że przejął funkcje głównego dostarczyciela danych wywiadowczych na biurko Trumpa: „CIA za czasów Ratcliffe'a ciągle wciska Trumpowi fejkowe informacje wywiadowcze, a on łyka je jak pelikan. Fałszywe dane o irańskiej bombie atomowej, nowym »przywództwie« Syrii, wenezuelskiej ropie, protestach w Iranie i rzekomo »upadającej« gospodarce Rosji – i w efekcie Trump podejmuje naprawdę głupie i niebezpieczne decyzje".

TEST CORAZ BLIŻEJ

Podział ten odzwierciedla szersze zmiany w konserwatyzmie amerykańskim. Neokonserwatyzm „starej gwardii", wyrosły z zimnej wojny, ożywiony konfliktami po zamachach terrorystycznych z 11 września 2001 r., traci rację bytu w posttrumpowskiej Partii Republikańskiej, gdzie wyborcy – jeśli jeszcze nie wszyscy politycy partii i sam prezydent – coraz częściej i głośniej żądają, aby ich rząd stawiał na pierwszym miejscu samotną i bezrobotną matkę trojga dzieci z postprzemysłowego miasta w Ohio zamiast zachcianki rządu izraelskiego czy brukselskich klakierów, do niedawna żyjących w iluzji trwałości „atlantyckiego świata".

Jednocześnie wojna domowa grozi rozbiciem jedności MAGA. Jeśli zwycięży frakcja syjonistów/interwencjonistów, to Trump może powrócić do polityki rodem z epoki George'a W. Busha, alienując całkowicie swoich lojalnych zwolenników. Jeśli wygrają realiści, Ameryka może zrzucić z siebie imperialne szaty, zmieniając kompletnie dotychczasowy układ sojuszy.

Ale zegar tyka, a wybory śródkadencyjne do Kongresu, pierwszy prawdziwy test polityki Trumpa, już w listopadzie. Massie, Carlson, Bannon i Greene mają jasny przekaz: że prawdziwa wielkość Ameryki leży „w powrocie do domu", w budowaniu potęgi wewnątrz, a nie w narzucaniu się jej na pustyniach i stepach, i dopiero wtedy MAGA może stać się trwałą rewolucją, która na dekady zdefiniuje prawicę. Jeśli jednak „stara gwardia" odzyska kontrolę, jeśli projekcja siły znów stanie się synonimem „silnej Ameryki" – to wtedy ruch ryzykuje rozpad: utratę młodych, antywojennych wyborców, alienację i odpływ tych, którzy głosowali na Trumpa właśnie po to, by nie było więcej Iraku, Afganistanu czy Ukrainy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

Katastrofa Kijowian



Maciej Pieczyński

Tak źle w ukraińskiej stolicy nie było od początku wojny. Mer Kijowa wzywa mieszkańców, by w miarę możliwości wyjeżdżali z miasta. Jak ci, którzy wciąż tego nie zrobili, radzą sobie bez prądu, wody i ogrzewania w środku wyjątkowo srogiej zimy?

To najgorsza zima w historii Kijowa. Wielu mieszkańców posłuchało apelu Witalija Kliczki. Przez pierwsze trzy tygodnie nowego roku Kijów opuściło ok. 600 tys. osób. Jeszcze kilka miesięcy temu w stolicy mieszkało ok. 3,6 mln osób. Wciąż zatem większość Kijowian zostaje w swoich często pozbawionych prądu, wody i ogrzewania domach.

20 stycznia Rosjanie kolejny raz przypuścili zmasowany atak z powietrza na Kijów. Ponad 5,5 tys. wielopiętrowych budynków mieszkalnych zostało pozbawionych ogrzewania. Prawie cała lewobrzeżna (czyli wschodnia, poza centrum) część miasta została odcięta od dostaw wody. Na prawym brzegu Dniepru ciśnienie wody jest obniżone. Problemy nie ominęły nawet budynków rządowych czy administracji państwowej. Wody brakuje nawet w budynku Rady Najwyższej.

CORAZ BLIŻEJ KATASTROFY

Sytuacja w stolicy Ukrainy jest krytyczna. „Kijów, niestety, jest coraz bliżej katastrofy energetycznej. Stabilnego ogrzewania nie będzie w mieście jeszcze przynajmniej przez tydzień" – przyznał na antenie telewizji internetowej Novyny Live ekspert Ukraińskiego Instytutu Przyszłości Stanisław Ihnatjew. W zaopatrującej Kijów, największej na Ukrainie elektrociepłowni po atakach rosyjskich przestały działać dwa z czterech bloków. Sytuację dodatkowo pogarsza utrzymująca się od dłuższego czasu minusowa temperatura.

Kateryna Dysa, historyk z Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, podobnie jak wielu innych Kijowian swoją ciężką sytuację relacjonuje w mediach społecznościowych. Na jej przykładzie widać, że na skutki rosyjskich ostrzałów nałożyła się też wyjątkowo sroga zima. W bloku, w którym mieszka Dysa, wody nie ma i – jak zapowiadają pracownicy służb komunalnych – nie będzie do końca mrozów. Rury wodociągowe zamarzły. „Ja wyjadę z Kijowa. Ale co mają zrobić ci, którzy nie mają dokąd jechać? Gdzie mają się myć? Gdzie prać? Nie mówiąc już o innych codziennych potrzebach" – zastanawia się Kijowianka w swoim poście na Facebooku. Sytuacja w jej bloku w ostatnim czasie tylko się pogarsza. Obszerny wpis (z początku ubiegłego tygodnia) na ten temat Kateryny Dysy (w tłumaczeniu na polski) upublicznił wiceszef polskiego Centrum Mieroszewskiego dr Łukasz Adamski, żeby pokazać, jak wygląda życie w Kijowie. „Większość mieszkań jest częściowo albo całkowicie pozbawiona ogrzewania. W konsekwencji zamarzły rury z wodą. Od ośmiu dni nie ma wody. W związku z tym nie można korzystać z kanalizacji (na niższych piętrach woda kanalizacyjna zaczęła już cofać się do zlewów, toalet i wanien)" – czytamy w treści wpisu. Kilka dni przed publikacją tego wpisu w jednym z mieszkań w bloku doszło do pożaru. Następnie w tym samym mieszkaniu pękł grzejnik. W efekcie zakręcono pion, który wcześniej normalnie grzał. „Administracja reaguje bardzo ospale" – relacjonuje Kateryna Dysa. „Wymieniono zawory w każdym pionie (wcześniej można było wyłączyć ogrzewanie tylko jednocześnie w całym budynku)". Gdy mieszkańcy zapytali, kiedy w ich kranach znów popłynie woda, usłyszeli, że dopiero wiosną. Wciąż (w momencie publikacji wpisu) nie ruszyły nawet prace remontowe. „W tym czasie mieszkańcy ponad 90 mieszkań z 16 pięter mniej więcej się poznali i w pewnym stopniu sami się zorganizowali. W skali całego problemu niewiele to jednak zmieniło. Ci, którzy mają krewnych w Kijowie, chodzą do nich choćby po to, by umyć głowę i się wykąpać. Toaleta – wiadro albo najbliższe centrum handlowe (jeśli zdąży się do niego dojść)" – pisze Dysa.

GRAFIK WYŁĄCZEŃ

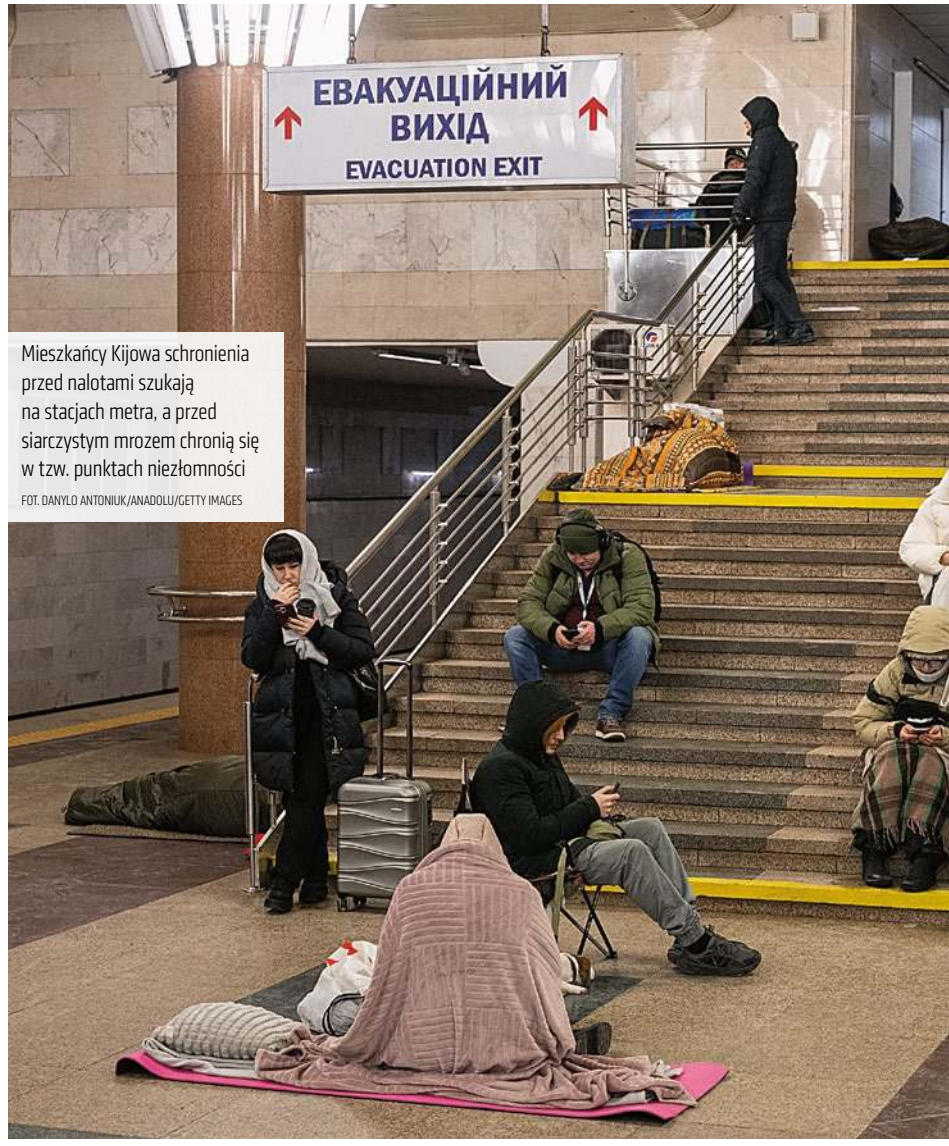
Tylko niewiele lepiej żyje się pod Kijowem. Dziennikarka Wiktoria Skuba mieszka we wsi Sofijiwśka Borszczahiwka na prawym brzegu Dniepru, na zachód od stolicy. A dokładniej: w trzypiętrowym bloku. Nie ma centralnego ogrzewania. Każde z mieszkań wyposażone jest w piec gazowy. Ogrzewanie i piec gazowy są zależne od tego, czy jest prąd. A z tym bywa różnie. – Grafik wyłączeń jest taki, że mniej więcej przez trzy–cztery godziny dziennie jest prąd, po czym przez bite siedem godzin prądu może nie być – mówi „Do Rzeczy" Wiktoria Skuba. Dodaje przy tym, że to i tak optymistyczna wersja, przy założeniu, że wszystko działa, jak należy. Jeśli dochodzi do awarii, grafik wyłączeń przestaje obowiązywać. – Zimna woda przeważnie jest, ale zaczyna jej brakować, gdy Kijów jest ostrzeliwany. Podczas

eprasa.pl 5a8109f443

nalotów wody czasem nie ma przez cały dzień – mówi Wiktoria. Przyznaje, że w jej miejscowości i tak sytuacja jest lepsza niż w samej stolicy, szczególnie na jej lewym brzegu (czyli poza centrum, które położone jest na prawym brzegu Dniepru).

Wiktoria opowiada też o tym, co przeżywają jej znajomi żyjący w stolicy. – Po ostrzałach 9 stycznia u moich znajomych prądu, ogrzewania, a czasem i wody nie było po kilka dób z rzędu, zależnie od dzielnicy. U wielu temperatura w mieszkaniach wciąż [kilkanaście dni po ostrzałach – przyp. red.] wynosi po 11–14 st. C. Pracownicy służb komunalnych byli zmuszeni na mrozie zlewać wodę z systemu centralnego ogrzewania, a tam, gdzie nie zdążyli tego zrobić w odpowiednim czasie, doszło do awarii – mówi „Do Rzeczy".

Kijów przez tydzień od bombardowania 9 stycznia naprawiał wodociągi. W nocy z 20 na 21 stycznia doszło do kolejnego zmasowanego ostrzału. I znów zaczęło brakować wody, prądu i ciepła. Metro musiało zmienić rozkład jazdy, zwiększając czasowe odstępy między pociągami. Również z powodu braku prądu przestawały kursować tramwaje i trolejbusy. Władze przedłużyły ferie uczniom i studentom, aby mogli na dłużej wyjechać z miasta. Wiktoria Skuba opisuje też symptomatyczną tendencję: – Znajomi, którzy mają abonament na siłownię, chodzą tam ogrzać się i umyć.



Mieszkańcy Kijowa schronienia przed nalotami szukają na stacjach metra, a przed siarczystym mrozem chronią się w tzw. punktach niezłomności

FOT. DANYLO ANTONIUK/ANADOLU/GETTY IMAGES

GDY AGREGATY TRACĄ SENS

Przez lata wojny Kijowianie dostosowali się do przerw w dostawach prądu, dzięki m.in. agregatom prądotwórczym. Jednak gdy energii elektrycznej brakuje przez kilka dni z rzędu, a cała miejska infrastruktura przestaje działać, wszelkiego rodzaju improwizowane rozwiązania tracą sens.

Historie Kijowian, zmagających się z katastrofą energetyczną, przytacza agencja Associated Press. Małżeństwo 43-letniej Anny i 39-letniego Mychajła w dzień ogrzewa mieszkanie kuchenką gazową. Nocą, wraz z pięcioletnią córką Marią, śpią w jednym łóżku, opatuleni kilkoma kołdrami. W przedszkolu Marii nie ma ogrzewania. Dlatego rodzice zabierają ją ze sobą do pracy, gdzie akurat kaloryfery działają. 76-letnia Zinaida Hłyha grzeje wodę na kuchence gazowej, a potem wlewa ją do plastikowych butelek, które zawija w pościel. W rozmowie z AP zapewnia, że nie chce się nad sobą użalać, bo żołnierzom na froncie na pewno jest jeszcze gorzej.

Jak sobie radzić w sytuacji braku ogrzewania, prądu czy wody? Wiadomo przecież, że nie wszyscy Kijowianie są w stanie ogrzać się, załatwić potrzeby fizjologiczne czy wykąpać w centrum handlowym czy siłowni, które zresztą również nie zawsze mają prąd i wodę. Rozwiązania są dość oczywiste, ale absolutnie niedoskonałe. Kijowianie śpią, opatuleni w ciepłe ubrania i pierzyny. Ogrzewają się biokominkami (czyli kominkami, w których spala się bioetanol – płyn na bazie alkoholu), które ostatnio zyskały pewną popularność. Eksperci za pośrednictwem mediów doradzają mieszkańcom zakup zasłon termoizolacyjnych. Zwykłe zasłonięte żaluzje zmniejszają utratę ciepła o 15 proc. Zasłony termoizolacyjne – o 30 proc. Ponadto Państwowa Służba do spraw Sytuacji Nadzwyczajnych rozstawiła na terenie miasta 47 namiotów, które funkcjonują 24 godziny na dobę. Światło i ciepło zapewniają tam agregaty prą-

Nie wszyscy Kijowianie są w stanie ogrzać się, załatwić potrzeby fizjologiczne czy wykąpać w centrum handlowym czy siłowni

eprasa.pl 5a8109f443



dotwórcze. Można podładować telefony i komputery, napić się herbaty czy podłączyć się do pracy lub nauki zdalnej. Za darmo można podładować telefon również w większych supermarketach. Przy dworcu kolejowym natomiast wydawane są posiłki dla potrzebujących.

„W moim mieszkaniu nie ma ani ogrzewania, ani prądu, ani ciepłej wody. Na ulicy jest 13 stopni poniżej zera, w mieszkaniu 13 stopni powyżej zera. Jedyne źródło oświetlenia to dekoracyjne lampiony ze świeczkami, a jedynym źródłem ciepła jest moja gorąca krew" – tak na Instagramie swoje osobiste doświadczenie życia w Kijowie opisuje znana ukraińska aktorka Ołesia Romanowa. Do postu dodała zdjęcie, na którym siedzi ciepło ubrana w pokoju przy świeczkach.

Trudną sytuację swoich rodaków w specyficzny sposób skomentowała wielka gwiazda ukraińskiego popu Tina Karol. Na swoim koncie na TikToku zaśpiewała piosenkę ze słowami: „Nie mamy światła, ale mamy ciepło, nie mamy ciepła, ale mamy dobro. Nie mamy wody, ale za to mamy siebie. Ja mam ciebie, ty masz mnie. Jesteśmy razem, jesteśmy rodziną". Celem piosenkarki było dodanie otuchy rodakom, którzy jednak tego gestu nie docenili. Na Tinę Karol spadła lawina krytyki. „Żartujesz sobie?! Powiedz to żołnierzom! Oczywiście, kiedy masz dużo pieniędzy, możesz wyjechać do ciepłego kraju i wywieźć tam swojego synka" – napisał jeden z komentujących. Karol niedługo po wybuchu wojny przeprowadziła się do Polski. Później jednak wróciła na Ukrainę. Obecnie mieszka w dwupiętrowej willi pod Kijowem. Spora część internautów odebrała piosenkę jako rodzaj kpiny ze strony celebrytki, której niczego nie brakuje. Sam utwór został nagrany już dwa lata temu. Jego autorem jest Danyło Horodecki. Przypomniała o tym sama Tina Karol, odpowiadając na krytyczne komentarze. „Też mam agregat prądotwórczy, na który wydaję własne pieniądze. Wychodzi drogo, ale tak samo jak inni walczę z kryzysem […]. Zimno i nieprzyjemnie" – napisała piosenkarka na Telegramie. Stanowczo też odrzuciła przejawiające się w licznych komentarzach zarzuty, jakoby działała na zamówienie ukraińskich władz. Nie od dziś wiadomo, że artystka ma dobre relacje zarówno z Wołodymyrem, jak i z Ołeną Zełenskimi. Uchodzi za przyjaciółkę prezydenta i pierwszej damy. Stąd sugestie, że zaśpiewała dziwnie optymistyczną piosenkę na zlecenie władz.

To symptomatyczne, że właśnie takie oskarżenia padają ze strony internautów. Za brak prądu czy ogrzewania Ukraińcy winą obarczają (co oczywiste) Rosjan, ale już odpowiedzialnością – także władze w Kijowie. Frustracja wylewa się również pod adresem rządzących. To na nich przecież spoczywa obowiązek, by zrobić wszystko, aby zminimalizować odczuwalne przez mieszkańców skutki ostrzałów. Tymczasem niemalże codziennie media nad Dnieprem informują o kolejnych przypadkach korupcji na szczytach władz.

Do takiego stanu rzeczy nawiązał jeden z krytyków Tiny Karol, z gorzką ironią parafrazując słowa piosenki, wykonanej przez gwiazdę: „Nie mamy światła, bo parlamentarzyści ukradli kasę! Podnieśli akcyzę, zamknęli granicę… Nie mamy wody, nie możemy w kiblu zmyć gówna… Ale póki rozrywkę zapewniają nam takie »śpiewaczki«, rozumiem, że to jeszcze nie wszystko…".

Tina Karol swoich wirtualnych krytyków początkowo nazwała „botami". Później jednak posypała głowę popiołem i nagrała przeprosiny, zapewniając, że chciała jedynie podtrzymać rodaków na duchu. Nie wszystkich jednak przekonała. Na filmiku piosenkarka ubrana była w ciepły sweter. Część internautów uznała, że to element strategii PR-owskiej. Ich zdaniem Tina Karol chciała pokazać, że marznie tak samo, jak zwykli Ukraińcy, co biorąc pod uwagę jej status majątkowy, jest raczej wątpliwe.

TAŃCE NA MROZIE

Kijowianie znajdują też sposoby, aby na chwilę zapomnieć o tej trudnej sytuacji. Niedawno kanał Realnyj Kyjiw na Telegramie opublikował nagrania z dyskoteki pod gołym niebem, zorganizowanej przez mieszkańców jednej z dzielnic. Dziesiątki osób tańczyły na mrozie w takt głośnej muzyki – ukraińskiej i anglojęzycznej. Jako parkiet posłużyło podwórko między wielorodzinnymi blokami mieszkalnymi. Inaczej niż w przypadku Tiny Karol, śpiewającej optymistyczną piosenkę o blackoucie, ta spontaniczna dyskoteka nie wywołała masowej krytyki. Nie interweniowała też policja, choć w warunkach stanu wojennego (a być może i godziny policyjnej – nie wiadomo, czy imprezowicze ją naruszyli) było to wydarzenie nielegalne. Trudno się jednak dziwić Kijowianom – zarówno tym, którzy postanowili się zabawić, jak i tym, którym to nie przeszkadza. Podwórko na blokowisku to nie to samo co drogi kurort narciarski w Bukowelu… A poza wszystkim taniec pod gołym niebem to nie tylko rozrywka, lecz także sposób na rozgrzanie się w warunkach braku ogrzewania. Co zresztą znamienne – nawet kremlowskie media nie uczyniły z podwórkowej imprezy powodu do krytyki pod adresem swojego wroga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

Chińczyków trzymają się mocniej



Jacek Przybylski

Kolejne wariactwa Donalda Trumpa ze spokojem obserwuje Xi Jinping. Do Chin w interesach zmierzają bowiem przedstawiciele nie tylko krajów azjatyckich, lecz także czołowych państw Unii Europejskiej, a także Kanady czy Wielkiej Brytanii

Chiński produkt krajowy brutto wzrósł w ciągu minionego roku o 5 proc. – wynika z najnowszych danych podanych oficjalnie przez statystyków w Pekinie. To wynik zgodny z założeniami władz Państwa Środka. To jednocześnie rezultat, o którym wielu przywódców kraju Zachodu może tylko pomarzyć. Eksperci zwracają jednak uwagę, że tempo wzrostu hamuje. I rzeczywiście w trzecim kwartale rozwój chińskiej gospodarki spowolnił do 4,8 proc., a PKB w czwartym kwartale 2025 r. był „tylko" o 4,5 proc. wyższy niż w tym samym okresie roku 2024. Wielu komentatorów zauważa zatem, że „chiński smok złapał zadyszkę", a część ostrzega nawet, że jeśli druga największa gospodarka świata kichnie, to wywoła katar (czytaj: stagnację) w wielu innych rejonach globu.

Podobne diagnozy stawiane są co prawda od kilku lat, ale nie można ich lekceważyć. Nie robią tego same chińskie władze, które są doskonale świadome problemów, z którymi boryka się ich gospodarka. Słabszy popyt wewnętrzny, malejące inwestycje, malejąca liczba pracowników oraz konsumentów czy strukturalna nierównowaga gospodarki to poważne wyzwania. Chinom ciąży również kryzys na rynku nieruchomości. Niezbyt optymistyczni są także menedżerowie potężnych firm – w grudniu wskaźnik PMI dla przemysłu skurczył się do 49 punktów, czyli najniższego poziomu od sześciu miesięcy (dla porównania: PMI dla przemysłu w strefie euro w grudniu wyniosło 44,2 pkt).

Aby utrzymać prowzrostową politykę, rząd w Pekinie utrzymuje niski kurs juana, dzięki któremu chińskie towary z powodzeniem podbijają zagraniczne rynki. Już w roku 2025 wzrost gospodarczy został w dużej mierze osiągnięty dzięki eksportowi, zwłaszcza do państw innych niż Stany Zjednoczone. Efekt? Nadwyżka handlowa wynosząca aż 1,19 bln (sic!) dolarów amerykańskich.

Zgodnie z konsensusem ekonomistów również w latach 2026–2027 wzrost powinien wynosić, głównie dzięki eksportowi, 4,5 proc. Są jednak i więksi optymiści. Z najnowszego raportu ekonomistów Goldman Sachs wynika, że tempo

eprasa.pl 5a8109f443



FOT. ADOBE STOCK

rozwoju gospodarki Państwa Środka w 2026 r. będzie znacznie szybsze niż światowa średnia (2,8 proc.) i wyniesie 4,8 proc. Dla porównania: ci sami ekonomiści europejski wzrost gospodarczy prognozują na 1,3 proc. (a to i tak więcej od konsensusu, który wynosi 1,1 proc.).

SIŁA BEZSILNYCH

Kto ma rację? Przekonamy się za rok. Już dziś jedno jest jednak pewne. W powiększaniu eksportu do krajów innych niż Stany Zjednoczone znacząco pomaga Chinom sam amerykański prezydent.

Już 15 stycznia European Council on Foreign Relations opublikowała na swych stronach artykuł „Jak Trump czyni Chiny ponownie wielkimi i co to oznacza dla Europy". Jego autorzy – Timothy Garton Ash, Ivan Krastev oraz Mark Leonard – zauważyli, że „na całym świecie wiele osób spodziewa się, że w ciągu następnej dekady wzrośnie i tak znaczący globalny wpływ Chin, a coraz więcej osób postrzega Pekin jako sojusznika lub niezbędnego partnera". Wystarczył rok prezydentury Trumpa, aby Amerykę za swego sojusznika uważało zaledwie 16 proc. Europejczyków, a 20 proc. widziało w USA rywala lub wręcz wroga.

Teraz te liczby mogłyby wypadać jeszcze mniej korzystnie dla USA. Badania opinii prowadzono bowiem, jeszcze zanim Donald Trump wprost zagroził sojusznikom z NATO interwencją zbrojną na Grenlandii, a także przed próbą szantażu przywódców państw sojuszniczych w Europie wysokimi cłami dla niepokornych. I choć zimowy klimat szwajcarskiego kurortu ochłodził chwilowo gorącą głowę przywódcy Ameryki, to wielu polityków nie ma wątpliwości: znany od dekad porządek świata właśnie legł w gruzach.

– Suwerenność nie oznacza podporządkowania się – mówił podczas ubiegłotygodniowego szczytu w Davos premier Kanady, przekonując, że „suwerenność oznacza zdolność do wytrzymywania nacisku". Mark Carney przypomniał esej „Siła bezsilnych" opozycjonisty i prezydenta Czechosłowacji, Václava Havla. I zauważył, że choć przez wiele dekad kraje zachodnie wiązały „amerykańską hegemonię" z zasadami praworządności, to obecnie podporządkowanie się mocarstwom nie gwarantuje już bezpieczeństwa krajom średniej wagi. – Mamy zdolność, by przestać udawać – zaapelował do liderów zachodnich państw lider Kanady, kraju, który Donald Trump najchętniej zmusiłby do porzucenia niepodległości i uznał za 51. stan USA. – Średnie kraje muszą działać razem, bo jeśli nie jesteśmy przy stole, to jesteśmy w menu – ostrzegł w Davos Carney, którego włoskie media szybko okrzyknęły „antytrumpowskim idolem".

Nie tylko Włosi zauważyli, że przemowę Carneya trudno uznać za zwyczajne przemówienie polityka. Równie nietypowe są jednak nastroje panujące u północnego sąsiada Stanów Zjednoczonych. Według jednego z najnowszych sondaży już niemal co trzeci Kanadyjczyk obawia się amerykańskiej inwazji na swój kraj. I to wyłącznie z tego powodu w Kanadzie nadal rządzi Carney, a nie konserwatyści. Trump kompletnie zatopił bowiem kanadyjską prawicę. Polityka amerykańskiego prezydenta sprawiła również, że wielu Kanadyjczyków postanowiło bojkotować amerykańskie produkty i zrezygnować z turystycznych podróży do Stanów Zjednoczonych. Znacząco skurczył się też eksport kanadyjskich produktów do USA. Aby ratować krajową gospodarkę, rząd w Ottawie zaczął zatem szukać możliwości zacieśnienia więzi gospodarczych z azjatyckimi partnerami. Polityka Trumpa skłoniła Kanadyjczyków do podpisania we wrześniu 2025 r. gospodarczego porozumienia z Indonezją, a na początku 2026 r. do resetu stosunków z Chinami. W połowie stycznia premier Kanady Mark Carney spotkał się w Pekinie z przywódcą Chin Xi Jingpingiem. Pierwsza od 2017 r. wizyta szefa rządu w Ottawie w stolicy Państwa Środka przyniosła bardzo wymierne rezultaty. Przywódcy obu państw ogłosili nowe „strategiczne partnerstwo" oraz mapę drogową współpracy gospodarczo-handlowej. Konkretów już jest sporo. W ramach porozumienia Kanada znacząco obniży cła na chińskie samochody elektryczne, nałożone wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi w roku 2024. Stawka spadnie ze 100 proc. do 6,1 proc., ale w ramach tej umowy do Kanady z Chin może przypłynąć maksymalnie 49 tys. pojazdów elektrycznych.

W zamian za to symboliczne ustępstwo władze w Pekinie zobowiązały się obniżyć odwetowe cła na kanadyjskie produkty rolne, w tym na olej rzepakowy z 85 proc. do 15 proc.

Amerykański sekretarz transportu Sean Duffy, podczas pobytu w fabryce Forda w Ohio, zagroził już, że Kanadyjczycy „będą żałować" swej decyzji. Stany Zjednoczone nadal są bowiem czołowym partnerem handlowym Kanady, a choć Chiny zajmują drugie miejsce, to pod względem wolumenu wciąż znajdują się bardzo daleko za USA.

NIE TYLKO CHIŃSKIE AUTA

Po ogłoszeniu kanadyjsko-chińskiego porozumienia amerykański senator Bernie Moreno zauważył, że przemysł motoryzacyjny Chin nie został zaprojektowany z myślą o konsumpcji krajowej,

eprasa.pl 5a8109f443

lecz z jasnym zamiarem podbicia zachodnich rynków. Trudno odmówić mu racji. Chińscy producenci samochodów szturmem wchodzą nie tylko na rynek Unii Europejskiej (według danych „The Economist" mimo wprowadzenia w październiku 2024 r. przez Brukselę ceł mających przeciwdziałać „nieuczciwemu subsydiowaniu" chińskich producentów aut eksport samochodów z Państwa Środka do UE wzrósł od listopada 2024 do listopada 2025 r. aż o 26 proc., do poziomu 1,2 mln egzemplarzy).

I chociaż Bruksela formalnie wciąż walczy, to Berlin właśnie zrobił duży ukłon w stronę Pekinu. W połowie stycznia niemiecki rząd ogłosił uruchomienie nowego programu dotacji do zakupu samochodów elektrycznych. Program o łącznej wartości 3 mld euro po raz pierwszy będzie dostępny dla wszystkich producentów. „Wszystkich", a więc także tych z Chin. Wartość indywidualnych dotacji ma się wahać od 1,5 tys. do 6 tys. euro w zależności m.in. od rodzaju i ceny kupowanego pojazdu.

Chińczycy planują też zyskać więcej brytyjskich klientów. W roku 2026 wielkie premiery w Wielkiej Brytanii planują m.in. takie chińskie marki jak Aion, Nio czy Zeekr. Swoją sieć dilerską rozbudowują też na Wyspach Brytyjskie tacy producenci jak BYD czy Chery.

Nie chodzi zresztą tylko o chińskie samochody. Ani o chińskie zabawki, którymi bawią się dzieci w wielu częściach świata, czy produkowane w Chinach ubrania, w których chętnie chodzi duża część ludności świata. Państwo Środka od lat jest czołowym dostawcą paneli fotowoltaicznych i wiatraków do Europy. Jeśli chodzi o te pierwsze, to w 2024 r. Chiny odpowiadały za 98 proc. importu paneli do Unii Europejskiej o wartości 10,9 mld euro. W przypadku turbin wiatrowych w 2024 r. Chiny zwiększą swój udział w imporcie do 43 proc. z 31 proc. w roku 2023.

W ubiegłym tygodniu, po niemal ośmiu latach sporów, rząd Wielkiej Brytanii zezwolił Chinom na budowę w centrum Londynu gigantycznej – największej w całej Europie – ambasady, która powstać ma w dawnym budynku Królewskiej Mennicy w pobliżu słynnej Tower of London. Ostateczną decyzję wydaną po całej serii opóźnień część komentatorów uważa za kolejny jasny sygnał tego, że polityka Trumpa skłania nawet tak bliskich dotąd sojuszników jak Brytyjczycy do poprawy stosunków z Chińską Republiką Ludową. Kolejnym przejawem ocieplania stosunków ma być planowana na ten tydzień wizyta premiera Keira Starmera w Pekinie w towarzystwie całego wianuszka brytyjskich biznesmenów. Jeśli rzeczywiście dojdzie do skutku, będzie to pierwsza wizyta złożona przez szefa brytyjskiego rządu w stolicy azjatyckiego supermocarstwa od roku 2018 i okazja do wznowienia dyskusji o „złotej erze" chińsko-brytyjskich stosunków gospodarczych. W tym celu – jak poinformował Reuters – szefowi rządu towarzyszyć mają przedstawiciele takich firm jak AstraZeneca, BP, HSBC, Intercontinental Hotels Group czy Rolls Royce.

WALKA O DZIETNOŚĆ

Podobnie jak kraje zachodnie również Chiny mają problem ze zbyt małym przyrostem naturalnym. W ciągu ostatniej dekady liczba urodzeń zmalała o połowę do 9,54 mln rocznie w 2024. Liczba mieszkańców Chin zmalała zaś w roku 2024 o 1,39 mln do 1,408 mld.

98 proc.

TAKI BYŁ UDZIAŁ CHIN W IMPORCIE PANELI SŁONECZNYCH DO UNII EUROPEJSKIEJ W 2024 R.

Już w 2015 r. władze oficjalnie skończyły z polityką jednego dziecka (szacuje się, że zapobiegła ona ok. 400 mln urodzeń) i pozwoliły obywatelom na posiadanie drugiego. Sześć lat później dali zaś zgodę na troje dzieci. Chętnych na skorzystanie z tego błogosławieństwa jest jednak nadal jak na lekarstwo. W ramach szerokiego programu zachęcania do posiadania dzieci rząd wprowadził m.in. zerową stawkę VAT na usługi związane z zawieraniem związków małżeńskich, a także opieką nad dziećmi. Na uczelniach wyższych wprowadzono zajęcia z tzw. edukacji miłosnej, która kreuje pozytywny wizerunek rodzin z dziećmi. Pierwsze efekty już są widoczne w statystykach. Liczba urodzeń w 2024 r. wyniosła co prawda zaledwie 9,54 mln, ale i tak była istotnie wyższa niż w roku 2023, gdy wynosiła tylko 9,02 mln.

Jednocześnie od 1 stycznia 2026 r. w Państwie Środka droższe jest zapobieganie ciąży – 13-procentowy podatek VAT od środków antykoncepcyjnych obejmuje m.in. prezerwatywy.

Czy nowy podatek powstrzyma zapaść demograficzną? Wątpliwe, by to rozwiązanie okazało się wystarczające. Istotne wsparcie dla chińskiego eksportu – wynikające z nieprzewidywalnej polityki Donalda Trumpa wobec dotychczasowych sojuszników Ameryki – powinno jednak utrzymać przyzwoite tempo rozwoju Państwa Środka. Wcześniej nieprzemyślana w szczegółach polityka Waszyngtonu za prezydentury Joe Bidena w dużej mierze uratowała gospodarkę Rosji. To dzięki USA Indie zaczęły kupować znacząco więcej rosyjskiej ropy, a interesy z Kremlem jeszcze chętniej zaczęły robić władze choćby takich krajów jak RPA (choć pozycję Rosji w tym kraju umiejętnie podgryzają Hindusi). Za Trumpa USA przynajmniej skończyły z hipokryzją. Gdy Ameryka chce teraz zaatakować kraj bogaty w surowce, to jej prezydent wprost mówi, że chodzi o ropę, a nie jakąś tam demokrację. Jednocześnie świat bacznie obserwował przebieg wojny celnej między Waszyngtonem a Pekinem i odnotował to, że Chińczycy twardo postawili się Amerykanom. Xi Jinping nie wykonał błagalnego telefonu do Trumpa, zamiast tego wyruszył do dotkniętych przez astronomicznie wysokie amerykańskie cła Wietnamu, Malezji i Kambodży i tam przekonywał o zaletach gospodarczej współpracy. Chiny wykorzystały również arogancką politykę przywódcy USA do zawarcia porozumienia w obronie otwartych rynków pomiędzy 10 państwami członkowskimi ASEAN – Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej oraz Chin, Japonii i Korei Południowej. Nawet za „śpiącego Bidena" byłoby to nie do pomyślenia. Japonia czy Wietnam zdecydowanie wolały przecież współpracę z USA od kooperacji z Chinami.

Najważniejsze pytanie brzmi: Czy władze w Waszyngtonie wyciągną wnioski ze swoich błędów czy też nadal będą prowadziły politykę upadającego imperium, co rusz wzmacniając swego głównego rywala?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Sierota” szuka ojca

Jak wiadomo, sukces zazwyczaj ma wielu ojców, natomiast porażka jest zwykle sierotą, której ojca i matki próżno szukać, a jeśli już koniecznie trzeba ich odnaleźć, to raczej trudno się obejść bez śledczego.

I właśnie tak rzecz się ma z gigantycznym lotniskiem w Radomiu, przed którego budową w takiej skali ostrzegali właściwie wszyscy znawcy rynku lotniczego, których ówcześni – ci sprzed kilku lat – zwolennicy (nie tylko radomskiej) gigantomanii na każdym kroku zbywali ogólnikami, wyśmiewając ich brak wiary w powodzenie tego przedsięwzięcia. Ówcześni zwolennicy gigantomanii, którzy ze swego umiłowania dla rzeczy wielgachnych nawet nazwę dla radomskiego portu wybrali mało trzymającą kontakt z ziemią, ponieważ nazwali je Lotniskiem Warszawa-Radom, choć Radom od Warszawy dzieli… ponad 100 km! No i teraz, gdy wszyscy oni zapadli się pod ziemię, próbuje ich odszukać Prokuratura Regionalna w Lublinie.

Każdemu, kto ma choć blade pojęcie o „lotniskologii”, nigdy na trzeźwo nie mogło przyjść do głowy, że tak usytuowane, radomskie lotnisko, które ma konkurencję okolicznych, wielkich lotnisk – w Warszawie, w Krakowie, w Rzeszowie i w Lublinie – mogłoby liczyć na 1,5 mln pasażerów rocznie, a dopiero taka liczba zapewniałaby mu samofinansowanie się, czyli „wychodzenie na zero”. Tymczasem od chwili otwarcia, czyli od kwietnia 2023 r., udawało mu się przyciągać każdego roku niewiele ponad… 100 tys. pasażerów, a więc aż 15 (!) razy mniej niż zapewniające owo samofinansowanie się 1,5 mln pasażerów.

Jeśli więc cokolwiek w przypadku owego lotniska w Radomiu od początku – od chwili postawienia na projekt lotniska giganta – było pewne, to to, że będzie ono (w takiej gigantycznej formie) trwale niedochodowe, trwale przynoszące straty. No i ta prognoza co roku się spełnia, z każdym rokiem pogłębiając stratę Lotniska Warszawa-Radom. Z zamówionego przez firmę Polskie Porty Lotnicze audytu wynika, że owa skumulowana strata tego portu lotniczego do 2032 r. wyniesie aż między 600 a 800 mln zł. A gdy dodać do tego koszt jego budowy, który przekroczył 800 mln zł, a licząc z wyburzeniem poprzedniego – miliard złotych, okaże się, że zsumowane rozmiary tego marnotrawstwa wkrótce sięgną niemal 2 mld zł. A to już nie w kij dmuchał.

No, ale – jak wspomniałem na wstępie – próżno dziś szukać ojców tej porażki, a raczej klęski, czy wręcz katastrofy – wszyscy oni rozpierzchli się na cztery strony świata i poukrywali po kątach. A przecież lotnisko to śmiało mogłoby dziś nosić nazwę nie tylko: „Lotnisko Mateusza Morawieckiego”, lecz także: „Lotnisko Zjednoczonej Prawicy”. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rok z Trumpem

Na czym polega efekt rządzącego USA od roku Donalda Trumpa w Polsce? Przede wszystkim na tym, że ujawnił (nie żeby była to wcześniej wiedza tajemna), jak infantylnie widzi politykę zagraniczną nasza elita władzy. Trump budzi w naszym kraju takie emocje, jakby to on, a nie Karol Nawrocki był prezydentem Polski.

Bardzo poprawnie politycznie jest oburzać się na różne działania Trumpa, przy czym często zostaje się potem z tym oburzeniem jak – nie przymierzając – Himilsbach z angielskim. Tak jak ci, którzy trzęśli się ze wzburzenia na groźby Trumpa w sprawie Grenlandii, żeby w Davos usłyszeć od niego, że nie zamierza tam interweniować zbrojnie, a nawet, że trwają prace nad korzystnym dla wszystkich stron układem, który miałby zaspokoić potrzeby bezpieczeństwa Ameryki.

Druga z kolei strona sporu wpatrzona jest w Trumpa wprost niewolniczo, co prowadzi do groteskowych wygibasów. Ci sami politycy obozu prawicy, którzy z uniesieniem piętnują naruszanie prawa międzynarodowego przez Rosję, gotowi są za wszelką cenę uzasadniać i usprawiedliwiać rażące naruszenia tegoż przez Stany Zjednoczone. Jeśli kraj – tak jak Polska – ustawia się w pozycji arbitra moralności i międzynarodowego Katona, to przynajmniej powinien być w tym konsekwentny. Inaczej staje się niepoważny.

Najmniej jest w Polsce tych, którzy są w stanie patrzeć na poczynania Trumpa bez emocji, pamiętając, że jego decyzje mają na względzie jedynie interes USA – tak jak obecna administracja go rozumie. Głównym zadaniem polskich polityków powinno być analizowanie skutków działań Ameryki dla Polski bez przyjmowania a priori, że skoro rządzi tam Trump, to na pewno są one z zasady złe albo dobre.

Gdy idzie o Grenlandię – ostry spór pomiędzy dwoma ważnymi członkami NATO byłby dla Polski problematyczny, ale tu pochwalić trzeba i prezydenta Nawrockiego, i premiera Tuska: obaj zachowali się wstrzemięźliwie. I może to daje iskrę nadziei. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443

Kilometrowce na horyzoncie



Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to Jeddah Tower będzie pierwszym budynkiem w historii ludzkości, który przełamie barierę kilometra FOT. TAIDGH BARRON / ZUMA PRESS / FORUM



Piotr Włoczyk

Czy kilometrowej wysokości drapacz chmur, który właśnie budowany jest w Arabii Saudyjskiej, to dopiero początek prawdziwej rewolucji w świecie wieżowców?

Muzułmanie kojarzą Dżuddę (ang. Jeddah) jako „bramę do Mekki" – znajduje się tu wielkie lotnisko, które dzieli od „świętego miasta" jedynie 70 km. Jednak w świecie pozaislamskim to niemal czteromilionowe miasto nad Morzem Czerwonym jest właściwie szerzej nieznane.

Saudyjskie władze budują tu tzw. Jeddah Economic City, wielki projekt biznesowy, który ma przygotować państwo na czasy ponaftowe, ale problemem jest mała rozpoznawalność tego miejsca. Trudno przyciągnąć bogatych inwestorów do miasta, które kojarzy się właściwie z niczym. Jak w dzisiejszych czasach sprawić, by – relatywnie – niewielkim kosztem spopularyzować miasto? Oczywiście trzeba zbudować zapierający dech w piersiach wieżowiec. A jeszcze lepiej – największy na świecie drapacz chmur, który będą oblegały tłumy turystów spragnionych selfie na najwyżej położonym tarasie widokowym.

Dokładnie ten zamysł stoi za budową Jeddah Tower, wieżowca, przed którym postawiono jeden cel: przyćmienie słynnej Burdż Chalifa w Dubaju. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to Jeddah Tower przewyższy swojego emirackiego konkurenta o, bagatela, 180 m, osiągając oszałamiające 1008 m. Będzie to pierwszy budynek w historii ludzkości, który przełamie barierę kilometra. W połowie stycznia deweloper stojący za tym przedsięwzięciem poinformował, że zbudowano właśnie 80. piętro, co stanowi półmetek prac (gotowy drapacz chmur ma mieć ok. 160 pięter). Postawienie takiego kolosa wymagało pokonania ogromnych problemów – nie tylko technicznych, lecz także… politycznych.

DEWELOPER W ARESZCIE

Pierwotnie ta stalowo-betonowa duma Arabii Saudyjskiej miała być otwarta już sześć lat temu. Budowę Jeddah Tower rozpoczęto jeszcze w 2013 r., ale po drodze doszło do nieprzewidzianych wydarzeń – czystek na szczytach saudyjskiej elity, które przeprowadził Mohammed bin Salman (znany jako MBS), następca tronu Arabii Saudyjskiej. To właśnie on faktycznie sprawuje władzę w tym państwie (jego schorowany ojciec tylko formalnie jest przywódcą).

Symbolem czystek, które miały pokazać siłę MBS, było zamienienie rijadzkiego hotelu Ritz-Carlton w luksusowy areszt dla niewygodnych członków saudyjskiej elity. W ramach tych represji zatrzymani zostali wówczas ludzie, którzy budowali Jeddah Tower, na czele z księciem Al-Walidem ibn Talalem. Wówczas jeszcze budynek miał się nazywać Kingdom

eprasa.pl 5a8109f443

Tower, a wspomniany miliarder (jego majątek szacuje się na ok. 20 mld dol.) był głównym pomysłodawcą tego projektu. W związku z tym budowa została w 2018 r. wstrzymana. Po pewnym czasie książę ibn Talal powrócił do łask MBS i projekt w 2024 r. został wznowiony. Wraz z księciem aresztowany został również Bakr bin Laden, szef Saudi Binladin Group, firmy, która rozpoczęła budowę superwieżowca. Zbieżność nazwisk nie jest tu przypadkowa. Ten deweloper to przyrodni brat Osamy bin Ladena. Również on wrócił do łask, czego dowodem jest opiewający na 2 mld dol. kontrakt dla jego firmy na dokończenie Jeddah Tower.

Jeżeli przyjrzymy się bryle tego drapacza chmur, to zobaczymy pewne podobieństwa do dubajskiej Burdż Chalifa. Nic dziwnego, skoro głównym projektantem jest w obu przypadkach ten sam człowiek – Adrian Smith, renomowany architekt z Chicago. Projektanci musieli się tu wykazać nie lada pomysłowością, bo „tradycyjnym" systemem nie udałoby się zbudować stabilnego budynku przekraczającego 800 m, nie mówiąc już o kilometrze. Dlatego w obu przypadkach Smith zdecydował się na podstawę w kształcie litery „Y", a nie tradycyjnego kwadratu. Konstrukcja oparta jest o centralny rdzeń z trzema skrzydłami, które mają własne rdzenie. Taki projekt, poza tym, że ogranicza masę budynku, sprawia też, że bardzo dobrze radzi on sobie z wiatrem.

Dzięki temu systemowi Burdż Chalifa mogła być aż o 60 proc. wyższa od poprzedniego rekordzisty w tej kategorii, czyli Taipei 101, który ma 508 m. Choć trzeba przy tym pamiętać, że za niemałą część wysokości Burdż Chalifa odpowiada pusta w środku iglica – ostatnie piętro mieszkalne znajduje się na wysokości 585 m (podobnie będą wyglądały proporcje w przypadku Jeddah Tower).

DWA KILOMETRY?

Właściwie jedynym powodem budowy takich drapaczy chmur jest prestiż. Cena za 1 mkw. jest tu nawet kilkukrotnie wyższa niż w przypadku niższych, kilkudziesięciopiętrowych wieżowców. Ani Dubaj, ani tym bardziej Dżudda to nie Manhattan czy londyńskie City, gdzie kosmicznie drogi grunt usprawiedliwia pod kątem finansowym pięcie się w górę na setki metrów.

Jeddah Tower to centralny punkt Jeddah Economic City i symbol wieżowca „sprzedaje" na logotypie ten projekt. Tak samo Burdż Chalifa pomogła Dubajowi zbudować swoją markę luksusowego, supernowoczesnego miasta, gdzie wszystko jest „naj". Na podobnej zasadzie najwyższy wieżowiec w Europie powstał nie w Paryżu, Londynie czy w Warszawie, ale w Sankt Petersburgu. 462-metrowy drapacz chmur Łachta Centr to siedziba Gazpromu. Zbudowany w 2018 r. wieżowiec, wyglądający jak pocisk od kałasznikowa, miał symbolizować – ewidentnie na wyrost – rozwój i potęgę Rosji.

Z ostatnich komunikatów władz w Rijadzie wynika, że Saudom spodobał się ten „wysokościowy marketing". Okazuje się bowiem, że Arabia Saudyjska szykuje się do postawienia drapacza chmur, który ma zostawić daleko w tyle wszystko, co do tej pory zbudowano, łącznie z powstającą Jeddah Tower. Rise Tower, planowana jako centralny punkt supernowoczesnej północnej dzielnicy Rijadu North Pole District, ma mieć wysokość... 2 km. Czas pokaże, czy ten niesamowicie brzmiący projekt to tylko PR-owska sztuczka, mająca zwrócić uwagę na ambicje Arabii Saudyjskiej, czy coś więcej. Saudowie ogłaszali już kilka ambitnych gigaprojektów, które jednak nie wytrzymały zderzenia z rzeczywistością. Jednym z nich było słynne The Line, inteligentne miasto przyszłości, mające mieć formę 170-kilometrowego (!) olbrzymiego budynku (wysokiego na 500 m), zamieszkanego przez kilka milionów ludzi. Tak przynajmniej brzmiały założenia projektu ogłoszone w 2021 r. Po zderzeniu z rzeczywistością długość The Line zmniejszono do... nieco ponad 2 km. Pytanie, czy niedługo nie usłyszymy o kolejnej redukcji planów i czy The Line nie przekształci się w zwykły, choć bardzo duży i wysoki budynek.

TUBY Z CHICAGO

W historii drapaczy chmur widać kilka przełomów. Zbudowany w 1931 r. w Nowym Jorku Empire State Building (381 m) na długie lata stał się symbolem. Jego stalowy szkielet, świetnie widoczny na ikonicznych zdjęciach z budowy, był wzorem dla innych drapaczy chmur. Empire State Building utrzymał tytuł najwyższego wieżowca przez cztery dekady. Swój tytuł stracił na rzecz World Trade Center

Jak w dzisiejszych czasach sprawić, by – relatywnie – niewielkim kosztem spopularyzować miasto? Oczywiście trzeba zbudować zapierający dech w piersiach wieżowiec

(417 m), które z kolei już po trzech latach zostało zdetronizowane przez Sears Tower w Chicago. Była to kolejna przełomowa konstrukcja. Sears Tower świetnie radziła sobie z wiatrem (było to spore wyzwanie, bo przecież Chicago znane jest na świecie jako Wietrzne Miasto). Budynek zaprojektowano na bazie dziewięciu stalowych „tub" (3 x 3), które osiągają różne wysokości – tylko dwie z nich sięgają samego szczytu, czyli 442 m. Przez kolejne trzy dekady wydawało się, że „wyścig do chmur" zwolnił i technologia budowy stanęła w miejscu. Kolejni rekordziści odbierali koronę poprzedniemu w mało spektakularny sposób – przeganiając konkurenta raptem o kilkanaście, kilkadziesiąt metrów.

Sprawy niesamowicie przyspieszyły jednak, gdy 2009 r. ukończono nowatorski projekt Burdż Chalifa. Nowy rekordzista przeskoczył poprzedniego (Taipei 101 – 508 m) aż o 60 proc.!

Ograniczeniom technicznym w tej kwestii przypatrzył się Justin Davidson, publicysta dwutygodnika „New York Magazine", który rozmawiał z ekspertami na temat budowy drapacza chmur o wysokości jednej mili (ponad 1,6 km). Jednym z jego rozmówców był William Baker, inżynier, który stał za rewolucyjną konstrukcją Burdż Chalifa. Zacytujmy fragment wywiadu Davidsona, w którym zapytał on, czy da się zbudować „milowca":

„– Okay – powiedział [Baker].

– A milę i ćwierć?

– Spoko, wykombinowalibyśmy, jak to zrobić.

– A w którym momencie nie dałoby się już nic wykombinować?

– Nie jestem pewien. Mila oznacza podwojenie wysokości Burdż [Chalifa]. Na razie podwójmy to, co mamy teraz. A potem pomyślimy, jak znowu podwoić wysokość".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443



Kamczatka widziana z bliska

Jacek Pałkiewicz

Kamczatka jest jednym z tych miejsc na mapie świata, które brzmią jak obietnica przygody, ale też jak ostrzeżenie. To ziemia wulkanów i lodu, mgieł i gejzerów, skrajnych kontrastów przyrody i równie skrajnych doświadczeń ludzkich

Przyroda jest tu wszechobecna i dominująca. Człowiek zajmuje miejsce tymczasowe. Zima trwa tu niemal cały rok. Śnieg nie jest zjawiskiem sezonowym, lecz elementem krajobrazu. Zasypuje samochody, przystanki, schody prowadzące do domów. W niektórych rejonach zalega on przez dziewięć miesięcy w roku, a jego pokrywa potrafi osiągać kilka metrów wysokości. Codzienne życie to nieustanna walka z naturą. Miejscowi poruszają się tu z wprawą i obojętnością ludzi, którzy wiedzą, że nie ma sensu walczyć z czymś, co jest silniejsze. Opady są tak intensywne, że miasto bywa czasowo odcięte od świata, a loty wstrzymywane na wiele dni. Kamczatka uczy pokory – nie deklaratywnej, lecz praktycznej.

Kamczatka jest jednym z tych miejsc na mapie świata, które brzmią jak obietnica przygody, ale też jak ostrzeżenie. Leżący na rubieży rosyjskiego Dalekiego Wschodu półwysep, oddzielony od reszty świata tysiącami kilometrów tajgi, gór i oceanów, pozostaje przestrzenią niemal mityczną. To ziemia wulkanów i lodu, mgieł i gejzerów, skrajnych kontrastów przyrody i równie skrajnych doświadczeń ludzkich. Dla turystów – egzotyczna enklawa dzikiej natury. Dla historyków – miejsce zesłań, badań i zapomnianych biografii. Dla strategów wojskowych – punkt o kluczowym znaczeniu militarnym.

KRAINA SPRZECZNOŚCI

Na Kamczatkę nie trafia się przypadkiem. Tu się dociera – po długim locie, po przekroczeniu kilku stref czasowych, z poczuciem, że świat, który znamy, został gdzieś daleko za plecami. Kiedy wysiadłem na lotnisku w Pietropawłowsku Kamczackim, uderzyła mnie cisza. Nie ta absolutna, lecz ciężka, północna, przytłumiona śniegiem i przestrzenią. Nad miastem wisiały chmury, a w oddali majaczyły sylwetki wulkanów – nieruchome, a jednak groźne, jakby w każdej chwili mogły przypomnieć o swojej obecności.

Miasto nie robi dobrego pierwszego wrażenia. Betonowe bloki, obdrapane elewacje, chaotyczna zabudowa – wszystko to wygląda znajomo dla kogoś, kto pamięta postsowiecką estetykę. Ale wystarczy podnieść wzrok ponad dachy, by zrozumieć, że Kamczatka nie potrzebuje dekoracji.

Kamczatka z perspektywy reportera jest miejscem sprzeczności. Piękna i przygnębiająca. Surowa i hipnotyzująca. Nowoczesna w militarnych instalacjach, archaiczna w codzienności. Tu wszystko jest prawdziwe – zmęczenie, zachwyt, strach i samotność. Nie ma miejsca na półśrodki.

Rozmowy z mieszkańcami szybko sprowadzają na ziemię romantyczne wyobrażenia o „dzikiej krainie". Owszem, przyroda zachwyca, ale życie jest drogie i trudne. Wszystko trzeba sprowadzać: żywność, paliwo, części zamienne. Pensje bywają wyższe niż w europejskiej części Rosji, ale ceny rosną szybciej. Młodzi ludzie marzą o wyjeździe. Starsi zostają – z przyzwyczajenia, z braku wyboru albo z przekonania, że Kamczatka to ich los.

Nie sposób nie zauważyć obecności wojska. Półwysep od dekad odgrywa rolę jednej z najważniejszych baz wojskowych Rosji. Port, drogi, niektóre dzielnice – wszystko to funkcjonuje w cieniu strategicznego znaczenia półwyspu. O pewne rzeczy nie wypada pytać. Kamczatka przez dziesięciolecia była zamknięta i nawet dziś czuć tu odruchową nieufność wobec obcych. Aparaty fotograficzne przyciągają spojrzenia. Cisza bywa wymowna. Zatoka Awaczyńska jest naturalnym portem dla Floty Pacyfiku, a pod powierzchnią wód i skał kryją się instalacje o strategicznym znaczeniu, w tym bazy okrętów podwodnych z bronią nuklearną. Przez dziesięciolecia Kamczatka była strefą zamkniętą, niedostępną dla cudzoziemców, a jej mieszkańcy żyli w cieniu tajemnicy wojskowej. Ten militarny charakter regionu do dziś wpływa na jego izolację i specyfikę społeczną.

Kamczatka liczy ponad 470 tys. km kw., a zamieszkuje ją zaledwie 320 tys. ludzi, w tym 250 tys. mieszka w stolicy regionu – Pietropawłowsku Kamczackim. Przytulony do Zatoki Awaczyńskiej sprawia wrażenie miasta zawieszonego pomiędzy epokami: postsowieckie blokowiska kontrastują tu z bezkresnym krajobrazem gór, nad którymi dominują stożki aktywnych wulkanów.

To właśnie wulkany są znakiem rozpoznawczym Kamczatki. Na półwyspie znajduje się ich ponad 160, z czego niemal 30 pozostaje aktywnych. Widok dymiących Kluczewskiej Sopki czy regularnego stożka Kronockiego przypomina, że ziemia wciąż żyje i oddycha. Region leży na Pacyficznym Pierścieniu Ognia, a trzęsienia ziemi i erupcje są tu częścią naturalnego porządku rzeczy. Nie bez racji UNESCO wpisało go na listę światowego dziedzictwa przyrody.

Kamczatka mnie uwiodła. To nie jest tani kierunek turystyczny, rozwija się powoli i selektywnie, dlatego nieszybko

eprasa.pl 5a8109f443



Przyroda na Kamczatce zachwyca, ale życie jest drogie i trudne. Wszystko trzeba sprowadzać: żywność, paliwo, części zamienne FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

zostanie zadeptany. Ta odseparowana od Rosji kraina jest jednak godna odwiedzenia, a to z kilku powodów. Niezapomniane wrażenia zapewniają piękno przyrody i malownicze krajobrazy wiecznie ośnieżonych, regularnych stożków wulkanów, z których buchają pióropusze popiołu. Ich zagęszczenie na kilometr kwadratowy jest tu największe na świecie. Mój moskiewski przyjaciel Igor Michalew ma słabość do przygody pięciogwiazdkowej. Uważa, że spotyka się ją tu na każdym kroku. To nie tylko rzeki pełne łososi, wszechobecne w dziewiczej tajdze brunatne niedźwiedzie, lecz także grillowany jesiotr czy ogromne królewskie kraby. A także czerwony kawior, który jada się tu kopulastymi łyżkami. Produkcja kawioru wynosi 7 tys. ton, co zapewnia 700 mln dol. dochodu.



Jacek Pałkiewicz podczas wyprawy na Kamczatkę
FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

Niezwykłe wrażenie sprawia dantejskie piekło Doliny Gejzerów w Rezerwacie Kronockim. Na unikatowym niedużym obszarze, odkrytym dopiero w 1941 r., znajdują się dziesiątki źródeł termalnych i gejzerów, gdzie wszystko wokół syczy, kipi i huczy. Bulgoczą charakterystyczne jeziorka błotne i białe obłoki pary wodnej kontrastują z niezwykle nasyconymi barwami roślinności oraz skał. Trochę dalej znajduje się Kaldera Uzon, pozostałość zapadniętego wulkanu, wypełniona fumarolami, gorącymi źródłami i jeziorkami siarkowymi.

Ze względu na położenie, koszty transportu i ograniczoną infrastrukturę region pozostaje niedostępny dla masowego ruchu. Podróż tutaj to wyprawa logistyczna i finansowa, ale nagrodą jest kontakt z przyrodą niemal nietkniętą przez cywilizację: dolina gejzerów, jeziora pełne łososi, brunatne niedźwiedzie łowiące ryby u podnóża wodospadów. Kamczatka to jedno z ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie człowiek pozostaje gościem, a nie gospodarzem.

Poziom życia mieszkańców Kamczatki pozostaje nierówny. Oficjalne statystyki mówią o relatywnie wysokich zarobkach, rekompensujących trudne warunki klimatyczne, lecz rzeczywistość bywa bardziej skomplikowana. Ceny żywności i towarów codziennego użytku są wysokie, uzależnione od transportu lotniczego i morskiego. W mniejszych miejscowościach dostęp do opieki zdrowotnej czy edukacji bywa ograniczony. Młodzi ludzie często opuszczają region, szukając lepszych perspektyw na „kontynencie", jak nazywa się europejską część Rosji.

POLSKIE ŚLADY

W tej surowej przestrzeni wyraźnie zapisała się także historia polskiej obecności. Kamczatka, podobnie jak Syberia, była miejscem zesłań Polaków po powstaniach narodowych XIX w. Trafiali tu ludzie nauki, lekarze, przyrodnicy – ci, którzy zamiast broni wybrali wiedzę. Najbardziej znaną postacią pozostaje Benedykt Dybowski, lekarz, zoolog i badacz, zesłany po powstaniu styczniowym. Na Kamczatkę przybył on w 1879 r. i szybko stał się postacią legendarną. Prowadził badania nad fauną regionu, dokumentował życie rdzennych ludów, ale przede wszystkim działał jako lekarz i filantrop. Leczył bezpłatnie miejscową ludność, organizował pomoc medyczną, walczył z epidemiami i głodem. W regionie, gdzie choroba często oznaczała wyrok, taka postawa była bezcenna. Zyskał ogromny szacunek mieszkańców, którzy nazywali go „dobrym doktorem z Polski". Dybowski pozostawił po sobie trwały wzór etosu służby drugiemu człowiekowi – niezależnie od granic i narodowości.

W 2013 r. miałem przyjemność przypomnieć o chlubnych polskich kartach w dziejach eksploracji wschodnich rubieży Rosji, zapisanych przez zesłańców politycznych skazanych na katorgę. W Pietropawłowsku Kamczackim uzyskałem zgodę gubernatora Kraju Kamczackiego Władymira Iljuchina na odsłonięcie przy dźwiękach muzyki Chopina granitowej tablicy pamiątkowej poświęconej właśnie Dybowskiemu. W swoim przesłaniu urzędnik państwowy napisał: „To ważne dla Kamczatki wydarzenie niesie w sobie kształcącą i edukacyjną misję. Syn polskiego narodu Benedykt Dybowski pozostawił zaszczytną pamięć w historii Rosji [...]. W imieniu wszystkich mieszkańców Kraju Kamczackiego wyrażam Panu wdzięczność za Pański silny twórczy potencjał, ukierunkowanie na osiągnięcie celu; za to, że był Pan w stanie urzeczywistnić swój projekt – przywrócenia historycznej pamięci i oddania należytego szacunku tym, którzy wnieśli wkład w poznanie Syberii i Dalekiego Wschodu Rosji".

Kiedy kilka lat później stanąłem na ul. Lenina pod tą tablicą, miałem poczucie obcowania z historią cichą, pozbawioną patosu, a przez to bardziej poruszającą. Dybowski nie był tu bohaterem pomników. Był lekarzem. Pomagał. Leczył. Organizował wsparcie tam, gdzie państwo było nieobecne.

Kamczatka jest dziś miejscem paradoksów. Dzika i pierwotna, a jednocześnie silnie zmilitaryzowana. Fascynująca przyrodniczo, lecz trudna do życia. Otwarta na turystów, ale wciąż odizolowana mentalnie i geograficznie. To przestrzeń, która wymaga od podróżnika czasu i cierpliwości.

Kiedy opuszczałem półwysep, samolot długo wznosił się nad chmurami. Przez chwilę zobaczyłem jeszcze ośnieżone wulkany, wyłaniające się jak wyspy z mlecznej mgły. Pomyślałem wtedy, że Kamczatka nie jest miejscem, które się zwiedza. To miejsce, które się przeżywa – i które zostaje w człowieku na długo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a8109f443

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Śmierć zdrajcy Krzyczewskiego



JACEK KOMUDA

Łojów na dzisiejszej Białorusi, na północ od Kijowa, przy ujściu Soży do Dniepru, to miejsce dwukrotnego zwycięstwa hetmana litewskiego Janusza Radziwiłła nad kozakami. Pierwsza wzmianka o miasteczku pochodzi z roku 1505, kiedy zostało zniszczone przez ordę tatarską Mehmeda Gereja. Łojów należał po unii lubelskiej do Korony, ale został przekazany Litwie w 1646 r. jako rekompensata za Trubczewsk, który król Władysław IV lekkomyślnie oddał Moskwie, spodziewając się w zamian zawrzeć z nią sojusz antyturecki. 31 lipca 1649 r. miała tutaj miejsce zwycięska dla Rzeczypospolitej bitwa, którą stoczył hetman polny Janusz Radziwiłł z oddziałami płk. Stanisława Michała Krzyczewskiego.



RYS. MARIT

Kiedy armia koronna odpierała ataki głównych sił kozacko-tatarskich pod Zbarażem, Radziwiłł postanowił zaatakować rozmieszczone w okolicy Łojowa wojska Stepana Pobodajły, które ufortyfikowały ujście Soży do Dniepru. Gdy Chmielnicki dowiedział się o marszu armii litewskiej na południe, wysłał mu na pomoc liczący ponad 10 tys. kozaków pułk kijowski Stanisława Krzyczewskiego, o czym wszakże hetman litewski nie wiedział.

Radziwiłł rozpoczął tymczasem działania przeciwko pozycjom Pobodajły. Rozłożył pod Łojowem obóz, zatoczył działa na brzeg rzeki i zaczął ostrzał, a większość piechoty, która płynęła w dół Dniepru na łodziach, wysadził na wschodnim brzegu, aby zaatakować kozaków od północy.

Niespodziewanie nadeszły wiadomości o nadciągającej armii Krzyczewskiego, która miała uderzyć na obóz litewski pod Rzeczycą, na tyłach wojska. Hetman wyprawił zatem dwa silne podjazdy – Adama Pawłowicza i Samuela Komorowskiego – które miały wywiedzieć się o ruchach nieprzyjaciela i w razie czego powrócić do głównego obozu. Jednak Krzyczewski przeprawił się przez Polesie, podszedł komunikiem, samą jazdą bez taborów pod Rzeczycę, a kiedy okazało się, że miasto jest mocno ufortyfikowane, zawrócił, wymykając się podjazdom litewskim, i niespodziewanie zaatakował główne siły Wielkiego Księstwa pod Łojowem.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Według wszystkich prawideł Janusz Radziwiłł powinien tę bitwę przegrać. Dał się bowiem zaskoczyć w sytuacji, kiedy piechota znajdowała się na drugim brzegu Dniepru, a część jazdy została wysłana na zwiad, co umożliwiało kolejno pobicie odosobnionych części jego armii. Jednak również Krzyczewski popełnił błąd, uderzając z marszu wyłącznie jazdą, a pozostawiając piechotę i artylerię w taborze, który wolno ciągnął na pole bitwy.

Kozaków, którzy zaatakowali 31 lipca, krzycząc po tatarsku, powstrzymała najpierw piechota polsko-węgierska, która umocniła się w młynie nad rzeczką Łojówką, i ostrzelała szarżującego nieprzyjaciela. Następnie uderzyły na niego pozostałe w obozie chorągwie jazdy, które wszakże po przełamaniu jazdy kozackiej, z powodu przewagi liczebnej wroga, zostały oskrzydlone i prawie otoczone. Co więcej – widząc sytuację na polu bitwy, także Pobodajło rozpoczął przeprawiać piechotę przez Dniepr, aby zaatakować obóz hetmana.

Sytuacja stawała się krytyczna, jednak w tej samej chwili powrócił podjazd Samuela Komorowskiego, który zaatakował zaporoską jazdę od tyłu, kompletnie rozbijając wojska Krzyczewskiego. Kozacy rzucili się do ucieczki, schronili się w lesie, gdzie szybko umocnili się i ufortyfikowali. Wszystko to umożliwiło Radziwiłłowi ściągnięcie piechoty z drugiego brzegu i odparcie ataku Pobodajły. Wówczas okazało się, że na pole bitwy ciągnie kozacki tabor z działami. Hetman natychmiast nakazał go zaatakować i rozbić, co wkrótce się dokonało.

Wojsko litewskie próbowało zdobyć redutę Krzyczewskiego w lesie, jednak kozacy odparli pierwszy szturm. Rankiem okazało się, że Zaporożcy opuścili to miejsce, pozostawiając rannego Stanisława Michała Krzyczewskiego, szlachcica i byłego pułkownika kozaków rejestrowych, który w 1648 r. przeszedł na stronę Chmielnickiego. Teraz postrzelony w głowę i oko, dostał się w ręce wojsk litewskich i zmarł w obozie, z gorączki i desperacji, nie mogąc pogodzić się z klęską. Świadkowie jego śmierci zanotowali, że kiedy pytano go, czy wezwać do ostatniej spowiedzi popa, odparł: „Trzeba by tu czterdziestu". „Więc księdza?". „Wolę – odparł – wiadro wody zimnej". „Albo to lada co 30 tysięcy wojska stracić?!". Jako pamiątkę Janusz Radziwiłł kazał nadwornemu malarzowi sporządzić jego portret pośmiertny, który pokazujemy powyżej. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443

VOLVO EC40 TWIN MOTOR



FOT. JAP

Tak jak samochody terenowe najlepiej testuje się w trudnym terenie, tak auta elektryczne powinno się sprawdzać w surowym dla akumulatorów okresie zimowym. Gdy w połowie stycznia odbierałem z parkingu prasowego Volvo EC40, to niepozornie wyglądające autko miało jeszcze na sobie grubą warstwę śniegu. Podczas kilkudniowego testu temperatura nocami spadała zaś nawet do –16 st. C. Warunki do rzetelnego sprawdzianu tego elektryka były zatem idealne.

Volvo EC40 to teoretycznie przedstawiciel SUV-ów typu coupé, choć jego wielkość lepiej oddaje określenie „kompaktowy crossover". Ma intrygującą sylwetkę. W testowanym kolorze rozpuszczalnej kawy z mlekiem auto nie wyglądało jednak tak, by zmuszać serce do szybszej pracy. Przeciwnie: budziło apetyt na fikę, czyli tradycyjną szwedzką przerwę na mocną kawę z cynamonową bułeczką.

Po kawie pojawiły się prawdziwe emocje. EC40 w wersji Twin Motor potrafi być bowiem piekielnie szybkie jak na miejskiego crossovera. Moc układu napędowego to bowiem 408 KM, a maksymalny moment obrotowy wynosi aż 670 Nm. Efekt: przyspieszenie od zera do 100 km/h zajmuje zaledwie 4,7 s. Jak to w Volvo, prędkość maksymalna jest ograniczona do 180 km/h. Do dużej mocy trzeba tu dodać napęd na wszystkie cztery łapy, niezły układ kierowniczy, dość sztywne zawieszenie oraz dobrze wyciszone wnętrze.

Przy dynamicznej jeździe, gdy wskazówka na termometrze wskazuje dwucyfrowe mrozy, zejście do deklarowanego przez producenta średniego zużycia prądu (17,3 kWh/100 km) nie udało mi się ani razu. Podczas testu średni apetyt na prąd wynosił ok. 25 kWh/100 km. Również czas ładowania był nieco dłuższy niż deklarowane przez producenta 28 minut, które powinno wystarczyć na podładowanie akumulatora od 10 do 80 proc. W trzaskającym mrozie w 28 minut naładowałem EC40 na szybkiej ładowarce od 11 do 67 proc. To i tak całkiem przyzwoicie.

Wnętrze jest wykończone zgodnie ze wskazówkami szwedzkiego minimalizmu. Nowoczesne centrum sterowania tworzą 9-calowy wyświetlacz systemu multimedialnego oraz wyświetlacz dla kierowcy o przekątnej 12,3 cala. Fajne są zarówno dobre nagłośnienie, jak i sportowa kierownica, jednak plastiki użyte do wykończenia nie wyglądają już zbyt luksusowo.

Fotele z możliwością podgrzewania są wygodne, a wnętrze ergonomicznie zaprojektowane, choć typowy dla coupé opadający dach istotnie ogranicza praktyczność tego auta. Kufer ma nieco ponad 400 l pojemności (do tego dochodzi spory schowek pod podłogą). Na drobiazgi jest też 31-litrowy przedni „frunk".

Volvo EC40 w wersji Single Motor (z napędem na jedną oś i mniejszym akumulatorem) można kupić za 245,9 tys. zł. Ceny wariantu Twin Motor zaczynają się od 288,9 tys. zł. Najdroższa jest zaś opcja Twin Motor Performance – w tym przypadku trzeba wydać co najmniej 292,9 tys. zł.

MIO MIVUE 903WD PRO



Dobra jakość nagrań, bezpłatna baza fotoradarów, przednia i tylna kamera w zestawie, wbudowane zasilanie trybu parkingowego oraz świetny stosunek ceny do możliwości – to największe zalety wideorejestratora marki Mio.

Zakup kamerki samochodowej może się szybko zwrócić zwłaszcza zimą, gdy z ciężarówek spadają odłamki lodu, a i o szkodę parkingową na oblodzonym parkingu nie jest trudno. Nagranie z kamery może być ważnym dowodem w sprawie. Musi być jednak dobrej jakości. W skład testowanego zestawu wchodzą dwie kamerki: przednia oraz tylna. Ta pierwsza została wyposażona w ekran o przekątnej 2,7 cala oraz w nowoczesny sensor optyczny Sony Starvis 2. Efekt: lepsza jakość obrazu i więcej detali w słabych warunkach oświetleniowych. Przednia kamera potrafi nagrywać w rozdzielczości 2,5 K z szybkością 60 kl./s, a tylna w Full HD. Obie są wyposażone w przydatny w tego typu sprzęcie HDR (wówczas jednak kamery nagrywają z prędkością 30 kl./s). Na dobrą jakość nagrań po zmroku wpływ mają też jasne obiektywy w obu kamerkach (f/1.8). Nadal jakość nocnych nagrań nie jest idealna i nawet na przyzwoicie oświetlonych drogach nie zawsze da się odczytać numery tablic. W fatalnych warunkach oświetleniowych nie odczytamy już niemal żadnej tablicy. Ale podobnie jest też w przypadku dużo droższych wideorejestratorów.

Fajnymi udogodnieniami są też wbudowana baza fotoradarów, a także asystent przejazdu przez odcinkowe pomiary prędkości (wskazuje, jakie ograniczenie obowiązuje na danym odcinku, i informuje o średniej prędkości na mierzonym odcinku). To, co szczególnie wyróżnia MIO MiVue 903WD Pro na tle konkurencji z tej półki cenowej, to wbudowane zasilanie do trybu parkingowego. Dzięki niemu nie trzeba kupować dodatkowych modułów, adapterów etc. Trzeba jedynie włożyć do kamerki własną kartę pamięci (nie ma jej w pudełku). Kabel do stałego podłączenia kamery do zasilania samochodowego jest już jednak w zestawie, więc niemal od razu po podłączeniu kamerki można ze spokojem zostawiać auto na bocznych uliczkach niedaleko pracy czy na zatłoczonych parkingach centrów handlowych. Możliwość ustawienia progu napięcia zapobiega zaś rozładowaniu akumulatora auta.

Jak większość nowoczesnych kamerek MIO MiVue 903WD Pro posiada też moduł wi-fi, umożliwiający bezprzewodowe połączenie kamerki ze smartfonem. Minusy? System mocowania na taśmę 3M sprawia, że raz przyklejoną kamerkę ciężko oderwać od szyby. Jeśli ktoś często zmienia auta, to przyssawka sprawdza się lepiej. Cena: 562 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 5a8109f443



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Chrusty z piekarnika

Faworki pieczone w piekarniku to zdrowsza wersja tradycyjnych faworków smażonych na smalcu wieprzowym, co wcale nie oznacza, że są gorsze. Oczywiście różnią się nieco smakiem, ale efekt jest wart eksperymentu – są lekkie i kruche. Sekretem na udane faworki z pieca jest ciasto, bardzo cieniutko rozwałkowane, dosłownie na grubość „pergaminu". Wcześniej do ciasta dodajemy odrobinę piwa, dobrze wyrabiamy i obijamy tłuczkiem z każdej strony.



FOT. ADOBE STOCK

Zanim faworki trafiły na polskie stoły, najpierw znane były na Litwie i w Niemczech, jednak ich geneza sięga średniowiecza. Większość przepisów powstaje przez przypadek. I tak też było z faworkami. Dzięki temu, że pewien roztargniony cukiernik przez przypadek usmażył pasek ciasta na pączki w głębokim tłuszczu, a po usmażeniu wyjął coś, co przypominało wstążeczkę, i – aby ratować sytuację – posypał cukrem pudrem, okazało się, że jest to bardzo smaczne.

Nazwa „faworki" pochodzi z Francji i nawiązuje do wstążek ofiarowywanych przez panny rycerzom. „Faveur" po francusku oznacza uprzejmość, przysługę. W Polsce na faworki mówimy chrusty, od szelestu łamiących się ciasteczek, lub od chrustania – ta nazwa pochodzi zaś z Wileńszczyzny.

Oryginalnie faworki smażymy na głębokim tłuszczu, najlepiej na smalcu, a po usmażeniu posypujemy obowiązkowo cukrem pudrem. Zgodnie z tradycją zajadamy je w karnawale, koniecznie w tłusty czwartek i we wtorek przed Środą Popielcową.

Przepis na faworki

• 2½ szklanki mąki • 2 łyżki cukru pudru • 5 żółtek • ½ szklanki piwa • ½ łyżeczki soli • 1 łyżeczka masła lub smalcu

Mąkę przesiać do misy, zrobić wgłębienie, dodać żółtka, cukier, sól i piwo. Ciasto zagnieść, dłuższą chwilę wyrabiać i odstawić na 40 min. Można je trochę poobijać wałkiem do ciasta, będzie wtedy jeszcze bardziej napowietrzone. Stolnicę delikatnie podsypać mąką, ciasto rozwałkować bardzo cienko, radełkiem wyciąć prostokąty, po środku zrobić przecięcie i przewinąć każdy pasek. Piekarnik nagrzać do 180 st. C, każdy pasek ułożyć na blaszce i piec przez ok. 8–10 min, aż się zarumienią. Po wyjęciu i przestudzeniu posypać cukrem pudrem. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bezcenna prowizorka

Kiedyś były tu warsztat samochodowy i składnica złomu. Ale przecież jesteśmy w Warszawie, gdzie cena metra kwadratowego działki i mieszkania jest najwyższa w kraju (poza Sopotem, gdzie teraz wszyscy chcą mieszkać). Te dwie nieefektowne, choć pożyteczne instytucje nie mogły się długo utrzymać w takiej dzielnicy, jaką jest Mokotów (lub za jaką chce uchodzić).

Ta część Mokotowa, gdzie mieści się Bazar Olkuska, nigdy nie była elegancka, być może z powodu wiecznej niepewności, w jakiej władze Warszawy lubią latami i dziesięcioleciami trzymać mieszkańców. W planach z lat 60. czy 70. obok Olkuskiej miało/czy może wciąż ma przebiegać przedłużenie ulicy Dolnej przecinające Skarpę i łączące Dolny Mokotów z Ochotą. Plany dawno pożółkły w archiwach, nic w tej sprawie się nie dzieje, a miasto nie chce czekać. Wiadomo: il n'y a que le provisoire qui dure. Tak mówią Francuzi, my myślimy praktycznie: prowizorka jest najtrwalsza.

W ten sposób Bazar Olkuska zainstalował się tu w połowie lat 90. i funkcjonując trochę na krzywy ryj, stał się malowniczym i nie mniej niż warsztat samochodowy pożytecznym miejscem na mapie Warszawy. Przynajmniej dla mieszkańców Mokotowa, bo przy obecnych odległościach Żoliborzanom by chyba się nie opłacało tu jechać.

Wszystko jest tu jakby prowizoryczne, ale świetnie działa: maleńki parking, w którym jednakowoż parę mercedesów i lexusów się zawsze zmieści. Pawilon czy raczej barak, który wcale nie udaje czegoś lepszego, niż jest, i wszystkim to wystarcza. Czego tu nie ma! Stoisko greckie z doskonałymi serami i oliwami, mięso, ryby i drób nietknięte chemią, przyprawy, soki, miody, pieczywo, wypieki. Doskonałe wyroby garmażeryjne od Swiet-Smak, które będą smakować nawet tym, którzy nie zbliżają się do garmażerii w supermarketach.

Bez 500 zł w kieszeni nie wchodź. Olkuska ma wszystko, ale jest superdroga i klientelę ma także nieubogą. Emerycie, omijaj to miejsce, kartofelki po 30 zł to nie dla ciebie. W dzień powszedni nie ma tłoku, ale w sobotę odbywa się tu przegląd mokotowskiej socjety. Grupa wiekowa 25–45 lat. W lecie miło zaszpanować dobrym rowerem i torbą marki znanej nielicznym.

Wisi nad Olkuską wyrok jej tymczasowości. I niech tak pozostanie jak najdłużej, bo znamy takie miejsce w Warszawie, które, przerobione z prowizorycznego na eleganckie, straciło nie tylko cały urok, lecz także sens. Mam na myśli targ na Polnej, delikatesy PRL-owskiej Warszawy, gdzie zaopatrywali się prywaciarze i dyplomaci. Dopóki Polna działała prowizorycznie, dopóty było świetnie; skończyła się, jak tylko wybudowano nową, wielką i niepotrzebną halę. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



PIOTR KOWALCZUK

PIECZEŃ RZYMSKA

O prawach pracowniczych

W Lonate Pozzolo pod Mediolanem doszło do tragedii. Trzej Cyganie z obozowiska pod Turynem włamali się do willi państwa Rivolta. 33-letniego Jonathana, który spał w swoim pokoju na piętrze, zbudził huk wybijanej szyby. Sięgnął po nóż myśliwski do plecaka trekkingowego i zszedł na dół, gdzie zaatakowali go dwaj rabusie. Trafiony pięścią rozbił sobie głowę o framugę, ale zaraz potem, unikając kolejnego ciosu, uderzył jednego z napastników nożem. Bandyci uciekli samochodem, w którym czekał na nich kompan. Rannego zawieźli do szpitala Magenta na peryferiach Mediolanu, gdzie niebawem zmarł.

Jak się okazało, był to świetnie znany policji 37-letni Adamo Massa, wielokrotnie aresztowany za kradzież samochodów, motocykli, włamania, napady i oszustwa, których ofiarą padali głównie ludzie starsi. Często przebierał się przy tym za policjanta albo udawał pracownika gazowni. Miał samochód na fałszywych tablicach z policyjną syreną i kogutem, a także urządzenie umożliwiające podsłuchiwanie policji. Słowem: wytrawny, zawodowy złodziej, szalbierz i bandyta.

Do szpitala Magenta przybyła ponad setka krewnych i znajomych Massy z obozowiska pod Turynem. Zablokowali izbę przyjęć pogotowia ratunkowego, żądając dostępu do ciała. Interweniowała policja. Był to też protest, bo zgodnym zdaniem przybyłych Massa padł ofiarą brutalnego mordu. Jak ujął to jego kuzyn w wypowiedzi dla włoskich mediów: „To niesprawiedliwe. On był w pracy. Za to się nie zabija. Miał żonę i troje dzieci".

Jak się wydaje, tego rodzaju mentalność, niejako prawne zrównanie pracy ze złodziejstwem i napaścią, nie jest w romskich środowiskach we Włoszech wyjątkiem. Cygańskie kobiety i Cyganiątka okradający turystów na włoskich dworcach i w metrze złapani na gorącym uczynku nie kryją zniecierpliwienia i złości, że policja przeszkadza im w wykonywaniu wyuczonego zawodu. W tej sytuacji jedynym, kiepskim kontrargumentem może być to, że złodzieje nie płacą składek na ubezpieczenie ani nie odprowadzają podatku dochodowego.

Sędzia śledczy uznał, że Jonathan Rivolta (ukończone dwa fakultety i doktorat z zarządzania) działał w obronie własnej. Jednak dziennik „Corriere della Sera" nie jest o tym przekonany. Wytyka, że Jonathan to ekspert sztuk walki wręcz, więc nie musiał używać noża, a całe sąsiedztwo, wychowane w piwiarni, kocha tatuaże i ma związki z mafią. Informuje również, że sąsiedzi mafiosi organizują teraz nocne patrole, bo krewni Massy zapowiadają odwet. Co to ma do rzeczy? Klucz znajdą państwo w studni. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zima trzyma

Znowu mamy nieoczekiwany atak zimy ze strony planety, która płonie. Znowu pojawiają się prześmiewcze memy zdroworozsądkowo dworujące z postulatów ocieplania się klimatu, podczas kiedy pogoda za oknem przeczy alarmistycznym tezom klimatologicznych wieszczów zagłady. To, że jest zimno, nie przeczy temu, że klimat się ociepla, bo pogoda może ziębić, kiedy klimat w tym samym momencie parzy. Tak samo jest co sezon, kiedy powodzie (te pogodowe) są dowodem na susze (te klimatyczne). Dwie logiki leżą obok siebie, nie przecinają się, a więc wychodzi, że każda ze stron mówi tylko do siebie.

Jak jest więc naprawdę? Wydaje mi się, że klimatyzm przechodzi już coraz bardziej na stronę religijną. A tu pojawia się automatycznie cały zbiór cech: dogmaty, katechizmy, prorocy, wreszcie – bóg, Gaja, planeta nasza cała, która jest jednocześnie organizmem zarówno żywym, jak i ubóstwionym. Religia to dość nowa w swym połączeniu z progresywizmem, któremu w sumie zaprzecza, gdyż spełnienie nowych wymogów klimatyzmu cofa nas w postępie. Rodzi to także cały zespół cech reakcji, jak to w nowej religii: zapamiętałość akolitów, brak przecinania się argumentów, bo te nie muszą być dowodliwe, gdyż stały się już dawno dogmatami, a więc wierzy się w nie, a ci, którzy to kwestionują, traktowani są nie kontrargumentami, ale pogardą, reakcją przynależną stosunkowi do napotkanej herezji.

Jednak ta religia ma dość nieoczekiwany rys. W sumie to wszystkie cechy zbioru objawień, ale te coraz to powołują się na argumenty… naukowe. Jest to więc religia, która wyjątkowo odwoływałaby się do nauki, twardych dowodów. Z tym że ta wiara oparta jest coraz bardziej na wywoływaniu irracjonalnego strachu, który tak naprawdę uzasadnia fatalne scenariusze globalizmu, zwłaszcza jego depopulacyjny charakter. Klimatyzm jest bowiem religią, która zakłada, że człowiek się światu nie udał, a więc uratowanie Gai łączy się ze zmniejszeniem populacji szkodnika.

Co do naukowości argumentów uzasadniających fatalność sytuacji klimatycznej i wpływ na nią człowieka, to tu też mamy kłopot. Nie są to mocne dowody, a zaciekłość zwalczania przeczących im, również naukowych argumentów, jest sprzeczna z istotą nauki, która musi kwestionować własny dorobek, by się rozwijać. I na te wszystkie dylematy, jak na złość, napadał śnieg i zamróz ścisnął. Jak na złość planecie, która przecież płonie. Jedni dworują z drugich, z tym że tym realistycznym krytykom jest tak samo zimno jak apologetom klimatyzmu. Tylko, że to ci pierwsi cierpią przez fantasmagorie tych drugich. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Rozmowy ze zdechłym „psieckiem”

Zaskakujące badania prowadzą w ostatnich latach polskie wyższe uczelnie. Przekonać się o tym można, studiując wypowiedzi doktor filologii słowiańskiej, wykładowczyni UW – Justyny Tymieneckiej-Suchanek. Jest ona założycielką „prekursorskiej” pracowni badawczej Laboratorium Animal Studies – Trzecia Kultura. Zgodnie z poglądami pani doktor „zwierzęta są istotami obdarzonymi inteligencją, posiadającymi własne systemy wartości, protokulturę […]. Nowe odkrycia i obserwacje etologów pozwalają do owej listy dodać prawie wszystko to, co dotąd było zarezerwowane wyłącznie dla człowieka: posługiwanie się narzędziami, język (komunikację), uczucia, (samo) świadomość, myślenie, moralność, a nawet… doświadczenia religijne (sic!)”. Jak głosi wykładowca etyki, dr Jan Wawrzyniak, „nie tylko homo sapiens został wyposażony we wrażliwość – co więcej, okazał się najmniej, w stosunku do posiadanych możliwości, sprawnym duchowo zwierzęciem”.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Z przekonania o duchowej niższości człowieka wobec zwierząt wynikać mogą dalekosiężne konsekwencje. Dotyka ich prof. Grzegorz Ojcewicz, wykładowca uniwersytetu w Olsztynie oraz Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. „Wydaje się, że skutecznym sposobem na przełamanie starotestamentowej reguły dominacji człowieka nad zwierzętami i uległości przedstawicieli fauny jest nowe przymierze przekazane światu przez Jezusa Chrystusa w postaci przykazania o konieczności miłości bliźniego, aż do oddania za niego własnego życia. A bliźnimi są także, przypomnę, mniejsi bracia i to jest chyba najmocniejszy argument w sporach z tymi, którzy sprzeciwiają się upodmiotowieniu zwierząt”. Znalezienie w nauce Chrystusa nakazu poświęcania życia dla zwierząt jest oryginalnym wkładem prof. Ojcewicza w studia teologiczne. Miejmy nadzieję, że kształceni w Szczytnie funkcjonariusze nie potraktują tego obowiązku dosłownie, gdy przyjdzie im zdejmować kota z dachu.

Wślad za uczonymi podążają ludzie biznesu. Goszcząca ostatnio w mediach certyfikowana „komunikatorka międzygatunkowa” Aneta Szczepańska oferuje swoim klientom „telepatyczne rozmowy ze zwierzętami”. Jedna sesja („rozmowa zdalna + 1h rozmowy on-line) kosztuje 399 zł. Jak głosi strona internetowa gabinetu pani Anety, każda sesja to „telepatyczna rozmowa, którą prowadzę w Twoim imieniu z Twoim pupilem. Odkryj, co naprawdę myśli i czuje, poznaj jego potrzeby i pragnienia. Wzmocnij Waszą więź, napełnij ją zrozumieniem i harmonią. To wyjątkowa chwila, w której Twój pupil może opowiedzieć Ci swoją historię tak, jak nigdy wcześniej, wprowadzając spokój i radość do Waszego wspólnego życia […]. Jeśli bardzo Ci zależy na rozmowie z poszczególnymi członkami Waszej zwierzęco-ludzkiej rodziny, najlepiej zarezerwować sesję dla każdego zwierzaka osobno”.

Ze wsparcia „komunikatorki międzygatunkowej” skorzystać mogą „gryzonie, psy, koty, konie, kozy, osły, świnki morskie, kapibary, krowy”. Dyskryminowane są jednak, z niewyjaśnionych powodów, płazy, owady i ryby. Ciekawa jest oferta telepatycznych rozmów „ze zwierzętami, które odeszły (są po drugiej stronie)”. „Dusza jest nieśmiertelna, jej Jaźń jest wszechwieczna, wszystko, co jej dotyczy, zapisywane jest w Matrycy Życia (inaczej Kronikach Akaszy). Czasami połączenie może być trudniejsze, jeśli taka sytuacja nastąpi, i po »zdalnym połączeniu«” okaże się, że nie udało nam się nawiązać łączności, poinformuję Cię o tym fakcie i dokonam zwrotu należności za sesję” – zapewnia z biznesową rzetelnością właścicielka gabinetu.

Rozmowy ze zdechłymi czworonogami prowadzić zwykli, przed laty, pacjenci szpitali psychiatrycznych. Dziś jest to już gałąź biznesu, którego teoretyczne podstawy wykuwają utytułowani wykładowcy polskich wyższych uczelni. Humanizowane przez hochsztaplerów zwierzęta i tak się ludźmi nie staną – traktowanie „jak dzieci” może czynić im krzywdę. Prestiż polskiej nauki schodzi zaś, w szybkim tempie, na psy. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Matka Tuwima

Matka Tuwima oszalała z powodu antysemickich ataków na syna, znalazła się w zakładzie dla obłąkanych, gdzie zginęła" – pisze się często, choć trudno o większe bzdury. Adelę Tuwimową zastrzelili hitlerowcy w sierpniu 1942 r., a jej ciało wyrzucili z okna na bruk. Podobny los spotkał blisko 300 pacjentów Zofiówki, zakładu dla chorych nerwowo i psychicznie Żydów w Otwocku. A znalazła się tam, bo od dawna była znerwicowana, neurotyczna, cierpiąca na melancholię, jak nazywano wtedy depresję, głównie z powodu nieszczęśliwego małżeństwa – jej znacznie starszy od niej mąż, niewiele zarabiający buchalter, izolował się od rodziny, nie podzielał jej zainteresowań. Ona bowiem – inteligentna, wrażliwa, dużo czytała – wprowadziła w świat literatury nie tylko Julka, lecz także Irenę, jego siostrę, znakomitą później tłumaczkę „Kubusia Puchatka" i „Mary Poppins". Gdy po śmierci męża i nieudanej próbie samobójczej jej stan się pogorszył, dzieci oddały ją do Zofiówki, największego wtedy w Polsce zakładu psychiatrycznego.

W PRL ataki na Tuwima wyolbrzymiano i często przypominano, miały udowadniać faszystowski charakter przedwojnia. Oczywiście miały miejsce, bo dla skrajnej prawicy Jojne Tuwim – jak o nim mówiła – nie mógł być najwybitniejszym polskim poetą, ale miał też na pieńku z Żydami za takie wiersze jak „Bank", „Giełdziarze", w których nazywał ich gudłajami, nawoływał też do asymilacji. Nic sobie jednak z żadnych ataków nie robił, „całujcie mnie wszyscy w dupę", odgryzał się, a w wierszyku „Na jednego endeka, co na mnie szczeka" pisał: „Prożnoś repliki się spodziewał / Nie dam ci prztyczka ani klapsa // nie powiem nawet pies Cię jebał / bo to mezalians byłby dla psa". Ale mimo wszystko był Księciem Poetów, najpopularniejszym ze skamandrytów, miał sławę i pieniądze, pił z Wieniawą, zarabiał 4 tys. miesięcznie, a średnia pensja urzędnika wynosiła 120 zł.

Zaraz po wybuchu wojny, już 5 września 1939 r., razem z żoną, siostrą i szwagrem uciekł przerażony z Polski do Rumunii, a stamtąd do Paryża i Ameryki. Anna Iwaszkiewiczowa nazywała go „biednym, strachliwym Żydkiem, na którego nie wiedzieć jak spadł dar wielkiego talentu". O śmierci matki i jej okolicznościach dowiedział się dopiero w 1945 r., pod koniec wojny, którą spędził za oceanem spokojnie i w miarę dostatnio, bo zasiłek z Funduszu Kultury cofnięto mu dopiero w 1944 r., gdy pokumał się z amerykańską partią komunistyczną i sowieckimi agentami: Langem, Gebertem, Arskim. W 1946 r., gdy jako pierwszy emigrant wrócił do stalinowskiej Polski, ekshumował prochy matki na łódzki cmentarz, lejąc krokodyle łzy, słowem nie wspominając, że od roku 1935 r., gdy oddał ją do zakładu, do 1939 r., tj. jego wyjazdu, ani razu jej nie odwiedził, choć Otwock był blisko, miał też własną limuzynę z szoferem. Twierdził, że zabronił mu tego jej lekarz. Ale dlaczego pozwolił na to jego siostrze? Opowiadała mu tylko o swoich wizytach u niej, on natomiast – jak pisała – mówił, że chce zachować ją w pamięci taką, jaka była dawniej.

Gdy wyjeżdżał z Polski, nawet się z nią nie pożegnał ani jej nie zabrał, tłumacząc, że była na to w zbyt złym stanie. Mógł jednak, tak przecież bogaty, zatroszczyć się dla niej o bezpieczniejsze miejsce. Wiedział, że Niemcy eksterminowali chorych psychicznie. W liście z 1939 r. z Paryża przyznał też przyjaciołom, że zostawił ją w Otwocku bez pieniędzy. Ale mimo to po powrocie pisał o niej rzewne wiersze: „Zastrzelił ją faszysta / gdy myślała o mnie / Zastrzelił ją faszysta / gdy tęskniła do mnie". Słowa „faszysta" używał teraz najczęściej, byli nimi wszyscy, którzy nie podzielali jego fanatycznej miłości do Związku Sowieckiego, na którą zapadł. Wierzył naiwnie, że tylko on oraz ideowi komuniści, Stalin, Bierut, zbudują nowy, lepszy świat, w którym nie będzie miejsca dla faszyzmu i antysemityzmu. „Widzę w Panu mściciela mojej Matki" – mówił do ubeckiego oprawcy, Jacka Różańskiego. Zaczął nawet uważać, że zagłada Żydów to skutek polskiego antysemityzmu, Andrzej Dobosz nazwał go zatem duchowym dziadkiem Jana Tomasza Grossa.

Miał jednak poczucie winy, że zostawił nie tylko matkę, lecz także swój kraj, chciał ekspiować i w 1947 r. adoptował pięcioletnią dziewczynkę z żydowskiego domu dziecka, Ewę. „Bardzo mnie kochali, nie sądzę jednak, że czuli potrzebę posiadania dziecka. Myślę, że chcieli zrobić coś dla tych, którzy zostali w Polsce" – mówiła po latach. Założył też Fundację im. Adeli Tuwimowej, która miała pomagać dzieciom, ale nic z niej nie wyszło. Może i dobrze, bo przy okazji je indoktrynował. Gabinet przyrodniczy w szkole w Inowłodzu ufundował z okazji urodzin prezydenta Bieruta, a w 1950 r., w apogeum stalinizmu, pisał do uczniów: „W ustroju socjalistycznym nie ma i nie będzie miejsca dla ohydnych zbrodni, gwałtów, niesprawiedliwości, krzywdy i dręczenia słabych przez silnych, ubogich przez bogatych, miłosiernych przez okrutnych". ©℗

eprasa.pl 5a8109f443

ROK PIERWSZY



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Minął rok od objęcia urzędu. Trump realizuje swoje obietnice wyborcze. Część tych obietnic wydawała się ludziom w Europie „głupim gadaniem rudego bufona": odzyskam Kanał Panamski, kupię Grenlandię, Kanada powinna zostać 51. stanem USA, zakończę wojnę na Ukrainie w jeden dzień…

Europa nadal traktuje Trumpa jak głupiego bufona. W Ameryce wyborcy, a także politycy nauczyli się, że Trumpa nie należy rozumieć literalnie, natomiast to, co mówi, należy brać poważnie. Nie czepiaj się słówek i traktuj serio to, co mówi. Trump w swoich hotelach i kasynach organizował wielkie pojedynki bokserskie. Przed pojedynkiem jeden zawodnik o drugim mówi, że go rozwali na miazgę w pierwszej rundzie lub zatłucze na śmierć, że przeciwnik już nigdy nie wstanie z podłogi, a jadł będzie wyłącznie zupki przez słomkę. Nikt takich wypowiedzi (groźby karalne) nie traktuje literalnie, ale obie strony podchodzą do nich poważnie. Trump wypowiada się publicznie jak bokser przed meczem i Ameryka to rozumie, a Europa nie.

***

O wojnie na Ukrainie mówił: „Skończę ją w jeden dzień". Potem sam przyznał, że w tym przypadku się solidnie przeliczył, ale nadal warto poważnie podchodzić do tej idei, że wojnę zakończy. Kiedy? Z punktu widzenia USA Ukraina to sprawa ważna, ale jednak marginalna – bliżej domu są sprawy ważniejsze i bardziej pilne. Poza tym surowa prawda jest taka, że im dłużej ta wojna trwa, tym Rosja jest słabsza i nie ma czasu na inne sprawy światowe, nie ma sił na skuteczne włączenie się do wyścigu o Grenlandię, nie ma sił i środków do obrony komunistów w Wenezueli, na Kubie, w Nikaragui. To ułatwia Trumpowi robienie porządków koło domu.

Rudy bufon w ciągu pierwszego roku pogonił Chińczyków i odzyskał amerykańską kontrolę nad Kanałem Panamskim, usunął dominację Ruskich i Chińczyków z Wenezueli, a teraz wziął się za Grenlandię. Chce ją kupić. To część planu pokojowej ekspansji terytorialnej USA. Ten plan jest stary jak USA. Pokojowa ekspansja terytorialna została zaprojektowana przez ojców założycieli w Konstytucji. I nie ma w tym nic niemoralnego ani dziwnego – gdy rolnik zagospodarował swoje pole i dobrze mu idzie, chce dokupić więcej pola. Stany Zjednoczone zakupiły Luizjanę od Francji, Alaskę od Rosji, Teksas najpierw oddzielił się od Meksyku, stworzył odrębne państwo, potem został 28. stanem USA.

Podobną drogą ruszyli teraz mieszkańcy kanadyjskiej prowincji Alberta. W styczniu 2026 r. zbierali podpisy pod petycją o secesji, czyli odłączeniu się od Kanady. Najpierw chcą uzyskać niepodległość, potem zdecydują, czy wejść w skład USA jako 51. stan. Kolejki w mieście Edmonton były tak długie, że trzeba było czekać na śniegu dwie godziny.

***

Negocjacje dotyczące zakupu Grenlandii trwają od niemal 160 lat – w roku 1867 temat otworzył prezydent Andrew Johnson po tym, jak kupił Alaskę. Sprawa wracała wiele razy i zawsze chodziło o bezpieczeństwo USA. Dziś mówi się dodatkowo o minerałach – wtedy nikt nie miał o nich pojęcia. Alaskę traktowano jak kupę kamieni pokrytych lodem, a kupiona została w ramach polityki bezpieczeństwa. Propozycje zakupu symetrycznie położonej Grenlandii składali prezydenci od lewa do prawa – Roosevelt, Truman, Eisenhower, Johnson (ten drugi Johnson miał na imię Lyndon)… I to nie byli szaleńcy, jak Trump, oraz żaden z nich nie był rudy (Eisenhower był łysy).

Dania aktywnie uczestniczyła w negocjacjach. To nie jest nowa sprawa, a propozycja Trumpa wcale nie jest szokująca dla Danii. Dla nas może tak, ale nie dla Danii. W trakcie drugiej wojny światowej Królestwo Danii przekazało Grenlandię Amerykanom. Po wojnie Ameryka oddała wyspę. Nie musiała i nie powinna tego robić.

Dziś minister spraw zagranicznych Danii mówi: Nie sprzedamy ziemi, na której mieszkają ludzie, bo to by oznaczało handel tymi ludźmi. Naprawdę? W roku 1916 Dania sprzedała Stanom Zjednoczonym wyspy położone na Karaibach. Razem z mieszkańcami i całym ich dobytkiem. Z punktu widzenia USA tamta transakcja to część planu pokojowej ekspansji terytorialnej, a dla Danii dobry interes w złocie.

Ktoś powie, że to dawno temu, ale dziś cywilizowane kraje Zachodu już takich interesów nie robią. A co te państwa cywilizowane zrobiły w Jałcie? W ramach handlowania ziemią i całymi narodami oddano Stalinowi kilka państw jako TERYTORIA ZALEŻNE. To też było dawno, a dziś się tak nie robi? Wielka Brytania właśnie teraz realizuje plan oddania Wyspy Diego Garcia w ręce państwa o nazwie Mauritius. Chcą oddać wyspę razem z mieszkańcami i ich dobytkiem oraz… usytuowaną na wyspie amerykańską bazą wojskową.

***

20 stycznia minął rok od objęcia przez Trumpa urzędu. W tym dniu leciałem nad Grenlandią i oglądałem ją przez bulaj samolotu oraz równolegle na mapach. Ta wyspa jest potężna – z północy na południe 2700 km, czyli tyle co przelot z Norwegii do Portugalii, a w poprzek 1000 kilometrów, czyli tyle co z Warszawy do Amsterdamu. Gdyby ją nałożyć na Europę, przykryłaby wiele krajów.

Grenlandia graniczy z Kanadą przez cieśninę, natomiast od Europy oddziela ją ocean. Większość mieszkańców to Eskimosi – te same ludy, które zamieszkują północ Kanady oraz Alaskę. Białych Duńczyków jest tam niewielu. Prawie wszystkie miasta i inne osiedla na Grenlandii leżą po stronie kontynentu amerykańskiego. Dania leży w odległości 3500 km, a Kanada jest o rzut beretem. Geograficznie, etnicznie i kulturowo ta wyspa należy do kontynentu amerykańskiego.

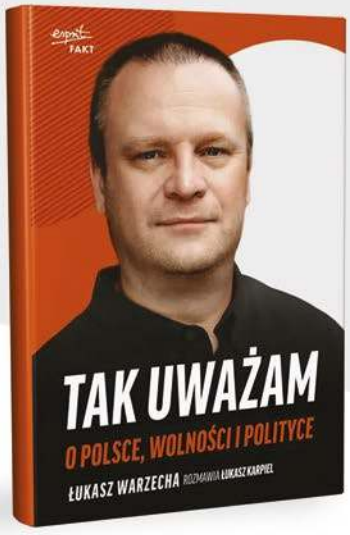
Jeżeli Dania nie podejdzie do negocjacji z USA, wówczas Trump złoży propozycję mieszkańcom Grenlandii. 57 tys. osób, większość to miejscowi Eskimosi. Wszystkie partie polityczne oprócz jednej głoszą chęć uzyskania autonomii od Danii. Czyli najpierw secesja, podobnie jak w prowincji Alberta, a potem się zobaczy co dalej. ©℗

eprasa.pl 5a8109f443

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 486 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5a8109f443

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026



A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl 5a8109f443